

Sprawy czerwonego kręgu

- Cóż, pani Warren, doprawdy nie sądzę, aby miała pani powody do obaw, ani też nie mogę zrozumieć dlaczego miałbym mieszać się w tę sprawę. Przykro mi, lecz ostatnio mój czas jest dość cenny i mam inne sprawy, które mnie zajmują - stwierdził Sherlock Holmes wracając do swojego albumu, do którego wklejał najnowsze wycinki prasowe.

Tym razem jednak trafił na godnego przeciwnika. Nasz gość bowiem miał upór i przenikliwość właściwą swej płci i ani trochę nie zamierzał ustąpić.

- W zeszłym roku zajął się pan problemem jednego z moich lokatorów, pana Fairdale'a Hobbsa.

- O, to była całkiem prosta sprawa.

- A on przez cały czas wspomina pańską uprzejmość i sposób, w jaki rozwiązał pan tę tajemnicę. Przypomniałam sobie jego słowa, gdy sama znalazłam się w podobnych okolicznościach i wiem, że gdyby pan tylko zechciał...

Z moim przyjacielem można było postępować na dwa sposoby: schlebiać jego próżności lub okazywać wiarę w jego dobroć. Były to jedyne słabostki jego charakteru, co potwierdziło się także i tym razem. Odłożył z westchnieniem klej i zrezygnowany spojrzął na gościa. - Dobrze, pani Warren, niech pani mówi. Nie ma pani nic przeciwko tytoniowi? Doskonale. Jak rozumiem, jest pani niespokojna, gdyż pani nowy lokator pozostaje w mieszkaniu i nie może go pani zobaczyć. Gdybym to ja był tym lokatorem, mogłaby mnie pani nie widywać całymi tygodniami.

- Nie wątpię w to, sir, ale to coś zupełnie innego. Jestem przerażona, panie Holmes, i nie mogę spać. Słuchać jego szybkich kroków, rozlegających się w całym mieszkaniu od wczesnego świtu do późnego wieczora i nie widzieć absolutnie niczego, to przekracza granice mojej wytrzymałości. Mąż jest również zdenerwowany, ale on dzień spędza w pracy. Ja nie mam ani chwili spokoju. Dlaczego on się ukrywa? Co takiego zrobił? Nie licząc służącej jestem w całym domu zupełnie sama i moje nerwy nie wytrzymują tego dłużej. Mój przyjaciel pochylił się kładąc dłoń na jej ramieniu - miał hipnotyczną siłę uspokajania, jeśli tylko chciał. Przestraszona zniknęła z oczu siedzącej, jej rysy rozluźniły się, tracąc wyraz zdenerwowania. - Żeby zająć się tą sprawą, muszę wiedzieć wszystko, znać każdy najdrobniejszy nawet szczegół. Proszę się nie spieszyć i dobrze zastanowić - często najdrobniejszy detal okazuje się być najistotniejszym. Powiedziała pani, że ten mężczyzna zjawił się dziesięć dni temu i zapłacił z góry za mieszkanie i posiłki, tak?

- Spytał o moje warunki.

Powiedziałam, że biorę

pięćdziesiąt szylingów za

tydzień. Mieszkanie składa się z salonu i niewielkiej sypialni na piętrze, jest umeblowane i zapewnia całkowitą prywatność. Powiedział, że da mi pięć funtów za tydzień, jeśli będzie miał je na swoich warunkach. Jestem biedną kobietą, panie Holmes, mąż też niewiele zarabia i te pieniądze wiele dla mnie znaczą.

Dał mi dziesięć funtów mówiąc,

że będę tyle dostawać co

dziesięć dni, jeśli dotrzymam

uzgodnionych warunków. Jeśli
nie, to on natychmiast się
wyprowadzi.

- Jakie to warunki?

- Po pierwsze, klucz do drzwi wejściowych, co jest zupełnie naturalne, po drugie, że ma być zostawiony sam i nikt nigdy, pod żadnym pozorem, nie będzie mu przeszkadzać, co na pierwszy rzut oka także wydaje się zrozumiałe. Tyle, że w praktyce jest to zupełnie nienormalne. Mieszka u nas od dziesięciu dni i ani ja, ani mąż, ani służąca, nie widzieliśmy go od tego czasu. Wciąż słyszymy jego kroki, ale, nie licząc pierwszej nocy, nie wyszedł z mieszkania ani razu.

- A więc jednak raz wyszedł?

- Tak, sir. I wrócił bardzo
późno, gdy wszyscy poszliśmy już
spać. Uprzedził mnie o tym,
kiedy płacił i prosił, żebym nie
zamykała drzwi. Było już po
północy, gdy słyszałam jak
wchodził po schodach.

- A posiłki?

- Dokładnie wytłumaczył, że gdy zadzwoni, mam postawić tacę na krzesło przy drzwiach, a gdy zadzwoni ponownie, zabrać ją.

Jeśli będzie czegoś potrzebował,
napisze drukowanymi literami na
kartce i zostawi ją przy
naczyniach.

- Drukowanymi?

- Tak, drukowane litery pisane ołówkiem. Przyniosłam wszystkie kartki, jakie napisał do tej pory, żeby panu pokazać. Oto one: „Mydło” „Zapałka”, a pierwszego ranka o, ta: „Daily Gazette”. Zostawiam ją zawsze razem ze śniadaniem - wyjaśniła. - No, no - mruknął zainteresowany nagle Sherlock przyglądając się kawałkom papieru, które podała mu pani Warren. - To faktycznie nienormalne. Dlaczego druk? Stawianie drukowanych liter jest znacznie bardziej mozolne od zwykłego pisania. Co o tym sądzisz, Watsonie?

- Że piszący nie chciał ujawnić swego charakteru pisma.

- Dlaczego? Co za różnica czy

osoba, u której wynajmuję mieszkanie, zobaczy słowo czy dwa napisane moją ręką? Mimo to możesz mieć rację, mój drogi. Zastanawia mnie też, dlaczego te wiadomości są tak lakoniczne.

- Pojęcia nie mam.

- Otwiera to dość obiecujące pole do snucia przypuszczeń.

Pisano szerokim, fioletowym ołówkiem, co nie jest niczym nadzwyczajnym, a papier został z boku oddarty, już po zapisaniu go. Zobacz, brakuje części „M” w słowie „Mydło”. To może mieć tylko jedną przyczynę, nieprawdaż?

- Ostrożność?

- Właśnie. Był tu jakiś znak, być może odcisk kciuka, który mógłby doprowadzić do odkrycia tożsamości piszącego. Mówiła pani, że był to mężczyzna średniego wzrostu, o śniadej cerze, czarnych włosach i brodzie. Ile mógł mieć lat?

- Sądzę, że nie więcej niż trzydzieści.

- Nic więcej nie umie pani o nim powiedzieć?

- Mówił dobrą angielszczyzną, ale myślę, że był obcokrajowcem. Miał taki dziwny akcent.

- I był dobrze ubrany?

- Doskonale, sir, Prawie jak dżentelmen. Ciemne ubranie i nic rzucającego się w oczy.

- Nie podał swojego nazwiska?

- Nie, sir.

- I nikt do niego nie dzwonił ani nie pisał?

- Nikt.

- Ale rankiem pani albo służąca macie dostęp do jego pokoju?

- Nie. Jest całkowicie samowystarczalny, jak to

określił.

- O, to nader ciekawe. A bagaż - Miał ze sobą tylko dużą, brązową torbę.
 - Niewiele tego... Mówiła pani, że niczego nie wyrzucał. Jest pani tego pewna?
- Kobieta wyciągnęła z torebki

kopertę i wysypała z niej dwie spalone zapalki oraz niedopałek papierosa.

- Dziś rano znalazłam to na jednym z talerzyków.

Przyniosłam, ponieważ słyszałam,
że potrafi pan wiele
wynioskować z takich
drobiazgów.

Holmes wzruszył ramionami. - Zapalek użyto do zapalenia papierosa - mruknął. - To oczywiste, biorąc pod uwagę w jakiej części zostały spalone. Gdyby były spalone w połowie, wówczas chodziłoby o fajkę lub cygaro. Natomiast ten niedopałek jest nader ciekawy. Mówi pani, że miał brodę i wąsy?

- Tak, sir.
- Nie rozumiem. Tego papierosa mógł wypalić tylko człowiek nie noszący zarostu. Nawet taki wąs, jak twój, Watsonie, byłby lekko przypalony.
- Cygarniczka? - spytałem. - Nie, nic na to nie wskazuje, a musiałby zostać ślad. Pani Warren, czy w pani mieszkaniu nie ma przypadkiem dwóch osób? - Nie, sir. Je tak niewiele, że często zastanawiam się jak można na tym przeżyć.
- No cóż, sędzę, że musimy poczekać aż będziemy mieć więcej informacji. Mimo wszystko nie ma pani na co narzekać: dostała pani pieniądze, a lokator nie jest uciążliwy, choć bez dwóch zdań nietypowy. Płaci dobrze, i to, że się ukrywa, na dobrą sprawę nie jest pani zmartwieniem. Nie mamy jak dotąd żadnych podstaw, by naruszać jego spokój, jako że nic nie wskazuje na popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa. Proszę mnie zawiadomić o każdym nowym wydarzeniu i proszę być pewną, że pomogę pani, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Gdy nasz gość wyszedł, mój towarzysz zatarł ręce i oznajmił:

- Cała sprawa zapowiada się

ciekawie. Może mieć oczywiście trywialne wyjaśnienie, ot, choćby egocentryzm, ale parę drobiazgów wskazuje na poważniejszy jej charakter, niż się wydaje. Najbardziej oczywiste jest to, że osoba przebywająca obecnie w tym mieszkaniu nie jest tą samą, która je wynajęła.

- Co skłania cię do takich

przypuszczeń?

- Nie licząc już niedopałka, czy nie jest wyraźną przesłanką fakt, iż człowiek ten opuścił pokój tylko raz, i to zaraz po wynajęciu mieszkania? Powrócił - on, albo ktoś inny - w porze, w której wszyscy ewentualni świadkowie spali. Nie ma żadnego dowodu, że osoba, która wyszła, jest tą samą, która wróciła.

Poza tym wynajmujący mówił dobrą angielszczyzną, a na kartce napisano „zapalka”, nie „zapalki”, jak powinno być.

Sądzę, że zostało to

zaczepnięte ze słownika, w którym była tylko liczba pojedyncza. Lakoniczność może być spowodowana chęcią ukrycia nieznamomości języka. Tak, Watsonie, przyznasz, że są to wystarczające powody, by podejrzewać zamianę lokatorów. - Tylko po co?

- To właśnie jest problem. Ale mamy dość prosty sposób, by to sprawdzić - wziął gruby zeszyt, w który wklejał ogłoszenia z rozmaitych gazet i zaczął go kartkować. - Ależ to zbiorowisko skarg, śmiechu i naiwności... a jednocześnie najlepsze łowisko dla kogoś, kto szuka rzeczy dziwnych i ciekawych. Ten ktoś jest sam, jak to zostało zaznaczone na wstępie, nie odbiera telefonów i listów, ani nie przyjmuje gości. Prenumeruje natomiast jedną jedyną gazetę.

Zatem musi porozumiewać się z kimś za pomocą ogłoszeń i wiemy nawet od kiedy możemy się ich spodziewać... „Dama w czarnym

boa w Prince's Skating Club...”

- możemy sobie darować, „Jimmy

nie będzie łamał serca...” - to

też, „Jeśli dama, która zemdlą

w autobusie...” - również,

„Każdego dnia me serce...” - to

także. O, to już bardziej

pasuje, posłuchaj:

„Cierpliwości, znajdę jakiś

pewny sposób łączności. Na razie tutaj - G.” Wydrukowane w dwa dni po wprowadzeniu się do pani Warren owego niepokojącego lokatora. Wygląda to prawdopodobnie. Ten ktoś, kto tam jest obecnie, może nie mówić, ale musi rozumieć po angielsku. Inaczej ogłoszenie nie miałoby sensu. Zobaczmy czy jest ciąg dalszy... o, trzy dni później... „Sprawy idą dobrze, cierpliwości i spokoju. Chmury się rozwieją - G.” Przez tydzień cisza i coś konkretniejszego:

„Prawie sukces. Jeśli będę mógł, pamiętaj stary kod: 1 - A, 2 - B itd. Usłyszysz wkrótce - G.” To wczorajsze ogłoszenie. W dzisiejszej prasie nie ma nic na ten temat. Wszystko wskazuje, że adresem jest ów tajemniczy lokator. Jeśli trochę poczekamy, sądzę, że sprawy staną się znacznie jaśniejsze.

Tak też się stało. Rankiem następnego dnia znalazłem Holmesa siedzącego przed kominkiem z pełnym satysfakcji uśmiechem na twarzy.

- Jak ci się to podoba? - spytał biorąc ze stołu gazetę - „Wysoki, czerwony dom z białą elewacją, 3 piętro, 2 okno od lewej po zmroku - G.”. Sądzę, że po śniadaniu urządzimy sobie wycieczkę krajoznawczą po sąsiedztwie posesji pani Warren.

O, a oto i ona we własnej osobie. Co nowego?

Nasza klientka wpadła do pokoju tak gwałtownie, iż wystarczyło raz na nią spojrzeć, by wiedzieć, że coś musiało się wydarzyć, i to coś ważnego.

- To sprawa dla policji, panie Holmes - krzyknęła. - Nie będę dłużej tego tolerować! On musi się wynieść z mojego mieszkania. Poszłabym tam i powiedziała mu to, ale pomyślałam, że uczciwość nakazuje mi zasięgnąć najpierw pana opinii. Moja cierpliwość ma granice, a kiedy dochodzi do porwania mojego własnego męża, to...

- Kto był tak bezczelny?

- Sama chciałabym to wiedzieć! Dziś rano wyszedł jak zwykle przed siódmą - jest portierem u Mortona i Wazylyghta na Tettenham Court Road - i zanim zdołał zrobić dziesięć kroków dwaj ludzie zaszli go z tyłu, zarzucili mu na głowę płaszcz i wepchnęli do czekającego przy krawężniku auta. Przez godzinę wozili go po mieście, potem otworzyli drzwi i wyrzucili jak worek kartofli. Gdy się pozbierał, po samochodzie nie zostało śladu, a on sam był w Hampstead Heath. Przyjechał do domu i dochodzi do siebie, a ja natychmiast przybyłam dać panu o tym znać.

- Nader ciekawe. Czy widział

tych ludzi, lub słyszał ich rozmowę?

- Nie. Wie tylko, że nagle zrobiło się ciemno i został uniesiony w górę, a potem

wyrzucony z jadącego wozu. Było ich dwóch albo trzech.

- A dlaczego łączy pani tę napaść ze swoim lokatorem? - Żyjemy w tym miejscu od piętnastu lat. To spokojna okolica i nigdy nic podobnego nie miało tu miejsca. To nie jest przypadek, mam tego dość. Pieniądze nie są najważniejsze i dziś jeszcze chcę wiedzieć, jak ten człowiek wynosi się z mojego domu.

- Pani Warren, niech pani nie

robi niczego gwałtownego. Proszę
począkać z eksmisją. Zaczynam
sądzić, że ta sprawa jest
znacznie poważniejsza niż się z

pozoru wydawało. Oczywiście jest, że pani lokatorowi zagraża poważne niebezpieczeństwo. Jest
równie prawdopodobne, że oczekujący w zasadzce wrogowie pomylili w porannej mgle pani
męża z pani lokatorem, a stwierdziwszy swą pomyłkę wypuścili go. Możemy się jedynie
domyślać, co zrobiliby, gdyby nie popełnili pomyłki.

- Wobec tego co ja mam zrobić, panie Holmes?

- Bardzo chciałbym zobaczyć tego pani lokatora.

- Nie wiem jak by to można było zrobić, chyba że wyłamię pan drzwi. Otwiera je dopiero, gdy
słyszysz jak schodzę. Nigdy wcześniej.

- Musi zabrać tacę. Jeśli jest

jakieś miejsce, w którym
moglibyśmy się schować i
obserwować drzwi...

Kobieta zastanowiła się przez dłuższą chwilę.

- Po drugiej stronie korytarza jest niewielki pokoik. Ustawię tam lustro i jeśli siądziecie panowie
za drzwiami, powinno się to udać.

- Doskonale! - ucieszył się

Scherlock. - O której jest
lunch?

- Około pierwszej, sir.

- Wobec tego będziemy przed pierwszą. Do zobaczenia, pani Warren.

O wpół do pierwszej
znaleźliśmy
się na schodach domu pani
Warren, wysokiego budynku z
żółtej cegły, przy Great Orme
Street, wąskiej uliczce po
północno_wschodniej stronie
British Museum. Stał on w
pobliżu narożnika i widok z

niego obejmował też Howe Street, zabudowaną bardziej pretensjonalnie. Mój towarzysz z uśmiechem wskazał jeden z budynków.

- Widzisz, Watsonie? „Wysoki, czerwony dom z białą elewacją”.

Oto nasza stacja nadawcza. Znamy miejsce, znamy szyfr, toteż nie powinno być kłopotów. O, w oknie jest kartka „Do wynajęcia”, a więc mieszkanie jest puste i łatwo dostępne. Witam panią, pani Warren. Co teraz?

- Wszystko przygotowałam, ale musicie panowie zostawić buty na półpiętrze, żeby uniknąć hałasu. Proszę za mną.

Pokoik stanowił doskonale ukrycie, a lustro umieszczone było tak, że sami siedząc w mroku widzieliśmy dokładnie interesujące nas drzwi. Niewiele czasu minęło odkąd zajęliśmy swoje miejsca, gdy odległy głos dzwonka oznajmił porę lunchu tajemniczego lokatora. Wkrótce też pojawiła się pani Warren z tacą, którą zostawiła na krześle przy drzwiach, po czym stając ciężko zeszła ze schodów. Nie odrywaliśmy wzroku od lustra - kiedy kroki ucichły, rozległ się zgrzyt klucza w zamku i przez uchylone drzwi dwie szczupłe dłonie porwały tacę z krzesła, by po krótkiej chwili umieścić ją tam z powrotem. Przez moment widziałem śniadą i piękną twarz, z przerażeniem spoglądającą w uchylone drzwi naszego pokoiku. Drzwi zatrzasnęły się, klucz zazgrzytał znowu, po czym zapadła cisza. Holmes pociągnął mnie za rękaw i obaj ostrożnie zeszliśmy na dół, zachowując absolutną ciszę.

- Zadzwoń wieczorem - poinformował oczekującą nas właścicielkę. - Myślę, Watsonie, że z dyskusją poczekamy do powrotu do domu.

- Jak widziałeś, moje przypuszczenia okazały się słuszne - zaczął z głębin fotela. - Nastąpiła zamiana lokatorów. Nie przewidziałem tylko, że jest to również zamiana płci. To kobieta i to niezwykle kobieta, mój drogi. - Widziała nas.

- Niekoniecznie. Widziała coś,

co ją zaniepokoiło, nie ulega to wątpliwości. Ogólny przebieg wypadków jest jasny, nieprawdaż?

Pewna para szuka schronienia
przed zagrożeniem, i to
poważnym, biorąc pod uwagę
stopień przedsięwziętej przez
nią ostrożności. Mężczyzna,
który musi coś konkretnego
zrobić, pozostawia kobietę w

miejscu najbezpieczniejszym z
możliwych. Nie jest o takie
łatwo, a znajduje je w sposób
naprawdę oryginalny i na tyle
skuteczny, że obecność kobiety
jest tajemnicą nawet dla
właścicielki mieszkania,
regularnie przynoszącej jej

posiłki. Drukowane pismo jest teraz zrozumiałe - chodziło o ukrycie płci osoby piszącej, której
ktoś znający się na rzeczy mógłby domyślić się z charakteru pisma. Mężczyzna nie może się
zbliżyć do tego domu, by nie naprowadzić na ślad kobiety wrogów, a do utrzymania łączności
wykorzystuje ogłoszenia w gazecie. Jak dotąd wszystko jasne i proste.

- Tylko jakie są powody tego wszystkiego?

- Właśnie, mój drogi. Jak
zwykle jesteś praktyczny i
bezpośredni! Ciekawość i

przewrażliwienie pani Warren w miarę jak posuwamy się naprzód, niespodziewanie okazują się
kryć rzeczywiście groźną sprawę. Słyszeliśmy o napadzie na pana Warrena, który bez wątplenia
wymierzony był w jego lokatora i który dobitnie potwierdza wagę sprawy. Śmiem twierdzić, że
stawką w tej grze jest życie obojga, zaś sposób w jaki zaatakowano jasno wskazuje na przewagę
liczebną przeciwnika oraz na fakt, iż nie jest on świadomy zamiany. Ogólnie rzecz biorąc jest to
naprawdę ciekawy i skomplikowany przypadek.

- Zastanawia mnie - odezwałem
się po chwili - dlaczego chcesz
się nim dalej zajmować. Co

zyskasz?

- Sztuka dla sztuki. Sądzę, że gdy praktykowałeś w zawodzie wielokrotnie udzielałeś porad i
badałeś pacjentów bez zapłaty. Jakże były tego powody?

- Wiedza i doświadczenie.
- Nauka nigdy się nie kończy.

Całe życie to seria lekcji, z
których najważniejsze są
przeważnie te ostatnie. Ta

zagadka jest bardzo pouczająca i mimo braku widoków na honorarium czy sławę mam ochotę, i
to przemożną, rozwiązać ją. Pewnien jestem, że o zmierzchu będziemy wiedzieli znacznie
więcej.

Gdy ponownie znaleźliśmy się w domu pani Warren, Londyn okrywała już szarówka zimowego zmierzchu, rozpraszana jedynie żółtymi kwadratami okien i mglistym blaskiem latarni

gazowych. Siedząc w ciemnym salonie spoglądaliśmy uważnie na interesujące nas okno i niedługo trwało, gdy pojawiło się w nim światło.

- Zaczyna się - szepnął Holmes prawie przyciskając twarz do szyby. - Widzę cień, trzyma w dłoni świecę i spogląda w naszą stronę. Najwyraźniej chce mieć pewność, że jego towarzyszka jest już w oknie. Zaczyna nadawać. Zapisuj to, byśmy mogli później się zastanowić.

Pojedynczy błysk - A... ile teraz naliczyłeś? Dwadzieścia, ja też, a więc T... Co jeszcze jedno T? To musi być początek drugiego słowa... Dobrze, długa przerwa czyli koniec. Co wyszło? „Attenta”, to bez sensu. Tak samo zresztą, gdy podzielimy to w jakikolwiek sposób... Chyba że T\$A to czyjeś inicjały..., * O, znowu zaczyna... powtarza ten sam wyraz! Dziwne, Watsonie, naprawdę dziwne. Jeszcze raz to samo i cofnął się. Co o tym sądzisz?

Wówczas wiadomość brzmiała:

„At ten T. A.”, czyli „O

#/10#00 T. A.” (przyp. tłum.)

- Szyfr - odparłem krótko.

Holmes nagle roześmiał się.

- I to niezbyt skomplikowany. To po prostu nie jest po angielsku, tylko po włosku. „A” oznacza, że adresatką jest kobieta, a treść to „uwaga” powtórzone trzykrotnie. Jest to bez wątpienia ważna wiadomość, co można wywnioskować z powtórzenia. Tylko o co chodzi? Poczekajmy, znów podchodzi do okna.

Ponownie zobaczyliśmy przykucniętą sylwetkę szybko przesuwającą płomień świecy. Tym razem litery nadawane były znacznie szybciej. Tak szybko, że omal nie zgubiłem się przy ich notowaniu.

- Pericolo - to znaczy

„niebezpieczeństwo”. Tak, sygnał niebezpieczeństwa. Powtarza go... Peri... Tam do diabła, co się dzieje?!

Światelko nagle zniknęło i okno pogrążyło się w ciemnościach, podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe w tym budynku. Wiadomość została urwana w połowie i powody tego stanu rzeczy musiały dotrzeć do nas równocześnie, gdyż w tym samym momencie poderwaliśmy się na równe nogi.

- Sprawa się komplikuje - szepnął Holmes. - Powinniśmy zawiadomić Scotland Yard, ale nie ma na to czasu. Chyba że wytłumaczenie jest niewinne, a wówczas wyszlibyśmy na durniów. Chodź, sprawdzimy na miejscu, o co chodzi.

ii

Gdy szliśmy wzdłuż Howe Street
obejrzałem się w stronę
budynku, który właśnie
opuściliśmy. W oknie na piętrze
dostrzegłem postać wpatrującą
się w mrok i czekającą w
napięciu na dalszy ciąg
przerwanej rozmowy. Przy

drzwiach budynku z czerwonej cegły sterczał natomiast zakutany w szal mężczyzna w płaszczu, opierający się o ogrodzenie i przyglądający się nam uważnie.

- Holmes! - krzyknął nagle. - Gregson! - ucieszył się zawołany, potrząsając jego prawicą. - Góra z górą... Co cię tu sprowadza?

- Sądzę, że to samo co ciebie - uśmiechnął się inspektor. - Choć nie mam pojęcia, jakim cudem się tu znalazłeś.

- Różne tropy prowadzące do tego samego celu. Obserwowałem sygnały, które...

- Sygnały?!

- Z tego okna. Urwały się nagle, toteż przybyliśmy zbadać przyczynę. Skoro jednak sprawa jest w twoich rękach, możemy spokojnie wrócić do domu.

- Poczekaj! Zrobmy to razem. Tyle razy mi pomagałeś, że cieszę się na samą możliwość drobnego rewanzu. Z tego domu jest tylko jedno wyjście, tak że nie mógł nam się wymknąć. - Kto?

- Choć raz wiem więcej niż ty - niespodziewanie uderzył laską w chodnik, na który to sygnał ze stojącej w pobliżu dorożki wyskoczył i podszedł do nas woźnica z batem w rękę. - Poznaj pana Levertona z Ameryki, a ściślej z Agencji Pinkertona. A to jest słynny Sherlock Holmes. - Bohater zagadki w jaskini na Long Island? - spytał Holmes. - Sir, miło mi pana poznać.

Amerikanin, młody, choć poważnie wyglądający mężczyzna o opalonej twarzy i przystojnych rysach, zaczerwienił się na te słowa.

- Teraz jestem na tropie większej sprawy, panie Holmes. Jeśli zdołam złapać Gorgiano...

- Gorgiano z Czerwonego Kręgu?

- przerwał mu Holmes.

- O, widzę, że znany jest również w Europie. Zaczęliśmy go

śledzić i wiemy z całą pewnością, że ma na sumieniu około pięćdziesiąt morderstw, ale jak dotąd nie możemy go złapać. Ciągłe się wymyka.

Przyjechałem tu za nim z Nowego Jorku i przez tydzień byłem jego cieniem czekając na jakikolwiek pretekst, by złapać go za kołnierz. Wraz z panem

Gregsonem czekamy teraz. Jest w tym domu i nie może się nam wymknąć. Jak dotąd wyszły stąd jedynie trzy osoby i przysięgam, że nie był żadną z nich.

- Mówiłeś coś o sygnałach - Gregson zwrócił się do Holmesa. - Wygląda na to, że znowu wiesz więcej od nas.

Mój towarzysz wyjaśnił w paru słowach sprawę, którą się zajmowaliśmy i Leverton zaklął.

- To o nas chodzi - mruknął ponuro. - Musiał nas spostrzec przy jakiejś okazji. Teraz sygnalizuje któremuś ze swoich współpracowników, ma ich paru w Londynie. To, że przerwał nagle, może oznaczać jedynie, iż zauważył przez okno któregoś z nas. Postanowił działać natychmiast, skoro niebezpieczeństwo jest bliskie.

Co pan proponuje, panie Holmes? - Iść na górę i przekonać się na własne oczy jak wygląda sytuacja.

- Nie mamy ani nakazu rewizji, ani nakazu aresztowania.

- Te budynki są nie zamieszkałe, a okoliczności bardzo podejrzane - stwierdził Gregson. - Powody chwilowo zupełnie wystarczające. Biorę na siebie odpowiedzialność za aresztowanie, a potem zobaczymy, co będzie lepsze: przetrzymać go tu, czy przekazać do Nowego Yorku.

Nasi policjanci nie mają może największej wyobraźni, nie zawodzą natomiast gdy chodzi o odwagę i zdecydowanie. Gregson wspinał się po schodach, by aresztować wielokrotnego zabójcę

z taką miną, jakby były to schody w Scotland Yardzie. Amerykanin usiłował precyzyjnie się przed niego, ale Gregson powstrzymał go tyleż uprzejmie, co stanowczo - niebezpieczeństwa Londynu były sprawą londyńskiej policji.

Drzwi na trzecim piętrze, prowadzące do mieszkania po lewej stronie, były uchylone. Gregson pchnął je zdecydowanym ruchem. Wewnątrz panowała cisza i ciemność, toteż czym prędzej zapalił kieszonkową latarkę. Gdy płomień uspokoił się, ku swemu zaskoczeniu ujrzeliśmy na białych deskach podłogi świeże ślady krwi, które prowadziły w naszą stronę i zatrzymywały się w pobliżu okna. Prowadziły one do zamkniętych drzwi sąsiedniego pokoju. Inspektor otworzył je i trzymając światło przed sobą wszedł do środka. Ruszyliśmy za nim.

W pozbawionym mebli pokoju, na środku podłogi leżała skulona postać ogromnego mężczyzny. Jego groteskowo wykrzywioną twarz otaczał krąg wymalowany krwią. Ręce miał szeroko rozrzucone, a z szyi wystawała mu kościana rękoność sztyletu, zatopionego aż po gardę w ciele. Obok prawej dłoni leżącego spoczywały doskonale wykonane sztylet z rogową rękonością i czarna, dziecięca rękawiczka. Sądząc z układu ciała musiał umrzeć zanim jeszcze upadł.

- O Boże! To Czarny Giorgiano! - zdumiał się Amerykanin. - Ktoś nas wyprzedził.

- Na oknie jest świeca - poinformował nas Gregson. - Co ty wyprawiasz?

Pytanie to było skierowane do Sherlocka, który zapalił ją i przesunął szybko wzdłuż okna, po czym spojrzął w ciemność, zdmuchnął świecę i rzucił ją na podłogę.

- Sądzę, że to nam nieco

pomoże - mruknął enigmatycznie i

zamarł pogrążony w myślach, podczas gdy obaj policjanci oglądali ciało. - Mówicie, że w czasie waszej obserwacji wyszły stąd trzy osoby. Przyjrzelście się im dokładniej?

- Oczywiście - odparł Gregson.

- Czy był wśród nich mężczyzna

około trzydziestki, średniego

wzrostu, o śniadej cerze i

czarnej brodzie?

- Wyszedł jako ostatni.

- Jak sądzą, jest to zabójca. Poza rysopisem macie doskonały ślad buta odbity we krwi. Nie powinniście mieć trudności ze znalezieniem go.

- Zapewne, wśród milionów londyńczyków...

- MOże i tak. Dlatego

pomyślałem, że najlepiej

poprosić tę panią o pomoc. Na te słowa wszyscy odwróciliśmy się w stronę drzwi, gdzie spoglądał Holmes. Stała tam wysoka i przystojna kobieta, tajemnicza lokatorka pani Warren. Podeszła powoli, blada z trwogi, wpatrując się nieruchomo w leżące na podłodze ciało.

- Zabiliście go! - szepnęła.

Oh, Dio Mio, zabiliście go!

Nagle gwałtownie zaczerpnęła powietrza i z okrzykiem radości skoczyła w górę, po czym zaczęła tańczyć wokół pokoju klaszcząc w dłonie i z błyszczącymi oczyma mówiąc coś bez przerwy po włosku. Dziwne ze wszech miar było obserwowanie tej radości na widok trupa. Nagle zatrzymała się i spojrzała na nas pytająco. - Wy z policji, tak? Wy zabiliście Giuseppe Gorgiano, tak? - spytała niegramatyczną angielszczyzną.

- Jesteśmy z policji, proszę pani - odpowiedział Gregson. Rozejrzała się zaskoczona po ciemnych kątach pomieszczenia.

- A gdzie jest Gennaro? -

spytała. - Mój mąż, Gennaro
Lucca? Jestem Emilia Lucca z
Nowego Yorku. Chwilę temu był w

oknie i przybiegłam, jak kazał. - To ja poleciłem pani przyjść - odezwał się Holmes.

- Jak?

- Wasz szyfr nie był zbyt
skomplikowany, proszę mi

wierzyć, zaś pani obecność tutaj wydała mi się wskazana. Nadałem „vieni” i pani przyszła.
Spojrzała nań z podziwem.

- Nie rozumiem, skąd pan to

wie. Gorgiano, jak... -

przerwała i nagle twarz

rozjaśnił uśmiech dumy -

Gennaro! Mój cudowny Gennaro! Strzegł mnie i zrobił to własnoręcznie! Zabił potwora. Gennaro, jesteś cudowny. Jaka kobieta może być cię godna? - Pani Lucca - Gregson położył dłoń na jej ramieniu takim gestem, jakby była największym chuliganem z Notting Hill. - Nie bardzo wiem kim i czym pani jest, ale powiedziała pani dość, bym miał ochotę porozmawiać z panią w Yardzie.

- Poczekaj - wtrącił się

Holmes. - Wydaje mi się, że ta

dama może być równie chętna do

udzielania nam informacji, jak

my do ich wysłuchania. Rozumie

pani, że jej mąż zostanie

aresztowany i sądzone na

okoliczność śmierci tego, który

leży tu przed nami. To, co pani

powie, może być użyte jako dowód

na procesie, ale jeśli sędzi

pani, iż działał on ze

szlachetnych pobudek i

chciałaby, by te pobudki były znane, to nie może mu się pani przysłużyć lepiej niż opowiadając nam tę historię. - Tak, Gorgiano nie żyje i nie obawiamy się niczego - oznajmiła radośnie. - To

był diabeł i potwór w jednej osobie, żaden sędzia nie może ukarać mojego męża za to, że go zabił.

- W takim razie - zaproponował

mój przyjaciel - najlepiej
będzie zamknąć te drzwi
zostawiając wszystko tak jak
było i iść z panią do jej

mieszkania, by zapoznać się z całą historią. Dopiero po jej wysłuchaniu wyrobimy sobie opinię o całej sprawie.

Pół godziny później

siedzieliśmy w niewielkim

saloniku słuchając specyficznej angielszczyzny seniory Lucca, opowiadającej nam historię, której pointę widzieliśmy na białych deskach podłogi. Aby ta długa historia stała się bardziej zrozumiała, pozwoliłem sobie nieco poprawić jej gramatykę.

- Urodziłam się w Posilippo w pobliżu Neapolu, a moim ojcem był prawnik, Augusto Barelli, niegdyś deputowany z tego okręgu. Gennaro był zatrudniony przez mojego ojca. Pokochałam go, jak zrobiłaby każda kobieta, choć nie miał ani pozycji, ani majątku, przez co mój ojciec nie zgodził się na małżeństwo.

Uciekliśmy, pobraliśmy się w
Bari i sprzedaliśmy moje
klejnoty, by opłacić podróż do

Ameryki. Było to cztery lata temu i od tej chwili żyliśmy w Nowym Yorku. Z początku sprzyjało nam szczęście. Gennaro oddał przysługę włoskiemu dżentelmenowi, ratując go przed pobiciem w miejscu zwanym Bowey. Czynem tym zyskał wpływowego przyjaciela nazwiskiem Tito Castalotte, współwłaściciela firmy importującej owoce „Castalotte i Zamba”. Senior Zamba był inwalidą i praktycznie całą firmą kierował nasz nowy przyjaciel. Zatrudnionych było w niej ponad trzystu pracowników. Senior Castalotte zaangażował mojego męża na stanowisko szefa działu i na każdym kroku okazywał mu swą przychylność.

Był kawalerem i myślę, że
traktował go jak syna, a oboje z
mężem darzyliśmy go takim
uczuciem, jakby był naszym
ojcem. Kupiliśmy niewielki domek
na Brooklynie i przyszłość

rysowała się przed nami w jasnych barwach, gdy nagle pojawił się w naszym życiu Gorgiano. Przeprowadził go pewnej nocy mój mąż, ponieważ byli krajanami i znali się jeszcze z Włoch. Był to potężny mężczyzna, co sami panowie widzieliście, ale nie tylko z uwagi na posturę. Właściwie wszystko w nim było potężne i przerażające: głos jak grom, pomysły, uczucia - wszystko to było monstrualne i przesadzone.

Mówił, lub raczej ryczał, z taką energią, że wszyscy musieli go słuchać przytłoczeni dźwiękiem i potokiem słów. Jego oczy pałały czymś, co przykuwało uwagę i niewoliło człowieka. Przychodził do nas często, choć zdawałam sobie sprawę z tego, że mężowi niezbyt to odpowiada. W jego obecności siedział blady i milczący, słuchając nie kończących się tyrad o polityce i sprawach socjalnych. Nic nie mówił, ale na jego twarzy widziałam wyraz, którego nie zobaczyłam nigdy dotąd. Z początku sądziłam, że to niechęć, lecz w końcu zrozumiałam, że to strach.

Głęboki, przejmujący strach. Tej nocy, gdy to zrozumiałam, nakłoniłam go, by mi wszystko opowiedział. Zrobił to. Wtedy sama zaczęłam się bać. Chyba jeszcze bardziej niż on. W latach młodości, gdy cały świat zdawał mu się wrogi, a do szaleństwa doprowadzała go niesprawiedliwość, której doświadczał na każdym kroku, mój Gennaro przyłączył się do neapolitańskiego stowarzyszenia zwanego Czerwonym Kręgiem, wywodzącego się z Karbonariuszy.

Ich przysięgi i sekrety były przerażające, ale kiedy stał się już jednym z nich, ucieczka była niemożliwą. Gdy znaleźliśmy się w Ameryce sądził, że zostawił to za sobą i że sprawa jest zamknięta na zawsze. Ale pewnego

dnia ku swemu przerażeniu spotkał na ulicy człowieka, który wprowadził go do Kręgu i który zasłużył sobie w południowych Włoszech na przydomek „Śmierć”, gdyż ręce miał do łokci zbrukane krwią - olbrzyma Gorgiano. Przybył on do Nowego Yorku uciekając przed włoską policją i założył tam oddział Czerwonego Kręgu. Gennaro pokazał mi też wezwanie, które otrzymał, polecające mu stawienie się w określonym czasie i określonym miejscu. Już samo to było złe, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Zauważyłam, że od pewnego czasu olbrzym przychodząc do nas ciągle patrzy i mówi do mnie; nawet jeśli słowa skierowane były do mojego męża, ani na moment nie spuszczał oczu ze mnie. Pewnego wieczora zrozumiałam dlaczego. Obudziłam w nim coś, co nazwał „miłością”.

Przybył do nas zanim jeszcze
pojawił się Gennaro, chwycił
mnie w objęcia i zaczął
całować, namawiając, bym

poszła z nim. Szarpałam się i krzyczałam, gdy wtem zjawił się Gennaro i zaatakował go.

Nieprzytomnego zostawiliśmy na podłodze i uciekliśmy, by już nigdy nie wrócić do domu. Tej nocy przysporzyliśmy sobie śmiertelnego wroga. Parę dni potem odbyło się zebranie Kręgu. Mąż wrócił z niego z taką miną, że od razu wiedziałam, iż stało się coś strasznego.

Rzeczywistość okazała się jednak gorsza od naszych najgorszych obaw. Fundusze organizacji wymuszano od bogatych Włochów.

Jednym z tych, do których się
zwrócono, był nasz przyjaciel
Castalotte. Nie ugiął się on
przed pogroźkami, a nawet
przekazał sprawę policji, co
spowodowało wydanie nań wyroku
śmierci, tak za mieszanie obcych
w sprawy narodowe jak i dla
zastraszenia innych opornych lub

zaczynających się buntować. Na spotkaniu postanowiono, że zostanie wysadzony z domem przy użyciu dynamitu i odbyło się losowanie wykonawcy wyroku. Gennaro losując zobaczył twarz Gorgiano i zanim wyciągnął los z Czerwonym Kręgiem, wiedział, że sprawa została w jakiś sposób uprzednio ukartowana. Miał albo zabić przyjaciela, albo narazić mnie i siebie na zemstę, gdyż w takich wypadkach Krąg karał nie tylko swoich członków, ale też wszystkich ich bliskich, było to ogólnie wiadome. Całą noc zastanawialiśmy się co zrobić, gdyż zamach należało przeprowadzić następnego wieczora. W końcu ostrzeżyliśmy seniora Castalotte i w południe byliśmy już w drodze do Londynu.

Na wszelki wypadek
poinformowaliśmy uprzednio o
wszystkim policję. Resztę

panowie znacie. Byliśmy pewni,
że prześladowcy nie zostawią nas
w spokoju. Nie licząc misji
oficjalnej, Gorgiano miał

osobiste motywy zemsty, a znając jego bezwzględność i upór wiedzieliśmy, że nie spocznie nim nie wykona zadania, Włochy i Ameryka dobrze przecież znają jego okrucieństwa. Mieliśmy parę dni na zorganizowanie dla mnie takiego schronienia, by niebezpieczeństwo nie mogło mnie osiągnąć bez ostrzeżenia. Mąż natomiast musiał być wolny, by móc swobodnie kontaktować się z włoską i amerykańską policją. Sama nie wiem, gdzie mieszka, bo jedyne wieści od niego otrzymywałam przez ogłoszenia w gazecie. Pewnego razu przez okno zauważyłam dwóch Włochów obserwujących dom i wiedziałam, że zostaliśmy odnalezieni. W końcu, dziś w nocy, Gennaro zaczął nadawać, ale sygnały nagle się urwały. Teraz wiem, że zdawał sobie sprawę z bliskości Gorgiana i na szczęście był przygotowany na to spotkanie.

Pytam was panowie, czy po tym wszystkim, co usłyszeliście przed chwilą, możemy obawiać się czegokolwiek ze strony prawa? Czy jakkolwiek sędzia na tym świecie mógłby skazać mego męża za to, co uczynił?

- Cóż, panie Gregson - odezwał się Amerykanin spoglądając na inspektora - Nie wiem jak wy, Anglicy, zapatrujecie się na to, ale w Nowym Yorku mąż tej damy może liczyć na serdeczne podziękowanie.

- Będzie pani musiała udać się ze mną i zobaczyć się z moim szefem - zdecydował policjant. - Jeśli to, co pani powiedziała jest prawdą, nie sądzę, by musiała się pani czy też jej mąż obawiać czegoś z naszej strony. Natomiast ani w ząb nie mogę pojąć, skąd, u diaska, ty się tu znalazłeś, Holmesie.

- Nauka, Gregsonie. Ciekawość jest lepsza od uniwersytetu. Cóż, Watsonie, masz oto jeszcze jeden przypadek do swojej kolekcji. Tak na marginesie, jest już ósma, a dziś wieczorem w Covent Garden grają Wagnera. Jeśli się pośpieszymy, powinniśmy zdążyć na drugi akt.

Sprawa
diabelskiej stopy

W mojej pracy związanej z
zapisywaniem i podawaniem do
publicznej wiadomości niektórych
ciekawszych przypadków z kariery
mego przyjaciela, największą
trudność sprawiała mi zawsze jego
awersja do rozgłosu. Dla niego

najważniejsze było samo
rozwikłanie sprawy -
aresztowanie przestępcy zostawiał
najczęściej czynnikom oficjalnym
i z lekceważącym uśmiechem
słuchał potem peanów
pochwalnych, kierowanych pod
niewłaściwym adresem. To właśnie
nastawienie, nie zaś brak

materiałów, było powodem mego milczenia w ciągu ostatnich lat. Mój udział w części jego przygód zawsze był przywilejem i przyjemnością, ale też nakładał na mnie obowiązek milczenia tak długo, jak długo nie uzyskałem zgody Sherlocka na publikację jego przygód.

Dlatego też sporą

niespodziankę sprawił mi

telegram od Holmesa, który przyszedł do mnie w ostatni wtorek (nigdy nie pisał listów, jeśli korespondencję można było załatwić przy pomocy depeszy).

Oto jego treść:

„Dlaczegoż nie opowiedzieć by im o Kornwalijskim horrorze? Najdziwniejsza sprawa, jaką miałem”.

Pojęcia nie mam, co przypomniało mu tę przygodę, ani też co skłoniło go do zgody. Ale, nie czekając aż zmieni zdanie, poszukałem notatek ze szczegółami i oto przedstawiam państwu tę historię.

Działo się to na wiosnę 1897
roku, gdy żelazne zdrowie
Sherlocka zaczęło zdradzać
objawy przemęczenia ciągłą
pracą, nader podniecającą, ale i
wyczerpującą system nerwowy. W
marcu tegoż roku doktor Moore
Agar z Harley Street, którego
dramatyczne spotkanie z mym
przyjacielem być może
przedstawię pewnego dnia,
postawił jednoznaczną diagnozę,
że jeśli Holmes nie zrobi sobie
dłuższego odpoczynku zrywając
całkowicie na ten czas z

praktyką, grozi mu załamanie nerwowe. Stan własnego zdrowia nigdy nie interesował Holmesa, chyba że kolidował z jakimś jego planem, co zdarzało się nader rzadko. Tym razem jednak zagrożenie było poważne, a alternatywę dla długiej przerwy stanowiło całkowite zerwanie z zawodem, toteż zgodził się on na

urlop i całkowitą zmianę otoczenia. W taki oto sposób znaleźliśmy się w niewielkim domku przy Poldhu Bay, na odległym zakątku kornwalijskiego wybrzeża.

Było to miejsce dość szczególne, choć doskonale odpowiadające humorowi i osobowości mego towarzysza. Z okien naszego białego pomalowanego domku widać było prawie całe złowrogie półkole Mounts Bay - starej pułapki żaglowców. Przy północnym wietrze zatoka wyglądała spokojnie i zacisznie, zapraszając sterane burzą statki, by szukały tu schronienia i spokoju. Potem następował nagły skręt wiatru na południowo_zachodni, kotwica szorowała po dnie nie znajdując punktu zahaczenia, zbliżały się skały i koniec, który kosztował wiele załóg życie. Doświadczeni marynarze omijali to miejsce szerokim łukiem.

Otoczający nas z drugiej strony ląd był równie niegościnnie jak morze - przeważnie trzęsawiska i bagna, tu i tam przetykane suchym lądem, z wieżą kościelną zaznaczającą z daleka istnienie wioski. Wszędzie też spotkać można było ślady jakiejś dawno wymarłej rasy, która pozostawiła po sobie tajemnicze obeliski i nieregularne budowle kryjące prochy zmarłych oraz dziwne wały ziemne o nieznanym przeznaczeniu. Cała okolica sprawiała niesamowite i tajemnicze wrażenie, pobudzając wyobraźnię. Holmes spędzał

długie godziny na wędrówkach i
medytacjach, zainteresowany nie
tylko budowlami, ale także
starym, używanym jeszcze
gdzieniegdzie w okolicy

dialektem. Przypuszczał, że wywodzi się on z chaldejskiego, przywiezionego tu przez kupców
fenickich zainteresowanych wydobywaną w tym rejonie cyną.

Przysłano mu sporo książek
filologicznych i zajął się
właśnie uzasadnianiem swej
teorii, gdy nagle, ku memu
żalowi a jego radości,

znaleźliśmy się wobec problemu o wiele ciekawszego, bardziej skomplikowanego i
poważniejszego niż te, które wyгнаły nas z Londynu. Seria wydarzeń, które przerwały nasz
odpoczynek wywołała ogólne zainteresowanie nie tylko w Kornwalii, ale w całej zachodniej
Anglii i sądzę, że wielu czytelników przypomina sobie to, co wówczas nazywano
„Kornwalijskim Horrorem”, choć do londyńskiej prasy dotarły relacje nader niedokładne.

Teraz, po trzynastu latach, mogę dać prawdziwe świadectwo temu, co się wówczas stało.

Jak już pisałem, dzwonnice
kościelne stanowiły w słabo
zaludnionej okolicy punkty
orientacyjne. Najbliżej nas

znajdowała się osada Tredennick Wollas, z której paruset mieszkańców skupiało się wokół
starego i omszałego kościoła. Wikarym tej parafii był ojciec Roundhary, archeolog amator.

Dzięki tym zamiłowaniom zbliżyli
się z Holmesem do siebie. Był to
mężczyzna w średnim wieku, miły,
spokojny i doskonale
zorientowany w tutejszych

zwyczajach. Czasem zapraszał nas do siebie na herbatę, dzięki czemu mieliśmy okazję poznać
jego lokatora, pana Mortimera Tregennisa, kawalera, wynajmującego w dużej i pustej plebanii
dwa pokoje. Wikary, będąc osobą samotną, nie miał nic przeciwko temu, choć niewiele mieli z
sobą wspólnego.

Pamiętam, że podczas naszych,

krótkich zresztą wizyt,
gospodarz był nader gościnnie,
zaś jego lokator siedział
pogrążony w milczeniu i
niewesołych, sądząc z wyrazu
twarzy, myślach, prawie nie
zwracając uwagi na to, co się

wokół działo.

Ci dwaj wyżej opisani
dżentelmeni zjawili się nagle w
naszym saloniku 16 marca, w
czwartek, tuż po śniadaniu, gdy
przygotowywaliśmy się do
codziennej wycieczki na
pustkowie.

- Panie Holmes - zaczął wikary
wzburzoną głosem - przyczyną
naszej wizyty jest nadzwyczaj
niecodzienne i tragiczne
wydarzenie, które miało miejsce
ostatniej nocy. Możemy jedynie
dziękować Opatrzności, że akurat
znalazł się pan tutaj, gdyż jest
pan tym właśnie człowiekiem,
którego najbardziej nam
potrzeba.

Obdarzyłem go niezbyt
przyjaznym spojrzeniem,
natomiast Holmes aż się
wyprostował w fotelu na te słowa
i wskazał naszym, zdyszczanym

gościom sofę. Pan Tregennis, był
spokojniejszy, choć nerwowe
ruchy rąk i błysk oczu
zdradzały, że podziela

zdenerwowanie swego towarzysza. - Pan będzie mówił, czy ja? - spytał ksiądz.

- Jeżeli, jak sądzę, to pan dokonał odkrycia, a wielebny zna je z drugiej ręki - wtrącił Sherlock -
będzie lepiej, jeśli pan sam o nim opowie.

Ponieważ wikary był ubrany niestarannie, co świadczyło o pośpiechu, zaś jego towarzysz
nienagannie, wnioskowanie mojego przyjaciela było nader proste. Wywarło jednak piorunujący
efekt na naszych gościach.

- Może lepiej będzie jeśli
wpierw coś wyjaśnię - wielebny
Roundhay pierwszy odzyskał głos
- potem wysłucha pan opowieści
pana Tregennisa lub zadecyduje,
byśmy nie zwlekając udali się na
miejsce tego tajemniczego
zdarzenia. Otóż, nasz przyjaciel
spędził wczorajszy wieczór w
towarzystwie swoich dwóch braci,
Owena i Georga oraz siostry
Brendy w ich domu, w Tredannick

Wartha, leżącym nie opodal tego kamiennego krzyża, o którym rozmawialiśmy ostatnio. Opuścił
ich krótko po dziewiątej wieczorem siedzących przy stole, przy którym właśnie zakończyli grę
w karty. Pozostawił ich w doskonałym zdrowiu i humorze.

Ponieważ ma zwyczaj wcześniej
wstawać, także dziś rano przed
śniadaniem wyszedł na spacer i
po drodze spotkał bryczkę
doktora Richardsa, który

poinformował go, że właśnie otrzymał pilne wezwanie do Tredannick Wartha. Słyszac to
pojechał naturalnie z nim i oto co znaleźli: rodzeństwo siedziało przy stole tak jak w chwili, gdy
ich opuścił w nocy, z kartami leżącymi na stole i świecami wypalonymi do cna. Siostra,
martwa, wpółleżała na krześle, zaś bracia dostali pomieszania zmysłów - śmiali się, śpiewali i
krzyczeli do siebie zupełnie bez sensu.

Wszyscy troje natomiast mieli na twarzach wyraz zupełnego przerażenia, od którego
człowiekowi skóra cierpła na plecach. W domu nie było śladów czyjejkolwiek obecności, a stara
pani Porter, kucharka i gospodyni, spała całą noc i niczego nie słyszała. Nic nie zginęło ani nie
zostało zniszczone i nie ma żadnego wytłumaczenia, co mogło tych troje tak przerazić, że

kobieta zmarła, a dwóch silnych mężczyzn zwariowało. Tak w najogólniejszym zarysie wygląda sytuacja i jeśli zdoła ją pan wyjaśnić, to pomoże nam pan ponad miarę.

Miałem nadzieję, że uda mi się stłumić zainteresowanie Holmesa tą sprawą, ale jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało mi, że jest to absolutnie niewykonalne. Siedział jeszcze przez parę chwil w milczeniu, rozmyślając, po czym oznajmił:

- Zajmę się tą sprawą. Wydaje

mi się nader interesująca, by
nie rzecz wyjątkowa. Czy ojciec
wielebny był na miejscu
tragedii?

- Nie, panie Holmes. Pan

Tregennis zdał mi relację po powrocie i natychmiast pośpieszyliśmy do pana.

- Jak daleko znajduje się dom, o którym mowa?

- Około mili w głąb lądu.

- Wobec tego pojedziemy tam razem. Ale zanim wyjdziemy, chciałbym jeszcze zadać panu Tregennisowi kilka pytań.

Ten ostatni jak dotąd milczał, ale widać było, że jego tłumione emocje są silniejsze niż duchownego - siedział z pobladłą i napiętą twarzą, wzrokiem wbitym w Holmesa i kurczowo zaciśniętymi dłońmi. Wargi mu drżały, a w ciemnych oczach zdawał się odbijać przerażający widok, który oglądały.

- Proszę pytać, panie Holmes - zaoferował się, ledwie mój przyjaciel umilkł. - To straszna rzecz, ale powiem panu wszystko, co wiem.

- Proszę mi opowiedzieć o przebiegu wydarzeń tej nocy. - Cóż, zjadłem z nimi kolację i George, mój starszy brat, zaproponował grę w wista.

Zaczęliśmy przed dziewiątą, a ja
wychodziłem kwadrans po
dziesiątej, zostawiając ich przy
stole, wesółych i w dobrym
zdrowiu.

- Kto pana wypuścił?

- Pani Porter poszła już spać,
ale drzwi zewnętrzne mają
sprężynowy zatrzask, toteż nie
musiałem nikogo fatygować. Okno

do pokoju było zamknięte, choć
okiennic nie zawarto. Dziś rano
nie w drzwiach ani w oknie nie
uległo zmianie i nie ma żadnych
powodów, by przypuszczać, że
ktoś obcy był w środku. A
przecież siedzieli tak jak ich
zostawiłem, przerażeni do utraty
zmysłów, a Brenda i życia, z
głową zwisającą bezwładnie przez

oparcie krzesła. Do końca życia nie zapomnę widoku tego pokoju. - Fakty, jak je usłyszałem, są
zaiste niecodzienne - mruknął Holmes. - Sądzę, że wy, panowie, nie macie żadnej tłumaczącej je
teorii?

- To diabelska sprawa, panie Holmes - zawołał Tregennis. - Nie z tego świata! Coś dostało się
do tego pokoju i przeraziło ich śmiertelnie. Jaki człowiek mógłby tego dokonać?!

- Nietuzinkowy. Natomiast

obawiam się, że jeśli to
faktycznie jest sprawa sił
nadprzyrodzonych, to ja na nic
się nie przydam. Posłałem
wprawdzie sporo klientów do
piekła, ale nie mam z nim
bliższych kontaktów. Najpierw
jednak, nim przypiszemy wszystko
Diabłu, rozpatrzmy naturalne
wyjaśnienia. Jeśli chodzi o
pana, panie Tregennis,

przypuszczam, że w jakiś sposób był pan poróżniony z rodzeństwem, skoro oni mieszkali razem,
a pan osobno?

- To prawda, choć sprawa należy do przeszłości i jest już przedawniona. Wydobywaliśmy razem
cynę w Redruth, ale sprzedaliśmy działkę kompanii i wycofaliśmy się z interesu z wystarczającą
ilością gotówki, by żyć w spokoju. Nie przeczę, że wystąpiły różnice zdań co do podziału tych
pieniędzy.

Poróżniło to nas na pewien czas, ale te sprawy zostały wybaczone i zapomniane, tak że uczciwie można powiedzieć, iż byliśmy doskonałymi przyjaciółmi.

- Wracając do wczorajszego wieczoru, czy nie utkwiło panu w pamięci coś, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu tej tragedii? Proszę się dobrze zastanowić, gdyż najdrobniejszy nawet szczegół może być mi wielce pomocny.

- Nic takiego nie miało miejsca, sir.

- Rodzina była w normalnych nastrojach?

- Nigdy nie widziałem ich w lepszych.

- Czy byli nerwowymi ludźmi? Czy w ich zachowaniu widać było oznaki zbliżającego się niebezpieczeństwa?

- Nie, żadnej z tych rzeczy. - Ma pan coś jeszcze do dodania? Coś, co mogłoby mi pomóc?

Zapytany zastanawiał się głęboko przez dłuższą chwilę. - Jeden drobiazg - odezwał się w końcu. - Gdy siedzieliśmy przy grze, byłem odwrócony plecami do okna, a Georg, będący moim partnerem, siedział zwrócony doń twarzą. W pewnym momencie zauważyłem, że przygląda się uważnie czemuś ponad moim ramieniem, toteż odwróciłem się i spojrzałem za jego wzrokiem na okno. Widać było przez nie zarośla i krzewy w ogrodzie i przez moment wydało mi się, że coś się między nimi porusza. Nie jestem pewien czy nie był to wiatr, a już zupełnie nie mogę określić czy był to człowiek, czy zwierzę. Gdy spytałem brata czemu się tak przygląda, okazało się, że odniósł podobne wrażenie. To wszystko, co mogę dodać.

- Nie sprawdziliście tego wówczas?

- Nie. Uznaliśmy to za przywidzenie i szybko o nim zapomnieliśmy.

- Opuścił ich pan bez jakiegokolwiek uczucia niebezpieczeństwa?

- Zupełnie.

- Jeszcze jedno. Niezbyt rozumem, w jaki sposób

dowiedział się pan tak wcześnie o nieszczęściu?

- Mam zwyczaj wstawać o świcie i przed śniadaniem idę najczęściej na spacer. Dziś rano, ledwie wyszedłem, minęła mnie bryczka doktora, który powiedział mi, że pani Porter

posłała do niego chłopca z
pilnym wezwaniem. Wskoczyłem więc

do jego powozu i pojechaliśmy razem. Razem też weszliśmy do tego straszego pokoju. Świece i kominiek musiały wygasnąć na długo przed świtem i musieli tak siedzieć w ciemnościach zanim się nie rozwidniło. Lekarz powiedział, że Brenda nie żyje od co najmniej sześciu godzin i że nie ma żadnych śladów przemocy. Po prostu na wpół leżała, przewieszona przez oparcie krzesła, z wyrazem obłądnego przerażenia na twarzy. George i Owen śpiewali strzępki piosenek i mamrotali jak dwa szympany. To było okropne! Nie mogłem tego znieść. Lekarz też był błądy jak płótno, prawie zemdłał i musieliśmy pomóc mu wyjść.

- Ciekawe... bardzo ciekawe -
mruknął Holmes wstając i biorąc
kapelusz. - Sądzę, że najlepiej
zrobimy udając się bez dalszej
zwłoki na miejsce. Przyznaję, że
nie przypominam sobie sprawy,
która na pierwszy rzut oka
robiłaby wrażenie tak
skomplikowanej.

Nasze poczynania tego dnia
niewiele posunęły śledztwo do
przodu. Zdarzył się jednak
wypadek, który wywarł na nas
wszystkich bardzo przygnębiające
wrażenie. Do miejsca tragedii
prowadziła kręta, wiejska droga,
wzdłuż której szliśmy. W pewnej
chwili z przodu dał się słyszeć
tętent kopyt i turkot kół, po
czym wyminął nas jadący z
przeciwka czarny powóz. Przez
małe okienko w zamkniętych
drzwiach zauważyłem potwornie
wykrzywioną twarz z

wytrzeszczonymi oczyma,
szczerzącą w naszą stronę zęby.

Był to tylko moment, ale okropne wrażenie pozostało mi na długo w pamięci. Zresztą nie tylko mnie, gdyż, jak się okazało, wszyscy zwróciliśmy na nią uwagę.

- Moi bracia! - jęknął

Tregennis. - Zabierają ich do

Helston!

Spoglądaliśmy posepnie za oddalającym się pojazdem i dopiero po dłuższej chwili ruszyliśmy ku domowi, w którym wydarzyło się to nieszczęście.

Był to duży i przestronny

budynek, raczej willa niż

wiejski dom, otoczony sporym ogrodem, w którym przy tutejszym klimacie, zaczynały już kwitnąć kwiaty. Na ogród od naszej strony wychodziły okna salonu i tu też według opowieści pana Mortimera, musiała pojawić się owa przyczyna śmiertelnego strachu. Holmes wolno i uważnie przeszedł wzdłuż grządek i rabat tak zaabsorbowany poszukiwaniami, że potknął się o wiadro z deszczówką, oblewając zarówno ścieżkę, jak i nasze stopy.

Wewnątrz powitała nas starsza gospodyni rodem z sąsiedztwa, pani Porter, która z pomocą młodej dziewczyny prowadziła dom. Na pytania mojego przyjaciela odpowiadała szczerze i bez ociągania. Nie, nic w nocy nie słyszała. Gdy kładła się spać wszyscy byli w doskonałych nastrojach, rzadko widziała ich weselszych i pełniejszych ochoty do życia. Rankiem zemdlała, gdy weszła do tego pokoju, a po oprzytomnieniu czym prędzej otworzyła okna i pobięła posłać chłopca stajennego po doktora.

Jeśli chcemy zobaczyć panienkę,

to jest teraz w sypialni na

piętrze, a jej braci musiało

zapakować do karety czterech silnych mężczyzn. Nie zostanie w tym przeklętym domu ani dnia dłużej i tegoż popołudnia wyjeżdża do rodziny w St. Ives.

ObejrzełiśMy zmarłą - panna
Brenda Tregennis była piękną
kobietą, choć zbliżała się już
do wieku średniego. Jej śniada i
przystojna twarz była nadal
ładna, mimo że pozostało w jej
wyrazie sporo z przerażenia,
które było ostatnim w jej życiu
uczuciem. Następnie

obejrzelismy salon, w którym wydarzyła się tragedia. Kominek wypełniał popiół po doszczętnie wypalonym ogniu, na stole stały cztery lichterze z wypalonymi świecami i rozrzucone karty. Krzesła odsunięto pod ściany.

Inne przedmioty pozostały na swoich miejscach. Holmes przespacerował się po pokoju, usiadł na paru krzesłach, po czym ustawił je przy stole według wskazówek pana Tregennisa, rekonstruując dokładnie ich położenie.

Sprawdził dalej, jaka część ogrodu jest widoczna z którego miejsca, zbadał dokładnie sufit, podłogę i kominek, ale ani razu nie dostrzegłem tego charakterystycznego błysku w jego oczach czy skrzywienia warg, które wskazywałoby, że dostrzegł jakiś ślad.

- Dlaczego rozpalono ogień? - spytał w pewnym momencie. - Czy zawsze tu palono w wiosenne wieczory?

Mortimer Tregennis wyjaśnił, że noc była zimna i wilgotna, dlatego też, gdy przybył, rozpalono w kominku.

- Co pan teraz zamierza, panie Holmes? - spytał w końcu.

- Sądzę, Watsonie - odparł zapytany z uśmiechem - że wrócę do zatruwania się tytoniem, które tak często i słusznie potępiasz. Za waszym

pozwoleniem, panowie, wrócimy do domu. Nie sądzą, by dało się tu jeszcze zauważyć cokolwiek nowego. Przeanalizujemy całą sprawę, panie Tregennis, i jeśli do czegoś dojdziemy, to z pewnością skontaktuję się z panem i ojcem Roundhay'em. Na razie pozwolę sobie życzyć panom miłego dnia.

- Dopiero po powrocie do Poldhu Cottage Holmes, usadziwszy się wygodnie w fotelu, ze swą ulubioną fajką w zębach, przerwał milczenie. Jego

twarz, o zamyślonym wyrazie, zmarszczonym czole i nieobecnych oczach, była ledwie widoczna zza błękitnego dymu. W końcu odłożył fajkę i roześMiał się.

- To na nic, mój drogi.

Chodźmy na spacer poszukać kamiennych grotów do strzał. Mamy większą szansę na znalezienie ich niż pomysłów na rozwiązanie tej sprawy. Umysł pracujący bez wystarczającego materiału to jak silnik na zbyt wysokich obrotach - może rozlecieć się na kawałki.

Pozostało nam słońce, powietrze i cierpliwość. Reszta znajdzie się sama.

Gdy uszliśmy spory kawałek, nad brzegiem morza wrócił do sprawy.

- Zastanówmy się, mój drogi, spokojnie, na czym stoimy. A zacząć należy od dokładnego określenia tego, co wiemy, by, gdy pojawią się nowe fakty, można je było dopasować do znanej sytuacji. Zakładam, że, jak na razie, żaden z nas nie jest skłonny zgodzić się z diabelską ingerencją w ludzkie sprawy, wobec czego wykluczmy tę możliwość. Zostajemy w takim razie z trzema ofiarami czyjejś zaplanowanej akcji, którą przyjmuję za pewnik. Kiedy miała ona miejsce? Zakładając, że to, co usłyszeliśmy jest choć w części prawdą, to praktycznie natychmiast po wyjściu Tregennisa i jest to nader ważne. Karty leżały nadal na stole, gospodarze powinni być już w łózkach, a żadne z nich nawet nie wstało od stołu. Musiało się to zatem zdarzyć nie później niż o jedenastej w nocy. Osobiście sędzę, że wcześniej. Następnym krokiem jest sprawdzenie, na ile to w tej chwili możliwe, poczynają Mortimera Tregennisa.

 Nie jest to trudne i nie wydają
 się one być podejrzone. Znasz
 moje metody i wiesz, że przez
 wywrócenie tego wiadra z wodą

uzyskałem wyraźny odcisk jego buta, co inaczej mogłoby być dość skomplikowane. Odbił się na mokrej ziemi doskonale, a jak pamiętasz, ostatnia noc była raczej wilgotna, toteż nie było zbyt trudno odnaleźć jego wczorajszy ślad. Wszystko, co można o tym rzec, to że szybko szedł w stronę plebanii. Jeśli więc wyłączymy go jako nieobecnego, to kto z zewnątrz i w jaki sposób mógł tak przerazić ofiary? Możemy wyeliminować panią Porter, jest w oczywisty sposób niegroźna. Co do sugestii Mortimera o czyjejś obecności za oknem, jest to dość ciekawa sprawa. Noc była deszczowa, pochmurna i mroczna. Żeby można było kogoś zauważyć w tych warunkach, tak jak to miało mieć miejsce, ten ktoś musiałby przyłożyć twarz do szyby. Poza tym pod samym oknem jest szeroka na trzy stopy rabata z kwiatami o miękkiej powierzchni, na której nie ma najmniejszego nawet śladu. Wobec tego wątpliwa wydaje się obecność tam kogoś obcego, nie wspominając już o sposobie, w jaki zdołałby przerazić gospodarzy. Sędzę, że zaczynasz zdawać sobie sprawę z tego, dokąd to prowadzi?

- Chyba tak - mruknąłem

przygnębiony.

- Co wcale nie znaczy, że

zagadka jest możliwa do

rozwiązania. Myślę, że wśród spraw, które masz w swym archiwum, były jeszcze bardziej niż ta zagmatwane i na pozór beznadziejne. Należy jednakże dać sobie spokój z jałowymi dysputami dopóki nie uzyskamy więcej danych, toteż proponuję spędzić resztę ranka na pogoni za wymarłymi mieszkańcami tych okolic.

Zawsze podziwiałem siłę woli
mego przyjaciela i jego zdolność
do koncentrowania się na
wybranych problemach, ale tym

razem zaskoczył mnie całkowicie.

Tego ranka przez dwie godziny

dyskutowaliśmy o Celtach,

grotach strzał i innych,

związanych z tym kwestiach, tak

jakby nic innego nie zaprzętało

jego umysłu i jakby żadna

tajemnica nie czekała na

wyjaśnienie. Gdy po południu

wróciliśmy z wycieczki,

zastaliśmy w salonie

oczekującego nas gościa, który szybko sprowadził nasze myśli na bardziej współczesne tematy. Żadnemu z nas nie trzeba go było przedstawiać - potężna postać, ostre rysy z pałającymi oczyma i orlim nosem oraz szopa lekko siwiejących włosów i broda o złocistobiałej barwie, pożółkła od nikotyny w tym miejscu, w którym zawsze trzymał cygaro. Wszystko to składało się na postać równie dobrze znaną w Londynie jak i w Afryce - postać doktora Leona Sterndale'a, łowcy lwów i badacza.

Słyszeliśmy o jego obecności w tej okolicy i parokrotnie widzieliśmy go na wrzosowiskach, ale ponieważ nie przejawiał najmniejszej chęci, by nas poznać, nie próbowaliśmy tego również, znając z opowieści jego zamiłowanie do samotności, które powodowało, że większość pobytu w Anglii spędzał w bungalowie położonym w lasach Beauchamp Ariance. Żył tam całkiem sam, wśród książek i map, nie mając nawet służącego i zupełnie nie interesując się sąsiadami. Jego wizyta stanowiła zaskoczenie, a jeszcze większym zaskoczeniem było pytanie zadane z widocznym zainteresowaniem, które skierował pod adresem Holmesa.

- Czy ma pan wyrobioną opinię
na temat tej tajemniczej
śmierci? Lokalna policja nie ma
pojęcia, co o tym sądzić, ale
być może pańskie doświadczenia

nasunęły panu rozwiązanie tej sprawy. Pytam dlatego, że w czasie swych pobytów tutaj

poznałem Tregennisów bliżej, a można by rzec, że nawet całkiem dobrze. Mógłbym zresztą określić ich jako kuzynów ze strony matki, choć to dość odległe pokrewieństwo. To, co ich spotkało, było dla mnie wielkim szokiem. Dojechałem już do Plymouth, wybierając się do Afryki, ale gdy dziś rano dowiedziałem się o tej tragedii, wróciłem natychmiast. Jeśli mogę być w czymś pomocny, proszę się nie wahać przed użyciem mojej osoby.

- Zrezygnował pan przez to z miejsca na statku? - zdziwił się Holmes.

- Złapię następnego.

- Proszę, to się nazywa

prawdziwa przyjaźń.

- Wie pan, więzy rodzinne też mają znaczenie.

- Oczywiście. Czy pana bagaż był już na statku?

- Część, większość pozostała w hotelu.

- Tak. Czy mogę się dowiedzieć, skąd pan wie o tragedii? Z pewnością wiadomość nie dotarła jeszcze do prasy... - Nie dotarła. Z telegramu, jaki dostałem.

- MOgę zapytać od kogo? - Jest pan nader dociekliwym człowiekiem, panie Holmes - mruknął zapytany chmurnie. - To mój zawód.

Doktor Sterndale zdołał odzyskać panowanie nad sobą i mówił już spokojnie.

- Nie mam powodów, by to ukrywać, po prostu nie jestem przyzwyczajony, by mnie wypytywano. Wysłał go ojciec Roundhay.

- Dziękuję. Jeśli chodzi o pana pytanie: jak dotąd nie znam całej odpowiedzi, choć nie wątpię, że w najbliższych dniach ją poznam. Uważam też, że wyjawienie części moich domysłów byłoby przedwczesne.

- Wobec tego być może byłby

pan skłonny powiedzieć mi, czy

pańskie podejrzenia kierują się ku jakiejś konkretnej osobie? - Niestety nie.

- W takim razie straciłem

jedynie czas i nie będę

przeciągał wizyty - słynny

podróżnik opuścił nas

zdecydowanie zawiedziony i rozdrażniony.

Chwilę potem jego śladem podążył Sherlock, którego nie widziałem aż do wieczora.

- Gdy wrócił, widać było po

jego minie, że niewiele

zdziałał. Rzucił okiem na

depeszę, która nadeszła pod jego nieobecność i zrezygnowany wyrzucił ją do kosza, z pomrukiem rozczarowania. - To z hotelu w Plymouth - wyjaśnił. - Nazwy dowiedziałem się od wikarego i zadepeszowałem tam, by upewnić się, czy relacja naszego gościa była prawdziwa. Wygląda na to, że faktycznie spędził tam ostatnią noc i pozwolił, by część jego rzeczy popłynęła do Afryki, podczas gdy on sam zjawił się tu asystować przy śledztwie. Co o tym sądzisz, Watsonie?

- Jest bardzo zainteresowany wyjaśnieniem tej sprawy.

- Bez dwóch zdań, mój drogi. Jest w tym coś, czego jeszcze nie wiemy, a co może okazać się nicią prowadzącą do kłębka. Głowa do góry, mój stary. Pewien jestem, że wkrótce wpadniemy na trop, który pozwoli nam rozwiązać tę zagadkę szybko i bez większych problemów.

Przyznaję, że niewielką wagę przywiązywałem wówczas do jego słów. Nie przyszło mi nawet do głowy, że sprawdzą się tak szybko i w taki sposób.

Rankiem, goląc się przy oknie, usłyszałem tętent kopyt i dojrzałem nadjeżdżającą galopem bryczkę. Zajechała przed nasz ganek, wyrzucając z wnętrza nader poruszonego duchownego.

Ojciec Roundhay podbiegł do naszych drzwi, na który to widok obaj z Holmesem pośpieszyliśmy mu na spotkanie.

Z początku nasz gość prawie nie mógł wydobyć słowa, ale po chwili, wśród sapań i jęków, udało mu się wyjaśnić powód wizyty.

- Jesteśmy nawiedzeni przez Diabła, panie Holmes! W mojej biednej parafii grasuje Szatan! - Gdyby nie widoczne przerażenie, stanowiłby raczej śMieszny widok. W końcu zdołał się opanować i wyjaśnić, co doprowadziło go do takiego wniosku.

- Mortimer Tregennis zmarł tej nocy w ten sam sposób co reszta rodziny!

Holmes słysząc to zerwał się na nogi.

- Czy zmieścimy się we trzech w bryczce ojca? - spytał.

- Myślę, że tak.

- Wobec tego, Watsonie, rezygnujemy ze śniadania i ruszamy w drogę. Szybko, zanim ślady zostaną zatarte przez gapiów.

Zmarły zajmował na plebanii dwa pomieszczenia położone jedno nad drugim - niżej znajdował się dość obszerny salon, wyżej zaś sypialnia. Okna obu pomieszczeń wychodziły na trawnik dochodzący do samej ściany domu.

Przybyliśmy przed lekarzem i policją, tak że cała sceneria tragedii wyglądała dokładnie tak, jak znalazł ją wikary.

Zapadła też w mej pamięci na tyle głęboko, że nigdy jej chyba nie zapomnę.

W salonie panował nastój przygnębienia i przerażenia, tak silny, że nie sposób byłoby w nim wytrzymać, gdyby służący, który pierwszy się tu znalazł, nie otworzył szeroko okna.

Częściowo powodem tego była
nadal paląca się i kopcząca na
środku stołu lampa. Obok niej

siedział, odrzucony na oparcie krzesła, gospodarz. Okulary miał przesunięte na czoło, sterczącą prawie pionowo brodę, twarz zwróconą ku oknu i wykrzywioną w ten sam wyraz potwornego przerażenia, jaki malował się na obliczu zmarłej siostry. Układ kończyn i palców wskazywał, że zmarł nieomalże w konwulsjach, a na pewno w ataku albo skurczu strachu. Był ubrany, choć uczynił to wyraźnie w pośpiechu, a łóżko nosiło ślady niedawnego używania. Płynął stąd prosty wniosek, że nieszczęście spotkało go wczesnym rankiem. Najlepiej można było zdać sobie sprawę z geniuszu Holmesa, gdy obserwowało się go w takich okolicznościach jak wtedy.

Pozornie flegmatyczny myśliciel,
o oszczędnych ruchach i
spokojnej wymowie, od chwili gdy
znalazł się na miejscu zbrodni
zmieniał się diametralnie -
napięty, z błyszczącymi
podnieceniem oczyma stawał się
uosobieniem energii i
błyskawicznego działania. Zaczął
od trawnika, wszedł do środka
przez okno, błyskawicznie
obszedł pokój, znalazł się w
sypialni, którą przeszukał i
zatrzymał się dopiero przy

drugim oknie, które otworzył. Zainteresowało go najwidoczniej, gdyż mruknął coś z radością i wychylił się spoglądając przez nie, po czym zbiegł na dół, wyszedł przez okno salonu i padł plackiem na trawnik. Poleżał chwilę i ponownie wskoczył do salonu, tym razem koncentrując uwagę na lampie - typowym wyrobie produkcji seryjnej.

Pomierzył starannie jej zbiornik
i przy pomocy lupy dokładnie
obejrzał talkowy pochłaniacz nad
kloszem, zebrał z niego jakąś
substancję i włożył do koperty,

którą następnie starannie
umieścił w portfelu. W końcu,
gdy pojawił się lekarz z
policją, skinął na mnie i

przyglądającego się poczynaniom z osłupieniem księdza. Wyszliśmy na świeże powietrze.

- Z radością mogę was poinformować, że nie trudziliśmy się na próżno. Nie mogę zostać, by przedyskutować sprawę z policją, ale byłbym nader zobowiązany, gdyby ojciec był uprzejmy przekazać moje pozdrowienia inspektorowi i zwrócił jego uwagę na okno w sypialni i lampę w salonie - oznajmił nie tracąc czasu. - Każdy przedmiot z osobna jest bardzo sugestywny, a oba razem nasuwają oczywiste wnioski. Jeśli ktoś z policji życzyłby sobie dodatkowych informacji, z przyjemnością spotkam się z nim w domku. Teraz zaś, Watsonie, myślę, że znacznie lepiej wykorzystamy czas gdzie indziej. Nie wiem, czy nie odpowiadało im wtrącanie się amatora w śledztwo, czy też sądzili, że sami rozwiążą tę sprawę - faktem jest jednak, że ani prowadzący sprawę inspektor, ani nikt inny z policji nie zgłosił się do nas w ciągu następnych dwóch dni. Czas ten Holmes spędził na rozmyślaniu, otoczony fajkowym dymem, a głównie na samotnych spacerach po okolicy. Wracał z nich zmęczony i milczący, nie zdradzając słowem celu czy wyników, choć tego w jakim kierunku kierowały się jego podejrzenia mogłem się domyślić. Z jednej z wypraw przyniósł lampę dokładnie taką samą jak ta, przy której zmarł pan Tregennis, napełnił ją oliwą z plebanii i dokładnie zmierzył czas potrzebny do wypalenia ilości wyliczonej przez siebie na podstawie pomiarów dokonanych w miejscu śmierci lokatora wielebnego Rundhay'a. Kolejny eksperyment, którego dokonał, był znacznie mniej przyjemny i nie sądzę, bym go kiedykolwiek zapomniał. Zaczęło się jednakże od wyjaśnień.

- Pamiętasz być może, mój drogi - zaczął pewnego popołudnia - że we wszystkich relacjach, jakie do nas dotarły, powtarzała się jedna rzecz. Chodzi o powietrze, czy raczej o atmosferę panującą w pomieszczeniu. Świętej pamięci Tregennis, mówiąc o swej porannej wizycie w domu rodziny, wspomniął, że doktor omal nie zemdłał, a pani Porter powiedziała nam, iż straciła przytomność, a potem natychmiast musiała otworzyć okno. W drugim przypadku sam zauważyłeś, jakie było powietrze w salonie gdy tam weszliśmy, choć służący otworzył już okno. Służący ten, jak się dowiedziałem, tak źle się poczuł, że cały dzień przeleżał w łóżku. Sam przyznasz, że to zastanawiająca zbieżność. W obu przypadkach mamy do czynienia z trującą atmosferą i z otwartym ogniem: w pierwszym w postaci kominka i świec, w drugim lampy. Świece i kominek mają logiczne uzasadnienie, natomiast lampa, jak wynika z moich obliczeń, zapalona została już po wschodzie słońca, co potwierdza moją hipotezę o ścisłym związku pomiędzy trzema punktami: spalaniem, zatrutym powietrzem i szaleństwem lub śmiercią osoby przebywającej w pobliżu źródła ognia. Czy jak dotąd zgadzasz się ze mną?

- Nie widzę w tym co mówisz żadnych sprzeczności.

- Wobec tego przyjmijmy hipotezę roboczą, że w obu wypadkach te groźne efekty wywołało spalanie jakiejś substancji, co dało gaz wywołujący zatrucie zakończone śmiercią. W przypadku rodziny Tregennisa umieszczono ją w kominku, co przy otwartym przewodzie kominowym nieco zmniejszyło efekty i tylko kobieta, jako istota o delikatniejszym organizmie, poniosła śmierć, a pozostałych

ogarnął jedynie czasowy lub trwały obłąd, co, jak należy sądzić, jest pierwszym skutkiem działania trującego gazu. W przypadku drugim, gdzie nie było żadnego ujścia powietrza, efekt końcowy nastąpił szybciej. Tak rozumując przeszukałem naturalnie salon, w którym

nastąpiła śmierć Tregennisa w poszukiwaniu pozostałości tejże tajemniczej substancji.

Najbardziej oczywistym miejscem był pochłaniacz dymu na kloszu, gdzie znalazłem sporo brunatnego popiołu o dość tłustej konsystencji. Jak widziałeś, zebrałem połowę i umieściłem w tej oto kopercie.

- Dlaczego połowę? - spytałem. - Ponieważ nie mam w zwyczaju przeszkadzać policji w oficjalnym śledztwie. Zostawiam im zawsze wszystkie dowody, które znajduję na miejscu zbrodni, a że nie zawsze mówię, co należy z nimi zrobić, to już inna sprawa. Dzięki temu mają takie same szanse dojścia prawdy. Na taluku pozostała wystarczająca ilość trucizny, by mogli ją zbadać, jeśli oczywiście byli na tyle mądrzy, żeby na nią zwrócić uwagę. Teraz, Watsonie, zapalimy naszą lampę, otwierając uprzednio okno i drzwi, by uniknąć przedwczesnego zejścia

dwóch szanowanych obywateli. Bądź łaskaw usiąść w fotelu przy oknie, chyba że jako rozsądny człowiek nie masz ochoty brać udziału w tym, przyznając, niezbyt rozsądnym doświadczeniu. Zostajesz? Tak też sądziłem. Swoje krzesło postawię przy drzwiach, by także mieć świeże powietrze, a poza tym byśmy się mogli bez problemów obserwować.

Odległość od lampy jest taka
sama i każdy z nas może przerwać
eksperyment, jeśli zauważy u
siebie lub u innego jakiegokolwiek
alarmujące objawy. Wszystko
jasne? W takim razie wsypię

zawartość koperty do pochłaniacza i umieszczę go nad płomieniem... Gotowe. Teraz, Watsonie, nie pozostaje nam nic innego jak czekać i obserwować, co się wydarzy!

Nie trwało to długo. Ledwie zdążyłem rozsiąść się wygodnie, gdy zdałem sobie sprawę z ciężkiego, nieco gryzącego zapachu powodującego zawroty głowy i lekkie nudności. Przy pierwszym jego śladzie w powietrzu umysł i wyobrażenia wymknęły mi się całkowicie spod kontroli. Przed oczyma zawirowała gęsta, czarna chmura, w której, jak widziałem z przerażającą jasnością, obecne było wszystko co tylko istnieje we wszechświecie straszego, monstrualnego i groźnego. Pojawiły się w niej niewyraźne kształty, rozplywające się, zanim można było dokładniej im się przyjrzeć i ustępujące miejsca innym, a każdy był na tyle przerażający, że samo jego wyraźne pojawienie się wystarczyło, by mnie zgubić.

Czułem jak włosy stają mi dęba,
oczy wychodzą z orbit, a otwarte
usta nie są w stanie wydobyć z
siebie głosu, choć bardzo tego
chciałem. Byłem zdjęty takim
przerażeniem jak nigdy przedtem
i nigdy potem w całym moim
życiu, a w głowie czułem taki
zamęt, jakby lada moment miała
się rozprysnąć na kawałki. W
pewnym momencie chmura nieco
rozrzedziła się (jak potem
stwierdziłem, zapewne na skutek
chwilowego powiewu wiatru) i
dostrzegłem twarz Sherlocka -
bladą, napiętą i przerażoną, z
wyrazem, który mieli obaj
nieboszczycy. Ten widok dał mi
chwilę oprzytomnienia i nagły
przyływ sił, dzięki którym
zerwałem się z fotela, złapałem
Holmesa i obaj wypadliśmy na
trawę, na której długo leżeliśmy
bez ruchu. Powoli zdawaliśmy

sobie sprawę z przyświecającego słońca i ustępującego strachu. Ten ostatni przemijał powoli, ale w końcu udało nam się na tyle odzyskać spokój i równowagę ducha, by usiąść. Jenocześnie otarliśmy zroszone potem czoła i spojrzeliśmy na siebie.

- Winien ci jestem zarówno

podziękowania, jak i przeprosiny

- głos Holmesa nadal nie

odzyskał zwykłego tonu i

spokoju. - Było to niepotrzebne narażenie swego zdrowia, a włączenie w to przyjaciela jest niczym nie wytłumaczoną głupotą.

Naprawdę stokrotnie cię

przepraszam.

- Wiesz dobrze - odparłem wzruszony, gdyż nigdy dotąd nie okazał mi tyle uczucia - że zawsze z przyjemnością i ochotą ci pomagam.

Słyszając to wrócił do swojego normalnego, na wpół ironicznego tonu.

- Wpędzanie nas w obłąd byłoby zupełnie niepotrzebne, Watsonie. Na dobrą sprawę okazaliśmy się szaleńcami decydując się na ten zwariowany eksperyment.

Przyznaję, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że efekty będą tak błyskawiczne i tak gwałtowne.

Poczekaj chwilę, trzeba

zlikwidować źródło zła i

przewietrzyć pokój.

Po tych słowach zerwał się i wpadł do budynku, by po sekundzie pojawić się z lampą trzymaną w wyciągniętej dłoni. Przebiegł kilka metrów i rzucił ją w trawę.

- Sądzę, mój drogi, że nie masz cienia wątpliwości, co do przyczyny tych dwóch tragedii? - spytał, skończywszy zadeptywać iskry.

- Żadnych.

- Natomiast powód, dla którego do nich doszło nadal jest niejasny. Ciągłe jeszcze drapie mnie w gardle. Chodźmy coś wypić, nim przedyskutujemy sprawę.

Gdy w spokoju usiedliśmy na ogrodowej ławce i ugasiliśmy pragnienie, Sherlock zapalił fajkę i zaczął:

- Przyznać należy, że w pierwszej sprawie wszystkie dowody wskazują na świętej pamięci Tregennisa, który z kolei stał się ofiarą drugiej tragedii. Rodzinna kłótnia była powodem, a zemsta konkretnym motywem przestępstwa. Nie wiem, na ile pojednanie było fałszywe z obu

stron. Sądzę, że w jego wypadku na tyle, by nie przeszkodzić w zabójstwie. Wystarczyło popatrzeć na jego szczerzą twarz, kaprawe oczy i niskie czoło, by wiedzieć, że nie jest to człowiek z natury skłonny do wybaczenia innym czegokolwiek. Jeśli dodać do tego fakt, że próbował nam wmówić, iż ktoś czaił się na dworze, co przez chwilę sprowadziło nas z właściwego tropu, nie sposób nie uznać go za podejrzanego numer jeden. W końcu, jeśli to nie on wrzucił tę substancję w ogień, gdy wychodził, to kto? Tragedia wydarzyła się natychmiast po jego wyjściu i gdyby ktoś nowy wszedł do domu, rodzina nie siedziałaby przy stole.

Musieliby wstać, żeby przywitać nowo przybyłego. Poza tym w Kornwalii goście nie zjawiają się po dziesiątej wieczorem. Wszystko zatem wskazuje na niego jako na sprawcę.

- Wobec tego jego śmierć to samobójstwo!

- Można odnieść takie wrażenie i nie jest to całkowicie niemożliwe: poczucie winy zdolne jest skłonić mordercę do takiego kroku. Istnieją jednak istotne przesłanki przeciwko tej wersji.

Na szczęście jest pewien
człowiek i to niezbyt daleko
stąd, który zna prawdziwy
przebieg wypadków i którego
pozwoliłem sobie zaprosić
aranżując sytuację tak, by nam

dziś o nich opowiedział. O, widzę, że się nieco pośpieszył.

Proszę tutaj, doktorze

Sterndale. Przeprowadziliśmy

niedawno pewien eksperyment

chemiczny, który chwilowo

uniemożliwia przyjęcie tak

szacownego gościa wewnątrz naszego mieszkania.

Usłyszałem szcęk furtki

ogrodowej, a po słowach

Sherlocka pojawiła się na

ścieżce majestatyczna postać afrykańskiego badacza.

Zaskoczony skierował swe kroki ku ławce, na której siedzieliśmy.

- Otrzymałem pańską wiadomość

godzinę temu, panie Holmes,

toteż przyszedłem jak pan

prosił, choć doprawdy nie

rozumiem dlaczego zobligowany miałbym być do spełnienia pańskich zachcianek.

- Sądzę, że wyjaśnimy sobie tę

sprawę zanim się rozstaniemy -
odparł mój przyjaciel. -
Wdzięczny jestem, że przychylił
się pan do mojej prośby. Wybaczy
pan to niezgodne z dobrymi
manierami przyjęcie w ogrodzie,
ale obaj z Watsonem omal nie
dopisaliśmy przed chwilą
kolejnego rozdziału do tego, co
gazety określają mianem
„Kornwalijskiego horroru” i
chwilowo wolimy świeże

powietrze. Ponieważ sprawy, które mamy do omówienia dotyczą pana w nader delikatny sposób, dobrze się stało, że możemy rozmawiać w miejscu, w którym nikt nas nie podsłucha.

Nasz gość wyjął z ust cygaro i przyjrzał się uważnie mojemu towarzyszowi.

- Przyznaję, że nie rozumiem, jak może pan ze mną rozmawiać o moich osobistych sprawach. Ani przede wszystkim - cóż to mają być za sprawy?

- Zabicie Mortimera
Tregennisa.

Przez chwilę zaałowałem, że
nie mam broni. Twarz

Sterndale'a poczerwieniała,
oczy mu rozbłysły, a na czole
wystąpiły żyły. Zerwał się z
miejsca, ruszając ku mojemu
przyjacielowi. Opanował się
jednak z wysiłkiem i wrócił do
zimnej, obojętnej pozy,
sprawiającej zresztą jeszcze
groźniejsze wrażenie, niż
chwilowy wybuch gniewu.

- Tyle czasu żyłem poza

prawem, wśród dzikich - rzekł - że zmuszony byłem stać się prawem dla innych i dla siebie. Dobrze będzie, jeśli na przyszłość będzie pan łaskaw o tym pamiętać, gdyż nie pragnę zrobić panu krzywdy.

- Ja również, doktorze Sterndale, czego najlepszym dowodem jest to, że wiedząc to, co wiem, posłałem po pana, a nie po policję.

Podróżnik być może po raz pierwszy w życiu zaniemówił z podziwu dla kogoś innego - ze słów Holmesa była jednak taka pewność siebie i własnej siły, że trudno było o inne wrażenie. Przez chwilę nasz gość nerwowo sapał zaciskając dłonie, po czym spytał:

- Co pan ma na myśli? Jeśli to blef, wybrał pan niewłaściwą osobę do straszenia. Nie bawmy się w kotka i myszkę. Co chce mi pan powiedzieć?

- Powiem panu uczciwie, w nadziei, że odplaci mi pan ze swej strony taką samą uczciwością. Moje dalsze poczynania uzależniam

całkowicie od pana wyjaśnień, to znaczy od tego, co pan powie w swojej obronie.

- Obronie?!

- Tak.

- Przeciwno czemu?

- Zarzutowi morderstwa

Mortimera Tregennisa.

- Znowu - jęknął Sterndale ocierając pot z czoła. - Czy wszystkie pańskie sukcesy opierają się na doprowadzonej do absurdu sztuce blefu?

- To nie ja nadużywam blefu, lecz pan. Jako dowód tego twierdzenia, doktorze, podam panu parę faktów, z których wysnułem moje wnioski. O pańskim powrocie z Plymouth po wysłaniu części bagaży w nieznane powiem tylko, że zwrócił moją uwagę na inne okoliczności sprawy, zasługujące, by wziąć je pod uwagę przy rekonstruowaniu wydarzeń...

- Wróciłem...

- Słyszałem pańskie powody z pana własnych ust i uważam je za niewystarczające. Pomińmy to na razie. Przybył pan tu, by zapytać mnie, kogo podejrzewam. Odmówiłem panu udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

Wówczas poszedł pan na plebanię, poczekał tam pewien czas i wrócił do domu.

- Skąd pan to wie?

- Szedłem za panem.

- Nikogo nie spostrzegłem. - Tak zazwyczaj bywa, gdy ja kogoś śledzę. Spędził pan bezsenność noc i ułożył określony plan, który rankiem wprowadził pan w życie. Ledwie

zaświtało, wyszedł pan napełniając po drodze kieszeń kamyczkami leżącymi na kupce przy bramie pana posesji.

Sterndale chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język, spoglądając jedynie z coraz większym podziwem na mego przyjaciela.

- Dalej - ciągnął Holmes -

szybko przeszedł pan milę

dzielącą go od plebanii, mając na nogach te same buty, co w tej chwili. Przy plebanii przeszedł pan przez ogród i dotarł do okien mieszkania wynajmowanego przez Tregennisa. Było już jasno, ale zbyt wcześnie, by ktoś, nawet ze służby, był na nogach. Przy pomocy przyniesionych kamyczków, obudził pan krewniaka, rzucając dwie lub trzy garście w szybę jego sypialni...

- Jest pan wcielonym diabłem! - wybuchnął Sterndale zrywając się na nogi.

- Gdy tenże pojawił się w

oknie, gestem nakazał mu pan

wyść - Holmes, nie przerywając

opowieści, uśmiechnął się

zadowolony z komplementu. -

Ubrał się więc pośpiesznie i

zszedł do salonu, do którego pan

również wszedł przez otwarte

przezeń okno. Odbyła się krótka

rozmowa, w trakcie której

spacerował pan po pokoju, po

czym wyszedł pan zamykając okno

i stał na trawniku, paląc

cygaro i obserwując to, co

działo się wewnątrz. Po śmierci

Tregennisa wrócił pan do siebie

tą samą drogą, którą pan

przyszedł. Teraz oczekuję

wyjaśnień dotyczących wydarzeń, jak też i motywów pańskiego postępowania. Jeśli oszuka mnie pan lub zlekceważy, ostrzegam, że sprawa wymknie się z moich rąk na zawsze.

W miarę, jak mówił, nasz gość bladł, aż w końcu jego twarz przybrała barwę popiołu. Gdy Holmes skończył, siedział przez chwilę bez ruchu, po czym wiedziony jakimś nagłym impulsem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki fotografię i podał mu ją. - Oto powód tego, co zrobiłem. Na zdjęciu widać było twarz bardzo pięknej kobiety.

- Brenda Tregennis - mruknął Sherlock podając mi zdjęcie.

- Tak, Brenda - powtórzył nasz gość. - Przez lata ją kochałem i przez lata ona mnie kochała. To jest prawdziwy powód mego pobytu w tej okolicy, który tak wielu zastanawiał. Byłem w pobliżu jedynej istoty na Ziemi, która była mi droga. Nie mogłem jej poślubić, gdyż miałem żonę, która przed laty opuściła mnie, a z którą przez głupie prawa tego kraju nie mogłem się rozwieść. Przez lata oboje czekaliśmy i oto czego doczekaliśmy się przez tego

łajdaka - gwałtowny dreszcz wstrząsnął jego masywną sylwetką, ale zdołał się

opanować i mówił dalej spokojnym głosem. - Ksiądz był naszym powiernikiem i może zaświadczyć, jaka to była kobieta. Dlatego właśnie zadepeszcował do mnie, i dlatego też wróciłem. Co mnie obchodzi bagaż czy cokolwiek innego, gdy dowiedziałem się, co ją spotkało? Oto brakujący panu powód mego postępowania, panie Holmes.

- Proszę dalej - głos mego przyjaciela był dziwnie cichy. Sterndale wyjął z innej kieszeni marynarki niewielką paczuszkę i podał mi. Na papierze czerwonym atramentem było napisane: „Radix Pedis Diaboli”.

- Jak wiem, jest pan lekarzem. Czy kiedykolwiek słyszał pan o tym preparacie? - spytał.

- Korzeń diabelskiej stopy? Nie, nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Nie jest to ujma dla pańskiej wiedzy zawodowej, gdyż z tego co wiem, poza próbką w laboratorium w Budzie i tą tutaj nie znajdzie pan tego w całej

Europie. Jak dotąd ta roślina
nie dostała się ani do
farmakologii, ani do
toksykologii. Ta nazwa nadana
jest przez pewnego misjonarza,
botanika amatora. W pewnych
rejonach zachodniej Afryki
czarownicy używają jej jako
niezawodnej trucizny, jest ona
ich najściślej strzeżonym
sekretem. Zawartość tego pakietu
zdobyłem w dość nieoczekiwanych
okolicznościach w Ubanghi, co
nie ma jednakże większego
znaczenia dla tej sprawy -
otworzył paczuszkę, ukazując
nieco brązowego proszku
podobnego do tabaki i zwrócił
się do Holmesa. - Powiem panu,
co się naprawdę stało. Po
pierwsze dlatego, że wie pan już
tak wiele, iż lepiej dla mnie,

żeby wiedział pan wszystko, a po
drugie, że nie zależy mi już na
życiu i przyszłości. Wyjaśniłem
sвій stosunek do rodziny
Tregennisów i chyba jest
zrozumiałe, iż z uwagi na
siostrę starałem się o dobre
stosunki z braćmi. O rodzinnej
kłótni o pieniądze zapewne już

pan wie, nie robili z tego

tajemnicy. Zresztą po

wyprowadzeniu się Mortimera, byłoby to dość trudne. Po ich rzekomym pojednaniu, traktowałem go jak pozostałych, choć zawsze miałem o nim nie najlepszą opinię. Uważałem go za osobę tyleż tchórzliwą, co zdradziecką i obrzydliwą, nie miałem jednak żadnego powodu, by wszcząć zwadę czy kłótnię. Parę tygodni temu odwiedził mnie i w trakcie rozmowy pokazałem mu część z posiadanych przeze mnie afrykańskich ciekawostek. Wśród nich tenże proszek, opowiadając przy tym o jego dziwnych i groźnych właściwościach. O tym jak pobudza te części mózgu, które wytwarzają poczucie strachu, powodując szaleństwo lub śmierć nieszczęśnika, który narazi się na gniew czarownika swego szczepu, jak też i o tym, jak bezsilna wobec niego jest europejska farmakologia. W jaki sposób mi go podebrał, nie wiem.

Ani na chwilę nie zostawiłem go samego w pokoju, ale mimo to w jakiś sposób zdołał tego dokonać. Doskonale pamiętam, że niezwykle go ten proszek zainteresował. Wypytywał mnie o potrzebną ilość i czas konieczny do zadziałania, ale do głowy mi nie przyszło, czego do śmierci sobie nie wybaczę, że interesuje go to z jakichś osobistych powodów. Dopóki się tu nie zjawilem, nie zaprzątałem sobie tym głowy. Jedyne błęd, jaki drań popełnił, to że się tak pośpieszył. Gdyby poczekał aż odpłynę, zresztą pewnie sądził, że to już nastąpiło, nikt nie

byłby w stanie dowieść mu czegokolwiek. Po latach, które spędziłbym w Afryce sprawa stałaby się nieaktualna, albo też zdążyłby zbiec i zatrzeć za sobą ślady. Przyszedłem zobaczyć się z panem wiedząc, kto i czego użył, po relacji wikarego nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Miałem nadzieję nie tyle usłyszeć inne wyjaśnienie,

choć nie miałbym nic przeciwko
niemu, ile zorientować się co
pan wie i jakie są szanse na
ukaranie łotra. Okazało się, że
żadne. A zrobił to bez wątpienia
po to, by zagarnąć pieniądze
będące ich wspólnym majątkiem i
by się zemścić za zniewagę,
jakiej w jego oczach dopuściło
się rodzeństwo. Taka była
prawda, która spowodowała obłąd
dwóch mężczyzn i śmierć
ukochanej osoby. A jaka miała
być kara? Miałem zwrócić się do
sądu? Z czym? Z wiedzą, że to,
co mówię, to prawda? W jaki
sposób miałem przekonać sędziego
i kilkunastu kmiotków, którzy
nigdy nie wysunęli nosa poza
własne hrabstwo, że ta
fantastyczna historia jest
prawdą, a nie moim urojeniem?
Być może udałoby mi się to, choć
mam wątpliwości, ale nie mogłem
sobie pozwolić na ryzyko
porażki. Ja musiałem się

zemścić, choć może się to panu wydać niegodne. Powiedziałem już wcześniej, jak traktuję
prawo, a zwłaszcza prawo tego kraju. Teraz też tak postąpiłem, decydując, że przypadnie mu
los, jaki zgotował innym albo, jeśli nie starczy mu odwagi, to sprawiedliwość wymierzę mu
własnoręcznie. Nie ma w tym kraju człowieka, który ceniłby własne życie mniej, niż ja w tej
chwili. Teraz wie pan wszystko - ciąg dalszy dopowiedział pan sam, zanim zacząłem mówić.
Wyszedłem z bronią w jednej kieszeni i proszkiem w drugiej.

Przewidując problemy z

obudzeniem zabrałem ze sobą nieco kamyków, którymi rzucałem w szybę dopóki nie wstał. Zszedł i wpuścił mnie przez okno.

Powiedziałem mu, że wiem, co zrobił i że jestem tu jako jego sędzia i kat w jednej osobie. Widok rewolweru sparaliżował łotra, wobec tego zapaliłem lampę, nasypałem proszku na pochłaniacz dymu i wyszedłem zamykając okno, gotów zastrzelić go natychmiast, gdy tylko spróbuje opuścić pokój. Nie opuścił. Pięć minut potem był martwy i jedynym uczuciem, jakie żywiłem był żal, że tak krótko to trwało. Tak wygląda cała prawda i cała historia, panie Holmes. Sądzę, że będąc na moim miejscu zrobiłby pan to samo, ale to i tak nie ma znaczenia. Może podjąć pan kroki, jakie uzna pan za stosowne. Nie będę uciekał ani próbował w czymkolwiek panu przeszkodzić.

Sherlock dłuższą chwilę

siedział w milczeniu.

- Jakie były pana plany, zanim dowiedział się pan o tragedii? - spytał w końcu.

- Wyjechać na parę lat do Afryki Środkowej. To, co tam zacząłem, wymaga zakończenia, a jest ledwie w połowie.

- Więc proszę jechać i

kończyć. Ja nie mam

najmniejszego zamiaru pana zatrzymywać ani ścigać.

Doktor Sterndale podniósł się, skłonił nam i bez słowa odszedł, zaś Holmes starannie nabił i zapalił fajkę.

- Dym, nie będący trucizną, jest miłą odmianą - mruknął. - Myślę, że zgodzisz się ze mną, iż nie jest to sprawa wymagająca mojego udziału. Nasze śledztwo było całkowicie niezależne i obojętne oficjalnym czynnikom, sądzą więc, że mamy pełne prawo zachować jego wyniki dla siebie. Czy uważasz, że postąpiłem słusznie?

- Jak najbardziej.

- Nigdy nie kochałem, ale

gdybym kochał, i gdyby spotkał

tę osobę taki koniec, sądzą, że

moja zemsta mogłaby przewyższyć

tę, o której słyszeliśmy

niedawno... Cóż, nie będę

obrażał cię tłumaczeniem tego, co oczywiste, ale dla pełniejszego obrazu podam ci parę szczegółów. Punktem wyjścia mojej dedukcji były kamyki na parapecie i pod oknem sypialni, nie przypominające tych, które leżały w ogrodzie i na podwórzu plebanii. Znalazłem podobne dopiero, gdy zwróciłem uwagę na naszego dzisiejszego gościa. Lampa zapalona w dzień i resztki proszku stanowiły jedynie dalsze ogniwa łańcucha. Teraz zaś sądzą, mój drogi, że

możemy zapomnieć o całej tej sprawie i z czystym sumieniem zabrać się do studiowania fenickich korzeni kornwalijskiej mowy, będącej odmianą wspaniałego języka Celtów.

Druga Plama

Zamierzałem zakończyć opisywanie przygód Sherlocka Holmesa na opowieści „Sprawa Abbey Grange”. Przyczyną nie był ani brak materiałów, jako że mam notatki dotyczące setek nie opisanych jeszcze spraw, ani też słabnące zainteresowanie mych czytelników - błyskawiczna sprzedaż wielu egzemplarzy każdego nowego opowiadania dowodzi najlepiej, że jest dokładnie przeciwnie. Prawdziwym powodem jest niechęć, z jaką Sherlock odnosił się do publikowania jego dokonań - dla niego każda ze spraw miała praktyczną wartość tylko tak długo, jak długo się nią zajmował. Odkąd ostatecznie wyjechał z Londynu i poświęcił się studiom nad pszczołami w Sussex Downs, rozgłos zaczął go męczyć na tyle, iż prosił mnie, bym przestał o nim pisać - które to

zyczenie ze zrozumiałych względów musiałem spełnić. Wyłącznie dzięki usilnym naleganiom uzyskałem zgodę na opublikowanie w stosownym czasie sprawy „Drugiej Plamy”. Uważam bowiem, że źle by się stało, gdyby długa seria opowieści o czynach mojego przyjaciela nie zawierała najważniejszego dla całego kraju sukcesu, jaki ma on w swej karierze. Udało mi się to w końcu i oto macie państwo przed sobą opis tych wydarzeń. Jeśli w tej historii jestem pod

względem szczegółów nieco mniej dokładny niż zazwyczaj, to powody, dla których to czynię, są chyba zrozumiałe.

Rok, a nawet miesiąc, w którym się to wydarzyło, muszę zachować dla siebie, ale dzień wolno mi podać. Otóż, pewnego jesiennego poranka, we wtorek, w naszych skromnych progach zagościły dwie osoby o europejskiej sławie. Pierwszą, dystygowaną w każdym calu, o orlim profilu i silnej osobowości był lord Bellinger, dwukrotny premier naszego kraju. Drugą, o ciemnych włosach i doskonałej sylwetce, Trelawney Hope, Sekretarz Spraw Europejskich, powszechnie uważany za najzdolniejszego młodego polityka w Anglii.

Siedzieli obaj na kanapie, a po napiętych rysach twarzy widać było, że przywiodła ich sprawa najwyższej wagi. Delikatne dłonie premiera zaciskały się na rączce parasola, zaś jego wzrok nieustannie krążył między Holmesem a mną. Sekretarz nerwowo podkręcał wąs i co chwila dotykał dewizki od zegarka.

- Gdy odkryłem stratę, panie Holmes, co nastąpiło o ósmej rano, natychmiast zawiadomiłem pana Premiera. To on właśnie zaproponował, byśmy zasięgnęli pana porady.

- Czy zawiadomił pan policję?

- Nie - odparł Premier w ów charakterystyczny dla siebie sposób, mówiąc krótkimi, precyzyjnymi zdaniem. - Nie zrobiliśmy tego i nie możemy zrobić. Poinformowanie policji oznacza bowiem, po pewnym czasie, poinformowanie całego społeczeństwa. A w tej sprawie jest to w najwyższym stopniu niewskazane.

- Dlaczego?

- Dlatego, że dokument, który zaginął, jest zbyt doniosłej wagi. Opublikowanie go może spowodować natychmiastowe i nader istotne komplikacje w całej Europie. Nie przesadzę mówiąc, że od niego zależy pokój na świecie. Jeśli nie potrafimy odzyskać go w tajemnicy, możemy w ogóle nie próbować, ponieważ celem osób, które go ukradły, jest właśnie podanie jego treści do publicznej wiadomości.

- Rozumiem. Panie Hope, byłbym zobowiązany, gdyby opowiedział mi pan dokładnie w jakich okolicznościach dokument ten zniknął.

- Można to zrobić w paru

słowach, panie Holmes. List -

gdyż jest to list od pewnej

osobistości z zagranicy -

otrzymałem sześć dni temu. Był on na tyle ważny, że nigdy nie pozostawiałem go w sejfie, lecz za każdym razem zabierałem ze sobą do domu na Whitehall Terrace i trzymałem w sypialni, w zamkniętej skrzynce na korespondencję. Tam też włożyłem go wczoraj wieczorem. Mogę przysiąc, że to zrobiłem.

Dokładnie w momencie, gdy ubierałem się do kolacji. Dziś rano dokumentu tam nie było. Skrzynka ta stoi na moim nocnym stoliku, a oboje z żoną mamy lekki sen i oboje jesteśmy pewni, że nikt nie mógł wejść w nocy do sypialni niezauważony przez choćby jedno z nas. A mimo to list zniknął.

- O której jadł pan kolację?

- O siódmej trzydzieści.

- A o której udał się pan na spoczynek?

- Żona poszła do teatru i
czekałem na jej powrót.

Znaleźliśmy się w sypialni koło wpół do dwunastej.

- Wobec tego nie widział pan skrzynki na korespondencję przez cztery godziny i nikt jej w tym czasie nie pilnował?

- Poza służącą rano i moim służącym oraz pokojówką żony, gdy ich zawołamy, nikt nie ma prawa tam wejść. Oboje są dobrymi służącymi i pracują u nas od dłuższego czasu, a poza tym żadne z nich nie wiedziało, że znajduje się tam coś więcej niż normalne papiery urzędowe. - Kto w takim razie wiedział o istnieniu tego listu?

- Nikt w moim domu.

- Wylączając żonę - mruknął Holmes.

- Nie. Do dzisiejszego ranka nie wspominałem jej o nim ani słowem.

Premier słysząc to skinął z aprobatą głową.

- Od dawna wiedziałem jak silne jest pańskie poczucie obowiązku - powiedział.

- Jestem przekonany, że w sprawie takiej wagi postąpił pan słusznie, przedkładając ją nad rodzinne zwyczaje.

Teraz skłonił głowę sekretarz. - Dziękuję sir. Jeszcze raz zapewniam, że do dzisiejszego ranka nie powiedziałem jej ani słowa na ten temat.

- Czy mogła się czegoś domyślić? - wtrącił Holmes. - Nie. Ani ona, ani nikt inny. - Czy zdarzyło się panu już coś podobnego w przeszłości? - Nigdy, sir.

- Kto jeszcze w Anglii wiedział o istnieniu tego listu? - Wszyscy członkowie gabinetu.

Zostali o nim poinformowani
wczoraj, ale obowiązek
dochowania tajemnicy, ciążyący na
każdym z nich, został

spotęgowany specjalnym ostrzeżeniem pana Premiera. I pomyśleć, że ja sam w kilka godzin później go utraciłem! - twarz wykrzywił mu grymas bólu i przez moment widzieliśmy człowieka, nie polityka:

impulsywnego, wrażliwego i ludzkiego, lecz po sekundzie maska powróciła na jego twarz, a głos ponownie stał się opanowany. - Poza nimi dwóch lub trzech urzędników z mego departamentu. I nikt więcej, zapewniam pana, panie Holmes. - A za granicą?

- Wierzę głęboko, że nikt poza osobą, która go napisała.

Przekonany jestem, że ani jego
ministrowie, ani nikt inny... że
nie użyto normalnych,
oficjalnych kanałów.
Sherlock milczał przez
chwilę, zastanawiając się nad czymś głęboko.

- Teraz, sir, zmuszony jestem

prosić o dokładniejsze
informacje o naturze tego
dokumentu, jak też o powodach,
dla których jego zniknięcie
może mieć tak kolosalne
następstwa.

Nasi goście wymienili

spojrzenie, a krzaczaste brwi Premiera zbiegły się w jedną linię.

- Panie Holmes, koperta jest

podłużna, jasnobłękitna i
niezbyt gruba. Jest na niej

pieczęć z czerwonego wosku, na której widnieje przyczajony lew. Zaadresowana jest wyraźnym i dużym pismem, do...

- Panie Premierze - przerwał mu Holmes - są to interesujące i ważne szczegóły, ale zmuszony jestem uściślić pytanie. Co jest treścią tego listu?

- To najściślejsza tajemnica państwowa i obawiam się, że nie mogę jej panu zdradzić, nawet gdybym uważał to za niezbędne.

Jeśli dzięki umiejętnościom,
które pan posiada, znalazłby pan
kopertę o wyglądzie, który

podałem, wraz z jej zawartością, oddałby pan niezmierną przysługę swemu krajowi i zasłużył na każdą nagrodę, jaka leży w naszych możliwościach.

Słyszając to mój przyjaciel

wstał z uśmiechem.

- Jesteście panowie jednymi z najbardziej zapracowanych osób w kraju, a ja, uczciwszy proporcje, również nie narzekam na nadmiar wolnego czasu. Zmuszony jestem zatem stwierdzić, że nie ma sensu, byśmy nawzajem okradali się z tego, czego nie mamy. Niestety, nie mogę panom pomóc w tej sprawie.

Premiera aż poderwało. W oczach miał błysk, który zazwyczaj przyprawiał o drżenie kolan ministrów.

- Nie jestem przyzwyczajony... - zaczął, ale opanował gniew i usiadł, milcząc przez ponad minutę. Wreszcie wrzucił z rezygnacją ramionami i oznajmił. - Musimy przyjąć pana warunki, panie Holmes. Sądzę zresztą, że są słuszne i nie było rozsądne z naszej strony prosić pana o pomoc, nie okazując mu pełnego zaufania.

- Zgadzam się z panem, sir - wtrącił sekretarz.

- Polegając więc na powszechnie znanej dyskrecji, zarówno pana jak też doktora Watsona, oraz apelując do pańskiego patriotyzmu, wyjawię panu tę tajemnicę, by uniknąć nieszczęścia, które zawisło nad nami wszystkimi.

- Może nam pan zaufać -

zapewnił go Sherlock.

- List napisała wysoko

postawiona za granicą

osobistość, mocno zaniepokojona sytuacją w koloniach jej kraju.

Został on napisany w pośpiechu,
na osobistą odpowiedzialność
autora. Dyskretny wywiad,
którego zasięgnęliśmy, wykazał,
że jego ministrowie o niczym nie
wiedzą. Niemniej jednak list

napisany jest w taki sposób, a w

dodatku niektóre zwroty mają tak

niefortunny charakter, że

ewentualna publikacja bez

wątpienia bardzo wzburzyłaby obywateli naszego kraju.

Sytuacja stałaby się tak poważna, że skłonny jestem sądzić, iż w przeciągu tygodnia od jego opublikowania bylibyśmy wplątani w wojnę i to w skali ogólnoswiatowej.

Sherlock napisał coś na kartce i podał ją Premierowi. - Tak, to właśnie on jest autorem - odparł polityk. - Ten nierozważny list może oznaczać śmierć tysięcy ludzi i straty milionów funtów.

- Czy poinformowaliście go, panowie o tym, co się stało? - Tak, zaszyfrowaną depeszą. - Być może to jemu zależy na publikacji listu?

- Nie. Mamy powody, by sądzić,

że zrozumiał już błąd jaki

popęłił pisząc go, a

szczególnie formułując go w tak nieprzemyślany sposób.

Publikacja listu przyniosłaby jemu i jego krajowi, jeszcze więcej szkód, niż nam.

- Jeśli tak, to w czyim interesie może leżeć ogłoszenie treści listu? Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, by wejść w jego posiadanie?

- Tu panie Holmes, wkraczamy w arkana polityki światowej.

Znając aktualną sytuację w Europie, nietrudno odpowiedzieć na pańskie pytanie. Cały kontynent to w tej chwili dwa wielkie obozy wojskowe, pomiędzy którymi utrzymuje się chwiejna równowaga sił. My jesteśmy jęczyciem u wagi. Jeśli Anglia przystąpi do wojny po którejkolwiek ze stron, należy założyć, że ta właśnie strona wygra. Przyzna pan, że stawka jest wysoka. Zwłaszcza że po publikacji tego listu będziemy mogli przystąpić tylko do jednej z nich..

- Naturalnie. W takim razie przyjmuję, że najwięcej skorzystać na tym mogą wrogowie naszego kraju, doprowadzając do rozłamu między nami, a ojczyznę autora tej epistoły?

- Dokładnie tak.

- Do kogo w takim razie wysłano by ten list, gdyby wpadł w ręce ludzi, o których mowa?

- Do któregoś z dużych

państw Europy. Obawiam się

zresztą, że jest właśnie w

drodze, poruszając się z

szybkością idącego pełną parą statku.

Pan Hope jęknął przy tych słowach, ale Premier zwrócił się do niego:

- To nie pańska wina. Zdarzył się przypadek, który przytrafić się mógł każdemu. Nie zaniedbał pan żadnych środków ostrożności, toteż nie może mieć pan do siebie żalu. Teraz, panie Holmes, zna pan wszystkie fakty. Jaka jest pańska ocena sytuacji? - Sądzi pan, że jeśli nie odzyskamy tego dokumentu, wybuchnie wojna? - spytał poważnie Sherlock po chwili milczenia.

- Sądzę, że jest to nader

prawdopodobne.

- Wobec tego proszę się do niej przygotować, sir.

- To nie brzmi zbyt optymistycznie, panie Holmes.

- Proszę wziąć pod uwagę fakty, sir. Nie należy zakładać, że list został wykradziony po wpół do dwunastej, od której to

godziny dwie osoby były w pokoju aż do momentu odkrycia zguby. O wiele prościej było zabrać go, gdy nikogo tam nie było, czyli między wpół do ósmej a wpół do dwunastej, raczej bliżej wpół do ósmej, gdyż osobie, która go zabrała musiało zależeć na wejściu w posiadanie tego listu najszybciej jak się dało. Równie oczywistym jest, że niezwłocznie wywieziono go poza granice, bądź osobiście, bądź przez

zaufanego kuriera, by przekazać zleceniodawcy do dalszego wykorzystania. Jest więc obecnie poza naszym zasięgiem i szanse jego odzyskania wydają się znikome.

Słyszając to Premier wstał,

oznajmiając:

- Pańskie rozumowanie jest doskonale logiczne panie Holmes, i obawiam się, że ma pan całkowitą rację.

- Załóżmy, że list zabrała pokojówka lub służący.

- Obydwoje to starzy i zaufani ludzie.

- Jeżeli dobrze pana zrozumiałem, sypialnia znajduje się na piątym piętrze bez balkonu i nikt nie może z niej wyjść nie zauważony. Wobec tego list musiał wykraść ktoś z domowników. Powstaje pytanie: komu mógł go przekazać? Jednemu z obcych agentów, i to tych słynnych, a nazwiska ich są mi znane. Jest trzech, o których można powiedzieć, że są najlepsi

i zacznę poszukiwania od
sprawdzenia czy wszyscy znajdują
się na miejscu. Jeśli któryś
zniknął, a zwłaszcza jeśli

nastąpiło to tej nocy, będziemy wiedzieć, w czym posiadaniu znalazł się ów list.

- Dlaczego miałby go zawozić
osobiście? - zdziwił się Hope. -
Wystarczy przecież, by zaniósł
go do swojej ambasady w
Londynie.

- Nie. Ci ludzie działają
niezależnie od ambasad, a nawet mają z nimi napięte stosunki.

- Zgadzam się z panem, panie
Holmes - wtrącił Premier. - Poza
tym tak cenną zdobycz każdy
wolałby oddać zwierzchnikowi
osobiście. Uważam pański plan za
najlepszy z możliwych, a w
międzyczasie, Hope, nie możemy
zaniedbywać innych naszych
obowiązków. Gdyby dotarły do
nas jakieś nowiny, skomunikujemy
się z panem. A gdyby pan się
czegoś dowiedział, niewątpliwie

zrobi pan to samo, panie Holmes. Obaj politycy skłonili się i opuścili nas w niezbyt pogodnych
nastrojach.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Holmes zapalił w milczeniu fajkę i pogрузzył się w
rozmyślaniach. Znając go wiedziałem, że ten stan może potrwać dłużej, toteż zająłem się
gazetą, w której opisywano sensacyjne morderstwo popełnione ostatniej nocy. Po pewnym
czasie Sherlock zerwał się na równe nogi z okrzykiem i odłożył fajkę.

- Tak - oznajmił - nie ma
lepszego sposobu, by się za to
zabrać. Sytuacja jest
rozpaczliwa, lecz nie

beznadziejna, i nawet teraz, wiedząc, który z nich ma ten list, możemy go odzyskać. Tym trzem
zależy przede wszystkim na pieniądzu, a ja mam do dyspozycji skarb państwa. Jeśli mają
dokument odkupię go, nawet kosztem podatników.

Niewykluczone, że posiadacz czeka na oferty zanim się zdecyduje, co zrobić z łupem. Teraz kolej na wizyty u tych trzech panów: Obersteina, La Rothiere'a i Lucasa.

- Eduardo Lucasa z Godolphin Street? - spytałem unosząc głowę znad gazety.

- Tak.

- Nie złożysz mu wizyty.

- A to dlaczego?

- Bo właśnie tej nocy ktoś go zabił w jego własnym mieszkaniu. Podczas naszych przygód, Holmes tak często mnie zaskakiwał, że odwrócenie sytuacji dało niezapomniany efekt. Wpatrywał się we mnie w niemym osłupieniu przez dłuższą chwilę, po czym wyrwał mi gazetę i zaczął czytać artykuł, który studiowałem gdy on rozmyślał:

„Morderstwo w Westminster

Ostatniej nocy pod numerem 16

Godolphin Street, w jednym z

osiemnastowiecznych domów

leżących pomiędzy rzeką i Opactwem, prawie w cieniu wieży Parlamentu, popełniona została tajemnicza zbrodnia. Od lat dom ten zamieszkały był przez pana Eduardo Lucasa, doskonale znanego w towarzystwie z uwagi zarówno na czarującą osobowość, jak i na zasłużoną reputację jednego z najlepszych amatorskich tenorów kraju. Pan Lucas był kawalerem, miał 34 lata, a jego służba składała się z pani Pringle, starszej już wiekiem gospodyni oraz służącego Mittona. Gospodyni chadza wcześniej spać w pokoju na poddaszu, zaś służący miał tego dnia wychodne i odwiedzał przyjaciela w Hammersmith. Od dziesiątej wieczorem pan Lucas był więc praktycznie sam w domu. Co zdarzyło się w tym czasie, nie sposób dokładnie ustalić. Kwadrans po północy konstabl Barret, przechodząc obok domu numer 16, zauważył otwarte drzwi. Zastukał, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Widząc jednak światło w pokoju, wszedł do środka. W salonie, w którym się znalazł, panowały chaos i nieład - meble były zsunięte pod jedną ze ścian, oprócz jednego, leżącego na środku krzesła. Za nim, nadal trzymając je za nogę leżał nieszczęsny gospodarz z orientalnym sztyletem w sercu. Narzędzie zbrodni pochodziło z bogatej kolekcji wschodniej broni, zdobiącej salon, zaś śmierć była natychmiastowa. Motywem zabójstwa nie mógł być rabunek - jak zgodnie twierdzi służba, nie brakuje żadnego z wartościowych przedmiotów. Nagły i tajemniczy zgon tak popularnego człowieka głęboko poruszył jego licznych przyjaciół”.

- I co o tym sądzisz, mój

drogi? - spytał Sherlock,

skończywszy lekturę.

- Zaskakujący zbieg

okoliczności.

- Zbieg okoliczności? Nie

żartuj z łaski swojej. Jeden z trzech ludzi, których wymieniłem jako przypuszczalnych sprawców interesującego nas przestępstwa, zostaje zabity tuż po jego popełnieniu - a ty twierdzisz, że to przypadek? Prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności jest nieskończenie małe. Nie, mój drogi, te dwa wydarzenia muszą być ze sobą związane, a naszym zadaniem jest wyjaśnić ten związek.

- Ale teraz policja zapewne już wie o wszystkim.

- A to dlaczego? Wiedzą, co zastali na Godolphin Street, natomiast nie wiedzą i nie powinni wiedzieć o Whitehall Terrace. Fakt, że sprawy te mają coś wspólnego, jest znany tylko nam. Zresztą jest jedna rzecz, która i tak zwróciła moją uwagę na Lucasa, to mianowicie, że jego mieszkanie jest o parę kroków od domu Hope'a, podczas gdy pozostali dwaj podejrzani mieszkają w West End. Jemu też było najłatwiej nawiązać kontakt i otrzymać wiadomość z domu okradzionego. Drobiazg, ale w przypadku, gdy wydarzenia nastąpiły niemal w tym samym czasie, jest to drobiazg dość istotny. Hola! A co my tu mamy?! Ostatnie zdanie wywołane było pojawieniem się pani Hudson i biletem wizytowym, który mu wręczyła.

- Proszę wprowadzić panią Hope, jeśli oczywiście zdecyduje się tu wejść - powiedział.

Chwilę później w naszym
pokoju zjawiała się jedna z
najbardziej uroczych kobiet
Londynu. Wielokrotnie słyszałem
o urodzie najmłodszej córki
Księcia Belminster, ale żaden
opis czy fotografia nie
przygotowały mnie na widok tak
delikatnych rysów i doskonałych
proporcji twarzy - a przecież

uroda była ostatnią rzeczą, o której myślała ta istota owego poranka. Bładość cery, wyraz oczu, pot na czole i zaciśnięte kurczowo wargi aż nadto wyraźnie świadczyły o zmartwieniu i trwodze naszego gościa od pierwszej chwili, gdy stanęła w drzwiach.

- Czy był tu mój mąż, panie Holmes?

- Tak, madame. Niedawno zresztą wyszedł.

- Zaklinam pana, by mu nic nie wspominał o mojej tu obecności! Sherlock na te słowa skłonił się chłodno i wskazał jej krzesło.

- Stawia mnie pani w trudnej

sytuacji. Proszę usiąść i

wyjaśnić swoją sprawę, ale

obawiam się, że nie mogę obiecać niczego, jak to się mówi w ciemno.

Przeszła przez pokój siadając plecami do okna. Sprawiała iście królewskie wrażenie: smukła, pełna wdzięku i godności.

- Panie Holmes - zaczęła, splatając nerwowo dłonie. - Będę z panem szczerą w nadziei, że odplaci mi pan tym samym. Pomiędzy mną a mężem, od początku naszego związku, panuje pełne zaufanie. Nie dotyczy to tylko jednej sprawy - polityki.

Nigdy nie rozmawia ze mną na ten temat, toteż jedyną rzeczą, którą wiem, jest to, że ostatniej nocy zdarzyło się w naszym domu coś okropnego, coś, co ma związek właśnie z polityką. Zginął jakiś dokument, ale ponieważ ma on związek z pracą mojego męża, nie mogłam dowiedzieć się o nim niczego konkretnego. Tymczasem muszę koniecznie dokładnie rozumieć całą sprawę. Jest pan poza politykami jedyną osobą, która zna prawdę i dlatego błagam pana, żeby powiedział mi, co się dokładnie wydarzyło i jakie są tego konsekwencje. Proszę nie milczeć z uwagi na interesy

swojego klienta; zaręczam, że

gdyby potrafił to dostrzec i

zaufać mi także w tej

dziedzinie, mógłby na tym tylko skorzystać. Co to był za dokument, który skradziono? -
Niestety, madame, pytanie pani muszę pozostawić bez odpowiedzi.

Jęknęła i ukryła twarz w

dłoniach.

- Proszę zrozumieć: jeśli mąż

pani uważa za stosowne nie

wtajemniczać jej w te sprawy,

ja, znający te dane pod

przysięgą tajemnicy, tym

bardziej nie mam prawa ich pani wyjawiać. To nie mnie, lecz jego powinna pani spytać.

- Pytałam. Przychodzę do pana,
ponieważ pozostał pan moją
jedyną nadzieją. Ale bez
zdradzenia jakiegokolwiek

tajemnicy może mi pan chyba odpowiedzieć przynajmniej na jedno dręczące mnie pytanie? -
Mianowicie?

- Czy kariera polityczna męża

może ucierpieć przez ten
wypadek?

- Cóż... jeśli nie zakończy
się on pomyślnie, jest to

bardziej niż prawdopodobne. - Ach! Jeszcze jedno, panie Holmes. Z tego, co powiedział mi mąż,
zszokowany zniknięciem tego dokumentu, rozumiem, że jego utrata grozi poważnymi
konsekwencjami nie tylko dla niego, ale przede wszystkim dla wielu innych osób, a nawet dla
całych państw.

- Jeśli tak twierdzi, nie będę zaprzeczał.

- Jakiego rodzaju
konsekwencjami?

- Ponownie nie mogę udzielić pani odpowiedzi.

- W takim razie nie będę
zabierała panu więcej czasu. Nie
mogę mieć do pana żalu, że nie
zechciał pan odpowiedzieć na
moje pytanie, tak jak pan ze
swej strony, jestem tego pewna,
nie potępi mnie za chęć

dzielenia trosk męża, nawet wbrew jego woli. Jeszcze raz proszę, by nie mówił mu pan o mojej
wizycie - skłoniła się z godnością i wyszła.

- Płec piękna, Watsonie, to twoja specjalność - uśmiechnął się Holmes, gdy szelest spódnicy
umilkł za drzwiami. - Czego naprawdę chciała owa dama? - Cóż, to co powiedziała jest dość
zrozumiałe, a troska całkowicie naturalna.

- Hm. Biorąc pod uwagę jej wygląd i zachowanie, tłumiony strach oraz natarczywość w
pytaniach i porównując to z pochodzeniem... Pamiętaj, mój drogi, że w jej środowisku od
najmłodszych lat okazywanie uczuć nie jest zbyt dobrze widziane.

- Nie ulega wątpliwości, że była nadzwyczaj poruszona. - Według mnie zbyt silnie, jak na
problemy męża. Pamiętać też należy jej dziwną uwagę, że w interesie męża leży, by ona
wiedziała wszystko. Co chciała przez to powiedzieć? A czy zwróciłeś uwagę, gdzie usiadła?

Przy oknie, by mieć światło za plecami i byśMy nie mogli odczytać dokładnie wyrazu jej twarzy.

- Owszem, wybrała to krzesło mając bliżej dwa inne.

- Z drugiej strony, zachowania kobiet bywają dziwne...

Pamiętasz panienkę z Margate, którą podejrzewałem z podobnych powodów? Okazało się, że powodem silnego zdenerwowania był fakt, że nie zdążyła się upudrować! I jak tu opierać się na logicznym rozumowaniu? Do zobaczenia, mój drogi.

- Dokąd idziesz?

- Na Godolphin Street, pogawędzić z kolegami z policji. Nasz problem wiąże się z osobą Eduardo Lucasa, choć przyznaję, że jeszcze nie bardzo wiem jak.

Teoretyzowanie bez znajomości

faktów jest jednym z

podstawowych błędów w pracy detektywa, więc nie będę go popełniał. Bądź na posterunku i przyjmuj nowych gości, gdyby się pojawili. Jeśli zdołam, wrócę na lunch.

Cały ten dzień jak i następny, Holmes był w nastroju, który jego znajomi określali jako poważny, lub jako ponury.

Wiele czasu spędzał poza domem,
palił prawie bez przerwy,
pogrywał na skrzypcach, spożywał
posiłki o najdziwniejszych
porach i jedynie z rzadka
odpowiadał na pytania. Było dla
mnie oczywiste, że ze sprawą
zaginionego dokumentu, coś jest
nie tak, choć sam o tym nie
mówił. Z gazet dowiedziałem się
szczegółów śledztwa, tam też
przeczytałem najpierw o
aresztowaniu, a potem o

zwolnieniu służącego Lucasa, Johna Mittona. Na rozprawie wstępnej postawiono mu zarzut „umyślnego zabójstwa”, ale nie można było nawet przypisać mu jakiegokolwiek motywu zbrodni. W pokoju, jak i w całym domu, sporo było wartościowych przedmiotów, a nie zabrakło niczego. Nikt też nie grzebał w papierach zmarłego - zostały one starannie przejrzone i wynikało z nich, że żywo interesował się polityką, plotkami, był wybitnym lingwistą i uwielbiał pisać bardzo długie listy. Pozostawał na zażyłej stopie z politykami wielu krajów, nie znaleziono

jednak w jego życiu towarzyskim żadnych sensacji. Jeśli chodzi o kontakty z kobietami, były one liczne, lecz powierzchowne - nie związał się z żadną na stałe. Miał wielu znajomych, sporo przyjaciół i ani jednej kochanki. Prowadził regularny tryb życia i zachowywał się w sposób nie przysparzający wrogów. Jego śmierć była zagadką i wydawało się, że pozostanie nią na wieki.

Aresztowanie służącego było ze strony policji krokiem desperackim - w przeciwnym wypadku pozostawało im tylko powstrzymać się od jakiegokolwiek działania.

Oskarżenie przeciwko niemu nie mogło się jednak utrzymać. Naprawdę był u przyjaciół, którzy potwierdzili jego alibi.

Co prawda wyszedł wystarczająco

wcześniej, by wrócić do domu

przed pojawieniem się tam

konstabla, ale twierdził, że

część drogi przebył piechotą, co z uwagi na dobrą pogodę tej nocy było całkiem zrozumiałe. Wrócił dopiero około północy i sprawiał wrażenie wstrząśniętego tragedią. Jak zeznała gospodyni, zawsze był z pracodawcą w dobrych stosunkach, a fakt, iż znaleziono w jego rzeczach kilka przedmiotów zabitego nie wnosił nic nowego. Pochodziły one z darów tego ostatniego, których dokonanie potwierdziła pani Pringle. Mitton pracował u Lucasa trzy lata, ale nigdy nie wyjeżdżał ze swym panem na kontynent. Podczas regularnych wizyt chlebodawcy w Paryżu zarządzał jego domem. Gospodyni z kolei niczego nie słyszała, a jeśli jej pan miał gościa, to musiał go wpuścić osobiście.

I tak, przez trzy dni nic nowego się nie wydarzyło, a przynajmniej nie odnotowały tego gazety. Holmes, jeśli nawet coś wiedział, to w każdym razie niczego nie mówił, ograniczając się do stwierdzenia, że prowadzący tę sprawę Lestrade pozostaje z nim w kontakcie. Czwartego dnia ukazała się dłuższa korespondencja z Paryża, która zdawała się rozwiązywać całą zagadkę. Oto ona, zacytowana wiernie z „Daily Telegraph”:

„Paryska policja dokonała

właśnie odkrycia, które wyjaśnia

tajemnicę tragicznej śmierci

pana Eduardo Lucasa, zabitego w

poniedziałkową noc na Godolphin

Street. Nasi czytelnicy

pamiętają zapewne, że

zasztyletowano go w jego własnym

mieszkanu, i że podejrzenie
padło pierwotnie na służącego -
jak się jednak okazało,
niesłusznie. Wczoraj służba pani
Henri Fournaye, mieszkającej w
niewielkiej willi na Rue
Austerlitz doniosła władzom, że
ich chlebodawczyni jest
obłąkana. Lekarze stwierdzili,
iż istotnie zdradza ona symptomy
niebezpiecznej manii
prześladowczej, natomiast

śledztwo policji wykazało, że dopiero co powróciła z podróży do Londynu i odsłoniło
powiązanie pomiędzy nią, a zabójstwem w Westminster.

Porównanie fotografii dowiodło,
że pan Fournaye i Eduardo Lucas
to w rzeczywistości jedna i ta
sama osoba i że zmarły z siebie
tylko znanych powodów prowadził
podwójne życie. Małżonka, jego,
Kreolka, była osobą bardzo
gwałtownej natury i nieraz
zdarzały się jej ataki

zazdrości, przeradzające się niemal w szal. Stwierdzono też, że w kolejnym z nich popełniła
zbrodnię, która kilka dni temu stała się sensacją w Londynie.

Jak dotąd nie prześledzono
jeszcze poczynąń pani Fournaye
poniedziałkowej nocy, ale nie
ulega wątpliwości, że kobieta
odpowiadająca jej opisowi
zwróciła swym wyglądem i

gwałtownością zachowania powszechną uwagę na dworcu Charing Cross we wtorek rano.

Prawdopodobnym więc wydaje się,
że morderstwo zostało popełnione
bądź w stanie obłądu, bądź też,
że jego popełnienie wprowadziło
ją w ten stan. Obecnie nie jest

w stanie zdać żadnej sensownej
relacji z przeszłych wydarzeń,
a lekarze nie rokują nadziei, by
udało się przywrócić ją do

normalnego stanu. Istnieją jednak zeznania świadków stwierdzające, że kobieta o jej wyglądzie przez parę godzin obserwowała dom na Godolphin Street”.

- Co sądzisz, o tym, Holmesie? - spytałem, przeczytawszy na głos tekst przy śniadaniu.

- Mój drogi - odparł, wstając i rozpoczynając przechadzkę po pokoju - okazałeś wiele cierpliwości, a ja przez te dni nie mówiłem ci nic, gdyż nic nie miałem do powiedzenia. Nawet ta wiadomość z Paryża niewiele nam daje.

- Wyjaśnia powody śmierci tego człowieka.

- Jego śmierć była przypadkiem niewiele znaczącym wobec naszego głównego zadania, jakim jest znalezienie tego dokumentu. Jedynym ważnym wydarzeniem w ciągu ostatnich trzech dni jest to, że nic się nie wydarzyło. Prawie co godzinę otrzymuję wieści od rządu i jak dotąd nigdzie w Europie nie ma śladu po naszym liście. Jeśli nie został on dotąd przekazany oficjalnym czynnikom, a nie został, gdyż nie trzymano by tego w tajemnicy tak długo, to gdzie jest? Kto go ma i dlaczego dotąd nic z nim nie zrobił? Czy to faktycznie przypadek, że Lucas zginął tej samej nocy, w której zaginął list? Czy też list doń dotarł, a jeśli tak, to dlaczego nie znaleźliśmy go wśród jego papierów? Czy ta jego zwariowana żona zabrała go i wyrzuciła? Albo czy nie ma go w jej domu we Francji? Jak mogę to sprawdzić nie wzbudzając podejrzeń władz francuskich? W tej sprawie prawo jest dla nas równie groźne jak dla przestępców. Aha, oto najnowsza wieść z frontu! - spojrzał na doręczone mu wiadomości i oznajmił - Lestrade zauważył, zdaje się, coś interesującego.

Włóż kapelusz, ruszamy do Westminster.

Była to moja pierwsza bytność
w miejscu przestępstwa - wysokim
eleganckim domu, solidnym i
uroczystym jak stulecie, w
którym powstał. Inspektor

Lestrade dojrzał nas z okna i powitał serdecznie, gdy wpuszczono nas do środka. Pokój, do którego weszliśmy, był tym, w którym dokonano zabójstwa, ale obecnie nie pozostał po tym zdarzeniu żaden ślad oprócz nieregularnej plamy na dywanie pośrodku pokoju. Dywan był niewielki i otoczony zewsząd meblami doskonałej roboty. Nad kominkiem wisiał wspaniały zbiór wschodniej broni, z którego wzięto narzędzie zbrodni, przy oknie zaś stało niewielkie, acz gustowne biurko. Ogólnie, cały pokój sprawiał wrażenie urządzonego ze smakiem, dużym kosztem i z pewnością stanowił luksusową rezydencję.

- Zna pan już wieści z Paryża?
- spytał Lestrade.
- Holmes skinął głową.
- Zdaje się, że nasi francuscy przyjaciele tym razem trafili.

Złożyła mu niespodziewaną wizytę, a wydaje mi się, że starannie ukrywał swoje podwójne życie. Wpuścił ją tutaj, nie mając innego wyjścia.

Opowiedziała mu jak go

wyśledziła, zrobiła awanturę, a skoro miała pod ręką tyle broni, koniec był łatwy do przewidzenia. Sądzę jednak, że nie nastąpił on natychmiast.

Odsunięcie krzeseł zajmuje trochę czasu, a jednym z nich próbował się najwyraźniej bronić. Wszystko jak najzupełniej jasne.

- A jednak poprosił mnie pan o przybycie.

- Owszem, ale z zupełnie innych powodów. Otóż jest pewien drobiazg w rodzaju tych, które pana interesują. Coś dziwnego. Z

głównymi faktami nie ma, bo nie może mieć, nic wspólnego. - Wobec tego cóż to jest? - Cóż, wie pan, że przy tak poważnych sprawach staramy się zostawić wszystko tak jak zastaliśmy i przez całą dobę jeden z konstabli pilnuje, by nikt obcy nie zbliżył się do miejsca przestępstwa. Dziś rano pochowano ofiarę, śledztwo zostało zakończone, wobec czego stwierdziliśmy, że można tu nieco posprzątać i wynieść się.

Proszę spojrzeć na ten dywan, nie jest przymocowany do podłogi. Sprzątając podnieśliśmy go i załóżę się, że nie zgadnie pan, co znaleźliśmy. Widzi pan tę plamę? Sądząc po jej wielkości, sporo krwi musiało przesiąknąć na podłogę, nieprawdaż?

- Bez wątpienia.

- Więc zdziwi się pan tak jak ja, słysząc, że na podłodze nie ma plamy.

- Ależ musi...

- Owszem, też tak sędzę, ale niech pan sam spojrzy - uniósł brzeg dywanu od zaplamionej strony i ukazał nam czyste sosnowe deski podłogi.

- Ależ, spodnia strona dywanu jest niewiele mniej zakrwawiona niż wierzchnia - zdenerwował się Holmes. - To musiało zostawić ślad!

Lestrade chrząknął z

zadowolenia, że udało mu się

zaskoczyć tak słynnego

detektywa.

- Teraz pokażę panu

wyjaśnienie. Jest druga plama, tyle że w innym miejscu. Proszę spojrzeć - uniósł drugi koniec dywanu i tam, owszem, deski pokrywał sporych rozmiarów czerwony zaciek. - Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

- Obie plamy są w porządku i
gdyby ktoś nie obrócił dywanu
wszystko byłoby na swoim
miejscu. Dywan nie jest duży ani
przymocowany, wobec czego nie

stanowiło to większego problemu.

- Tego zdołaliśmy się

domyślić. W odwrotnej pozycji

plamy doskonale do siebie

pasują. Chciałbym jednak

wiedzieć kto i dlaczego go

przesunął?!

Z wyrazu twarzy mojego

towarzysza łatwo było wyczytać, że sprawa ta wybitnie go zainteresowała.

- Czy przez cały czas pilnował tego miejsca ten sam konstabl, który nas wpuścił?

- Tak.

- Proszę go dokładnie wypytać, ale nie przy nas. Proszę to zrobić zaraz i w cztery oczy.

Łatwiej będzie w ten sposób

wydostać z niego prawdę. Proszę

zacząć od pytania, jakim prawem
wpuścił tu osoby postronne i w
dodatku zostawił je same w tym
pokoju. Niech pan nie pyta, czy
to zrobił, niech mu pan powie,
że pan o tym wie, i że tylko
uczciwe wyjawienie prawdy
stanowi dlań jedyną szansę
uzyskania przebaczenia. Proszę
zrobić dokładnie tak, jak
powiedziałem!

- Przysięgam, że jeśli coś

wie, to wydam go! - wykrzyknął Lestrade i wypadł do hallu.

Po chwili doszedł nas z
sąsiedniego pokoju jego
podniecony głos.

- Teraz, Watsonie! - szepnął Holmes rzucając się w stronę dywanu i jednym szarpnięciem
odrywając go od podłogi.

Na czworakach zaczął badać deski składające się na posadzkę, naciskając każdą we wszystkie
możliwe sposoby. Jedna z nich okręciła się pod naciskiem wokół własnej osi i Sherlock czym
prędzej wsunął tam dłoń. Rozległ się cichy trzask i otworzyła się niewielka skrytka, do której
sięgnął, by po chwili z jękiem rozczarowania wyjąć dłoń. Była pusta.

- Pomóż mi. Musimy wszystko

ułożyć tak, jak było - szepnął, zamykając skrytkę.

Zdążyliśmy wygładzić dywan, gdy do pokoju wmaszerował tryumfujący Lestrade. Holmes
opierał się znudzony o kominek a ja z zainteresowaniem oglądałem wiszącą nad nim kolekcję.

- Przepraszam, że trochę to
trwało. Widzę, że jest pan
znudzony całą sprawą, panie
Holmes. Miał pan jak zwykle
rację. Macpherson, chodźcie no
tu i opowiedzcie tym
dżentelmenom o swoim

niesłychanym zachowaniu. Do pokoju wsunął się rosły policjant, w tej chwili bardzo czerwony na twarzy i bardzo zdenerwowany.

- Nie chciałem niczego zepsuć, sir. Wczoraj wieczorem zapukała do drzwi młoda dama. Zaczęliśmy rozmowę i okazało się, że pomyliła domy. Jak się ma służbę cały dzień, to chętnie człowiek z kimś pogada.

- I co dalej?

- Chciała zobaczyć miejsce, w którym ten pan został zabity. Mówiła, że czytała o tym w gazecie. Nie sądziłem, że to może czemuś zaszkodzić, a poza tym byłem tuż obok. Jak zobaczyła płamę na dywanie, zemdlła i przestraszyłem się, że umarła. Pobiegnę do kuchni po wodę, ale nie mogłem jej docucić. Nie namyślałem się długo i pognałem do „Ivy Plant” po trochę brandy. Zanim wróciłem, doszła do siebie i musiało jej być tak wstyd, że wyszła przed moim powrotem.

- A co z dywanem?

- No, sir, on był trochę w nieładzie jak wróciłem. Upadła na niego, a on leży na posadzce bez żadnego przymocowania i przesunął się... Więc jak wyszła, to położyłem go jak był i wygładziłem.

- To jest dla was lekcja,
konstablu Mac\$pherson, żebyście
nigdy nie próbowali mnie

oszukiwać. Myśleliście sobie pewnie, że nikt nie dowie się o naruszeniu przez was dyscypliny? A mnie wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że ktoś tu był. Macie szczęście, że niczego nie zabrano, gdyż w przeciwnym wypadku wylecielibyście ze służby.

Przykro mi, że fatygowałem pana do takiego drobiazgu, panie Holmes, ale sądziłem, że problem nie pasujących do siebie plam może pana zainteresować. - Miał pan rację. To ciekawostka z rodzaju tych, które lubię. Czy ta kobieta była tu tylko raz, Mac\$pherson? - Tak jest sir, tylko raz.

- Kto to był?

- Nie znam nazwiska, sir.

Przyszła, bo przeczytała ogłoszenie o pisaniu na maszynie i pomyliła numery. Bardzo miła i ładna pani, sir.

- Wysoka? Przystojna?

- Tak jest, sir. Całkiem

dojrzała kobieta. Pewnie

niektórzy mówią o niej, że jest nawet bardziej niż ładna. Była uprzejma i miła, to pomyślałem, że nic się przecież nie stanie jak pozwolę jej obejrzeć ten pokój, sir.

- Jak była ubrana?

- normalnie, sir. Miała długi płaszcz i kapelusz.

- O której to było?

- Zaczynało zmierzchać. Jak wracałem z brandy, to zapalali latarnie.

- Doskonale. Chodź, Watsonie. Sądzę, że mamy coś ważnego do zrobienia.

Lestrade pozostał w pokoju, zaś konstabl odprowadził nas do drzwi. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, Holmes pokazał mu coś w wyciągniętej dłoni.

- Dobry Boże, sir! - jęknął
policjant z podziwem, zaś mój
przyjaciel przyłożył palec do
warg na znak milczenia. Schował
ów przedmiot do kieszeni na
piersiach, po czym wybuchnął

śmiechem.

- Doskonale - oświadczył. -

Chodź, mój drogi, czas już na

ostatni akt. Ucieszysz się na

wieść, że nie będzie żadnej

wojny, imć Trelawney Hope nie

zakończy gwałtownie swej

obiecującej kariery,

niedyskretny monarcha nie zostanie ukarany za brak taktu, a nasz premier nie będzie musiał biedzić się nad rozplątywaniem europejskich sojuszy. Mówiąc krótko, przy odrobinie wysiłku i taktu z naszej strony, nikt nic nie straci i nastąpi szczęśliwe zakończenie czegoś, co mogło stać się naprawdę nieprzyjemną sprawą.

- Rozwiązałaś tajemnicę! - ucieszyłem się.

- Nie do końca. Pewne kwestie są dla mnie nadal niejasne, ale wiem już tyle, że tylko z własnej winy moglibyśmy nie dowiedzieć się reszty. Idziemy na Whitehall Terrace i kończymy z tą sprawą.

Gdy zjawiliśmy się tam, Holmes poprosił o zaanonsowanie nas lady Hildzie, nie jej mężowi. Zostaliśmy zaprowadzeni do bawialni.

- Panie Holmes! - gdy weszła, zarumieniła się nagle na twarzy. - To niezbyt miło i taktownie z pańskiej storny. Dla znanych panu powodów prosiłam, by utrzymał pan moją wizytę u pana w tajemnicy, a pan kompromituje mnie przychodząc tutaj i dając tym do zrozumienia, że łączy nas coś z tą sprawą.

- Niestety, madame, nie miałem innego wyjścia. Zgodziłem się odzyskać ten niezwykle ważny dokument i dlatego też zmuszony jestem prosić panią, by była tak miła i oddała mi go.

Słyszając to pani domu zerwała się na równe nogi blednąc jak ściana i przez moment obawiałem się, że zemdleje. Ale otrząsnęła się z szoku i opanowując zaskoczenie stwierdziła:

- Pan... pan mnie obraża,
panie Holmes.

- Proszę sobie darować, to bezskuteczne. Proszę dać mi ten list.

- Służący wskaże panu drogę - oznajmiła, sięgając po dzwonek. - Proszę tego nie robić. Jeśli nas pani stąd wyrzuci, cały mój wysiłek, by uniknąć skandalu, pójdzie na marne. Proszę oddać list, a postaram się resztę tak załatwić, by sprawa nie wyszła na jaw. Ale będzie to możliwe tylko wtedy, gdy mi pani pomoże. W przeciwnym wypadku będę musiał powiedzieć wszystko pani mężowi. Znieruchomiła, wpatrując się natarczywie w jego twarz, jakby chciała wyczytać z niej, czy mówi prawdę. Dłoń jej spoczywała na dzwonku, ale nie naciskała go. - Proszę usiąść. Padając w tym miejscu, w którym stoi pani w tej chwili, może wyrządzić sobie pani krzywdę. Dziękuję pani... - Daję panu pięć minut.

- Wystarczy mi jedna. Wiem o pani wizycie u Eduardo Lucasa, o tym, że dała mu pani dokument, którego szukamy, jak również o tym, że wróciła tam pani wczoraj, co było naprawdę wysoce nierozważne. Znam też sposób w jaki wyjęła go pani ze skrytki pod dywanem.

W miarę jak mówił, jej twarz szarzała, a zanim była w stanie wydobyć z siebie głos musiała parokrotnie przełknąć ślinę. - Pan oszalał, panie Holmes! - wykrztusiła w końcu.

Bez słowa wyjął z kieszeni kawałek tektury. Było to zdjęcie kobiety. Jej zdjęcie.

- Nosilem tę fotografię przy sobie, sądząc, że może się przydać. Policjant rozpoznał panią, gdy mu ją dziś pokazałem. Jęknęła, odrzucając głowę na oparcie krzesła.

- Proszę przestać, nie dam się
wzruszyć udanym omdleniem! Ma
pani ten list i można wszystko
tak urządzić, żeby nie miała

pani kłopotów. Mam obowiązek oddać dokument pani mężowi, a moją sprawą jest sposób, w jaki to zrobię. Proszę być ze mną szczerą, to pani jedyna szansa. Jej odwaga godna była podziwu - nawet teraz nie przyznała się do klęski.

- Powtarzam panu, panie Holmes, że to jakaś absurdalna pomyłka.

Słyszając to mój przyjaciel

wstał.

- Szkoda mi pani - powiedział

cicho. - Zrobiłem wszystko, co

mogłem, by pani pomóc i widzę,

że nadaremnie - nacisnął

przycisk dzwonka i spytał

służącego, który pojawił się w drzwiach. - Czy pan Hope jest w domu?

- Będzie za kwadrans pierwsza, sir.

Holmes spojrział na zegarek. - Piętnaście minut. Doskonale, zaczekam na niego.

Zaledwie służący zamknął drzwi, lady Hilda padła przed Holmesem na kolana z twarzą zalaną łzami.

- Proszę mnie oszczędzić, panie Holmes! Na miłość boską niech pan mu nic nie mówi! Kocham go z całego serca, a ta wiadomość złamałaby mu serce!

Sherlock uniósł ją do pozycji stojącej i stwierdził:

- Cieszę się, madame, że choć w ostatniej chwili, ale wrócił pani zdrowy rozsądek. Nie mamy chwili do stracenia. Gdzie jest list?

Pobiegła do sekretarzyka, otworzyła go i wyjęła spośród papierów długą, błękitną kopertę. - Oto on, obym go nigdy nie zobaczyła!

- Jak by go tu oddać? - mruknął. - Zaraz... moment... Gdzie jest skrzynka z korespondencją męża, z której go pani zabrała?

- W sypialni.

- Nasze szczęście! Proszę ją natychmiast przynieść.

Chwilę później wróciła niosąc płaskie pudełko z czerwonego inkrustowanego drewna.

- Proszę ją otworzyć, ma pani przecież duplikat klucza.

Lady Hilda wyjęła z zanadrza kluczyk i otworzyła pudełko - było wypełnione różnymi papierami. Holmes nie tracąc czasu wsunął między nie trzymaną w dłoni kopertę i po chwili zamknięta skrzynka wróciła na swoje miejsce w sypialni.

- Wobec tego jesteśmy gotowi, a zostało nam jeszcze dziesięć minut - oznajmił mu przyjaciel. - Będę osłaniał panią jak tylko potrafię, ale proszę panią o szczerą i opowiedzenie mi, jakie były powody tego całego zamieszania.

- Powiem panu wszystko. Oh,
panie Holmes, wołałabym stracić
rękę niż przysporzyć mężowi
chwil żalości! Nie ma w Londynie
kobiety, która kochałaby męża
tak jak ja go kochaam, a
przecież gdyby wiedział co

zrobiłam, co musiałam zrobić, nigdy by mi tego nie darował. Ma sam tak wielkie poczucie honoru, że nie umiałby wybaczyć potknięcia nikomu innemu. Proszę mi pomóc, gdyż od tego zależy nasze szczęście i cała nasza przyszłość.

- Proszę się pośpieszyć, madame. Mamy niewiele czasu.

- Wszystko przez mój list,
nierozważny list napisany

jeszcze przed małżeństwem. List głupiej i impulsywnej dziewczyny, który sam w sobie zupełnie niegroźny, w jego oczach byłby zbrodnią nie do wybaczenia. Gdyby go przeczytał, jego zaufanie do mnie byłoby na zawsze zniszczone, choć już tyle lat minęło od chwili, gdy go napisałam. Zapomniałam zresztą o całej sprawie, dopiero parę dni temu przypomniał mi o niej ten Lucas. List trafił doń i zagroził, że pokaże go mężowi jeśli nie zgodzę się na jego

propozycję: odda mi go w zamian za dokument, którego wygląd dokładnie mi opisał i który znajdował się w tej

inkrustowanej czerwonej skrzynce na nocnym stoliku. Miał w biurze męża kogoś, kto mu o wszystkim donosił. Zapewnił mnie, że męża nie spotka nic złego w związku z moim działaniem. Proszę postawić się w mojej sytuacji, panie Holmes! Co miałam robić?

- Zaufać mężowi i opowiedzieć mu o wszystkim.

- Nie mogłam! Z jednej strony koniec wszystkiego, z drugiej, choć straszną rzeczą było zabranie czegoś, co nie należy do mnie, to w dziedzinie polityki konsekwencji swego czynu nie byłam w stanie sobie wyobrazić, zaś w kwestii miłości i zaufania były one dla mnie aż nazbyt jasne. Wzięłam od Lucasa klucz, który dorobił na podstawie odcisku tego klucza, który nosił mąż, otworzyłam nim zamek i zabrałam list zanosząc go na Godolphin Street.

Zapukałam tak jak się umówiliśmy. Lucas otworzył i przeszliśmy do salonu. Drzwi wejściowe zostawił otwarte, gdyż obawiałam się pozostawać sam na sam z tym człowiekiem. Pamiętam, że gdy wchodziłam, na ulicy stała jakaś kobieta, ale nie zwróciłam na nią większej uwagi. Mój list leżał na biurku, oddał mi go, gdy wręczyłam mu ten zabrany mężowi. W tym momencie od strony wejścia rozległ się jakiś hałas, a w korytarzu rozległy się kroki. Lucas szybko podwinął dywan, schował list do skrytki w podłodze i rozwinął kobierzec z powrotem. To, co wydarzyło się później, przypominało jakiś koszmar senny - zobaczyłam śniadą twarz

wykrzywioną w grymasie wściekłości i krzyczącą po francusku, że czekała nie na próżno i w końcu nas nakryła.

Zaczęła się szamotanina. On miał

w ręku krzesło, ona nóż.

Wybiegłam z salonu i dopiero na drugi dzień z gazet dowiedziałam się, jak to się zakończyło. W nocy byłam szczęśliwa, mając to, co mi zagrażało i nie zdając sobie sprawy z konsekwencji swego postępowania. Dopiero rano zrozumiałam, że wymieniłam jeden kłopot na inny. Rozpacz męża po stracie dokumentu była tak wielka, że ledwie zdołałam się powstrzymać, by mu wszystkiego nie wyznać. Przyszłam do pana, by zrozumieć konsekwencje swego czynu, w czym znacznie mi pan pomógł, choć nie dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Od tego momentu jedynym celem mego działania i moich myśli było odzyskanie go. Musiał nadal znajdować się w skrytce pod dywanem, o której straszna kobieta nie wiedziała. Gdyby zresztą nie jej nagłe przybycie, sama nie miałabym o tym pojęcia. Przez dwa dni obserwowałam ten dom, ale drzwi nigdy nie pozostały otwarte, a wewnątrz zawsze czuwał policjant, toteż zeszłej nocy podjęłam ostatnią, desperacką próbę, której wyniki pan zna. Zabrałam list, ale nie widziałam sposobu, by go zwrócić nie zdradzając przy tym mężowi tego, co zrobiłam. Chciałam nawet go zniszczyć, ale... O, Boże, to jego kroki na schodach!

Pan Hope wpadł raczej niż wszedł do pokoju.

- Jakież wieści, panie Holmes? - krzyknął od progu z nadzieją w głosie.

- Mam pewne nadzieje.

- Dzięki Bogu! Premier jest u mnie na lunchu, czy mogę go tu poprosić? Ma stalowe nerwy, ale wiem, że od tej nocy ledwie co spał. Jacobs, poproś pana Premiera, by był uprzejmy tu przyjść. Jeśli chodzi o ciebie, kochanie, to obawiam się, że są to mało zajmujące sprawy dla kogoś tak uroczego. Dołączymy do

ciebie za chwilę w jadalni.

Zachowanie Premiera było spokojne, ale po błysku w oczach i ruchach dłoni widać było, że podziela podniecenie wyraźniej okazywane przez swego młodszego kolegę.

- Rozumiem, że dowiedział się pan czegoś nowego, panie Holmes? - Jak na razie, wręcz przeciwnie - odparł zapytany. - Dowiadywałem się wszędzie, gdzie tylko było to możliwe i skłonny jestem sądzić, że nie grozi nam niebezpieczeństwo, o którym była mowa parę dni temu.

- Ależ to nie wystarczy, panie Holmes. Nie można stale żyć na wulkanie. Musimy mieć pewność. - Mam nadzieję na jej uzyskanie i dlatego tu jestem. Im więcej myślę o całej sprawie, tym bardziej jestem przekonany, że dokument ten nigdy nie opuścił domu, w którym się znajdujemy.

- Panie Holmes!

- Gdyby było inaczej, niemożliwe, aby do tej pory nikt się o nim nie dowiedział, albo nie opublikował go.

- Po co ktoś miałby go zabierać i ukryć w tym domu! - zdumiał się Premier.

- Nie jestem przekonany, czy on w ogóle został zabrany. - Panie Holmes! Pańskie poczucie humoru nie jest zbyt na miejscu - zdenerwował się sekretarz. - Zapewniam pana, że dokument ten zniknął z miejsca, w którym go pozostawiłem owej nocy.

- Czy od wtorku rano przeglądał pan zawartość tej kasetki?

- Nie było to konieczne.

- Niewykluczone w takim razie, że po prostu przeoczył go pan. - Niemożliwe!

- Wiem, że takie rzeczy się zdarzały i nie jestem przekonany, czy teraz też się to nie przytrafiło. Zakładam, że ma pan tam sporo papierów i całkiem

prawdopodobne, że ten jeden zniknął, jak to się mówi, w tłumie.

- Był na samym wierzchu!

- Ktoś mógł potrącić czy

upuścić pudełko i zawartość uległa przemieszaniu - odparł z kamienną twarzą Holmes.

- Niemożliwe. Wyjąłem i sprawdziłem wszystko - upierał się gospodarz.

- Łatwo można to sprawdzić i nie przeciągać sporu - wtrącił Premier. - Proszę kazać przynieść tu przedmiot dyskusji, Hope.

Zrezygnowany sekretarz nacisnął przycisk dzwonka. - Jacobs, proszę przynieść tu z sypialni moją skrzynkę na listy - polecił służącemu, po czym zwrócił się do nas. - To czysta strata czasu, ale skoro panowie nalegacie...

Do powrotu Jacobsa panowała nerwowa cisza.

- Dziękuję, Jacobs - powiedział Hope, gdy służący wszedł, po czym otworzył pudełko i zaczął wyjmować z niego papier po papierze mówiąc cicho do siebie: List od lorda Merrow, raport od sir Charlesa Hardy o memorandum z Belgradu, nota o podatkach za handel zbożem pomiędzy Rosją a Niemcami, list z Madrytu, nota od lorda Flowersa... Wielkie nieba! Co to jest?! Lordzie Bellinger!

Premier natychmiast był przy nim i prawie wyrwał mu z ręki kopertę.

- To jest to... i list jest wewnątrz! Hope, gratuluję panu! - Dziękuję, sir. Co za ulga.

Ale... to niemożliwe! Panie

Holmes, jest pan

czarnoksiężnikiem! Skąd pan wiedział, że on tu jest?

- Wiedziałem, że nie ma go nigdzie indziej.

- Własnym oczom nie wierzę! -
podbiegł ku drzwiom. - Gdzie
moja żona? Muszę jej powiedzieć,
że wszystko się dobrze

skończyło. Hilda! Hilda!

Głos był coraz słabszy, w

miarę jak Hope zbiegał po

schodach.

- Ciekaw jestem w jaki sposób ten list znalazł się tutaj? - powiedział Premier, spoglądając uważnie na mojego przyjaciela spod przymrużonych powiek. Holmes odwrócił się z uśmiechem od tego badawczego, przenikliwego wzroku.

- My także mamy zawodowe tajemnice - odparł biorąc kapelusz i wstając.

Tajemnica Wisteria Lodge

I. Dziwna przygoda

Johna Scotta Ecclesa

Sądząc po zapiskach w moim notesie, był to szary, pochmurny dzień w końcu marca 1892 roku. Gdy jedliśmy lunch, Holmes otrzymał telegram i nic nie mówiąc pośpiesznie wysłał odpowiedź. Widać było, że sprawa go nurtuje, gdyż jeszcze długo stał przy kominku paląc fajkę i spoglądając od czasu do czasu na trzymaną w ręku depeszę. Nagle odwrócił się ku mnie z przekornym błyskiem w oku. - Obawiam się, mój drogi, że muszę poprosić cię o pomoc, jako człowieka czytającego, a przede wszystkim piszącego - zaczął enigmatycznie. Jak byś zdefiniował słowo „groteskowy”? - Dziwny, godny uwagi.

Niezbyt mu się spodobała moja odpowiedź.

- W tym określeniu jest chyba coś więcej. Niewypowiedziana sugestia tragedii i przerażenia.

Jeśli przypomnisz sobie niektóre

z naszych przygód, którymi od

dawna raczysz nieszczęsnych

czytelników, to przyznasz, że

często groteska kryje

przestępstwo. Choćby
„Stowarzyszenie Rudowłosych”. Z
pozoru zabawne zdarzenie
naprowadziło nas na trop

kradzieży. Albo równie na oko groteskowa sprawa „Pięciu pestek pomarańczy”, która okazała się historią morderczego spisku. To słowo zawsze mnie alarmuje, mój przyjacielu.

- Jest w tej depešy -
domyśliłem się.

- Jest. Posłuchaj:

„Właśnie przydarzyło mi się coś niesłychanego i groteskowego. Czy mogę zasięgnąć pańskiej rady?

Scott Eccles.

Poczta Charring Cross”.

- Mężczyzna czy kobieta? - zainteresowałem się.

- Naturalnie mężczyzna. Żadna
kobieta nie poprzedziłaby wizyty
telegramem z opłaconą
odповідzią. Na pewno

natychmiast zjawiłaby się tu osobiście.

- Przyjmiesz go?

- Wiesz doskonale, jak się nudzę od momentu aresztowania pułkownika Carruthersa. Mój umysł przypomina silnik nie podłączony do niczego i przegrzewający się na wysokich obrotach. Życie jest jałowe, gazety nudne, a świat przestępczy wymarł gwałtownie. I ty pytasz, czy gotów jestem zająć się czymkolwiek, choćby to była trywialna sprawa? Ale oto, jeśli się nie mylę, nasz klient. Dały się słyszeć miarowe kroki na schodach, a chwilę później do salonu wprowadzony został wyprostowany mężczyzna dość wysokiego wzrostu, o siwiejących włosach i wzbudzającym zaufanie wyglądzie. Historia jego życia wypisana była na obliczu i w zachowaniu. Od skarpetek do okularów w złoczonej oprawie był to konserwatysta: pobożny, dobry obywatel, ortodoksyjny i ściśle przestrzegający konwenansów.

Musiło mu się jednak ostatnio
przytrafić coś naprawdę
zaskakującego i wytrącającego z

równowagi, gdyż odbiło się to na jego wyglądzie - włosy były niestarannie uczesane, policzki zarośnięte, a maniery dalekie od poprawności. Nie zwlekając też przeszedł do meritum sprawy.
- Przydarzyło mi się coś szczególnego i nieprzyjemnego, panie Holmes. Nigdy dotąd nie znalazłem się w podobnej sytuacji. To jest niewłaściwe...

prawdę mówiąc, wysoce
oburzające, i chcę znaleźć
jakieś wyjaśnienie tych
wydarzeń. Muszę znaleźć ich
wyjaśnienie - wysapał ze
złością.

- Proszę usiąść - głos

Sherlocka był, jak zwykle w takich przypadkach, uspokajający. - Muszę spytać na początek, dlaczego przyszedł pan właśnie do mnie?

- Cóż, sir... nie wydaje mi
się, by była to sprawa dla

policji, a gdy usłyszy pan, co się wydarzyło, przyzna mi pan rację, że nie mogłem tak po prostu zapomnieć o całej sprawie. Nie żywię sympatii do prywatnych detektywów, ale znając pana z opowieści...

- Dobrze. Dlaczego w takim razie nie przybył pan do mnie natychmiast?

- Co pan przez to rozumie?

Holmes spojrzał na zegarek.

- Jest kwadrans po drugiej. Pański telegram został nadany około pierwszej, a nie trzeba dokładnie studiować pańskiego wyglądu, by stwierdzić, że to, co tak panem wstrząsnęło, zdarzyło się tuż po opuszczeniu łóżka.

Nasz klient odruchowo pogładził rozwichrzoną fryzurę i podrapał się po zarośniętym podbródku.

- Ma pan rację, panie Holmes. Zupełnie zapomniałem o porannej toalecie. Chciałem jak najszybciej opuścić ten dom.

Zanim jednak zgłosiłem się do
pana, próbowałem dowiedzieć się

czegoś w okolicy. Byłem u pośrednika nieruchomościami i tam poinformowano mnie, że pan Garcia opłacił dzierżawę do końca tygodnia i że z ich punktu widzenia, jeśli chodzi o Wisteria Lodge, wszystko jest w porządku...

- Moment - roześmiał się

Holmes. - Przypomina pan

siedzącego tu doktora Watsona, który ma brzydki zwyczaj rozpoczynania swych opowieści od końca. Proszę się przez chwilę zastanowić i opowiedzieć mi dokładnie i po kolei wszystko, co spowodowało, że przybył pan tu w poszukiwaniu pomocy i rady, zarośnięty, z rozwichrzoną głową i źle zapiętą kamizelką. Nasz gość zerknął na swoją kamizelkę, po czym popatrzył z rezygnacją na Sherlocka.

- Pewien jestem, że wyglądam oburzająco, panie Holmes, a nie przypominam sobie, by mi się to kiedykolwiek dotąd przytrafiło. Jest to dla mnie coś zupełnie nowego i nieprzyjemnego. Opowiem panu całą tę dziwną historię i chyba zgodzi się pan ze mną, że mogła ona wyprowadzić mnie z równowagi.

Zanim jednak zaczął opowieść, za drzwiami wybuchło jakieś zamieszanie i po chwili pani Hudson wprowadziła dwóch oficjalnie wyglądających dżentelmenów. Jednym z nich był dobrze nam znany inspektor Gregson ze Scotland Yardu, odważny i, jak na policjanta, rozsądny oficer śledczy.

Uścisnęli sobie z Holmesem dłonie, po czym przedstawił on swego towarzysza - inspektora Baynesa z Surrey Constabulary. - Polujemy razem, panie Holmes, a ślad zaprowadził nas tutaj - poinformował nas, po czym zwrócił się do naszego gościa. - Czy pan jest Johnem Scottem Ecclesem z Popharn House w Lee?

- To ja.

- Szukaliśmy pana przez cały ranek.

- I pomógł wam telegram - dodał Holmes.

- Dokładnie tak, panie Holmes. Złapaliśmy ślad w urzędzie pocztowym na Charring Cross i przybyliśmy tutaj.

- Ale dlaczego? Dlaczego mnie panowie szukacie?

- Chcemy uzyskać od pana zeznanie, panie Eccles, co do wydarzeń, które spowodowały tej nocy śmierć pana Aloysiusa Garcii z Wisteria Lodge, w pobliżu Esher.

Krew odpłynęła z twarzy naszego gościa. Długą chwilę siedział nieruchomo z wytrzeszczonymi oczyma.

- Śmierć? - wykrztusił po chwili. - To on nie żyje?

- Z całą pewnością.

- Jak to się stało? Wypadek? - Bez żadnych wątpliwości został zamordowany.
- Dobry Boże! To okropne! Nie sądzi pan... chyba mnie pan nie podejrzewa?
- W jego kieszeni znaleziono pański list. Wynika z niego, że planował pan spędzenie tej nocy w jego domu.
- Tak też zrobiłem.
- Doprawdy? - w dłoni inspektora pojawił się notes. - Momencik - wtrącił się Holmes. - Jedyne, czego chcecie, to zeznanie, czy tak?
- Tak. Moim obowiązkiem jest ostrzec pana Ecclesa, że jego słowa mogą być użyte przeciwko niemu.
- Pan Eccles zamierzał nam właśnie o wszystkim opowiedzieć, gdyście panowie weszli. Sądzę, Watsonie, że odrobina brandy bardzo pomogłaby naszemu gościowi. Proponuję też, by nie zwracał pan, panie Eccles, uwagi na powiększenie się grona słuchaczy i opowiedział pan przebieg całego zdarzenia, tak jakby nigdy panu nie przerywano.

Nasz gość wypił brandy

duszką, na twarz zaczęły mu wracać kolory. Rzucił podejrzliwe spojrzenie na notes policjanta, po czym rozpoczął opowieść.

- Jestem kawalerem, a będąc z natury osobą towarzyską, mam liczne grono przyjaciół. Należy do nich rodzina emerytowanego piwowara o nazwisku Melville, żyjącego w Albemarle Mansion w Kensington. U nich właśnie parę tygodni temu poznałem młodzieńca o nazwisku Garcia. Z tego, co wiem, jest to Hiszpan w jakiś sposób związany z ich ambasadą, mówiący doskonale po angielsku.

Jest przystojny i dobrze

wychowany. Jakoś tak się

złożyło, że zaprzyjaźniliśmy się. Od samego początku przyłączył się do mnie, a dwa dni później złożył mi wizytę. Krótko mówiąc, spotkaliśmy się kilkakrotnie i w końcu zaprosił mnie na parę dni do swego domu, Wisteria Lodge, pomiędzy Esher a Oxfordem. Wczoraj wieczorem pojechałem tam, by dotrzymać danego słowa. Wcześniej opisał mi dom i jego położenie, abym nie błędził, a dla wygody opisał też służbę, z którą mieszkał. Jego kamerdyner pochodził z tych samych stron i on stronił i choć rozumiał po angielsku, to znacznie lepiej posługiwał się językiem hiszpańskim. On właśnie zajmował się domem. Natomiast doskonałym kucharzem, choć wyglądającym na dzikus, był pewien mieszaniec, którego Garcia przywiózł z jednej ze swych podróży. Sam śmiał się z tego, że jak na samo serce Surrey jest to dość dziwaczna służba, z czym się zgodziłem nie wiedząc, jak daleko sięga faktycznie to dziwactwo. Na miejsce zajechałem wynajętym powozem. Zobaczyłem obszerne domostwo stojące z dala od drogi, przy zakręconym podjeździe otoczonym krzewami.

Budynek był stary i do tego

stopnia zaniedbany, że gdy
podjechaliśmy pod zmurszałe od
deszczu drzwi,omalże nie
kazałem zawrócić, nie bacząc na
dane słowo. Otwarły się one
jednak natychmiast i sam
gospodarz powitał mnie nader
gorąco i wylewnie. Kamerdyner,
który zaprowadził mnie do
pokoju, okazał się osobnikiem
melancholijnym i niezbyt
reprezentacyjnym, zaś dom
sprawiał zdecydowanie
deprymujące wrażenie. Kolację
zjedliśmy we dwóch, i choć
gospodarz silił się jak mógł,
aby wywołać przyjemny nastrój,
wciąż wyraźnie myślał o czymś
innym - tak często przeskakiwał
z tematu na temat i miał tak
odległe skojarzenia, że
częstokroć ledwie rozumiałem o
czym mówi. Przez cały czas
bębnił palcami po stole,
przygryzał wargi i sprawiał

wrażenie, że nerwowo czegoś oczekuje. Posiłek zaś nie był ani dobrze podany, ani dobrze przyrządzony, co w połączeniu z ponurą osobą służącego nie wpływało na polepszenie nastroju. Prawdę mówiąc, gdybym miał możliwość wyjazdu i był w stanie znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie, z przyjemnością wróciłbym do Lee. Jedna sprawa przychodzi mi teraz na myśl w związku z tym, czego dowiedziałem się o losie tego młodzieńca, choć wówczas nie zwróciłem na to uwagi. Otóż, gdy posiłek zbliżał się ku końcowi, służący wręczył mu jakąś wiadomość. Po jej przeczytaniu myśli gospodarza wyraźnie skupiły się na kimś zupełnie innym, gdyż nawet przestał udawać, że zabawia mnie rozmową.

Siedział w milczeniu paląc
jednego papierosa po drugim, nie
wspominając jednak ani słowem,

co spowodowało tą nagłą zmianę w
jego zachowaniu. Około
jedenastej byłem szczerze
wdzięczny losowi mogąc wymówić

się zmęczeniem i udać się do
łóżka. W jakiś czas później
Garcia zapukał do mych drzwi
pytając, czy dzwoniłem na
służbę, i przeprasząc za

przeszkadzanie o tak późnej, gdyż była już pierwsza w nocy, porze. Po jego wizycie zasnąłem i obudziłem się dopiero rano. I tu zaczyna się najdziwniejsza część tej opowieści. Po przebudzeniu się spojrzałem na zegarek - było już zupełnie jasno i stwierdziłem, że dochodzi dziewiąta. Ponieważ specjalnie prosiłem, by obudzono mnie o ósmej, zaskoczyło mnie to niepomiaralnie. Wskoczyłem czym prędzej z łóżka i zadzwoniłem na służbę. Zrobiłem to jeszcze parokrotnie, bez żadnego skutku, i w końcu uznałem, że dzwonek musiał się zepsuć. Ubrałem się zatem pośpiesznie i pobiegłem na dół. Nie kryję, iż miałem zamiar zrobić kosmiczną awanturę. Możecie panowie wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy nikogo nie znalazłem, a moje krzyki pozostały bez żadnej odpowiedzi. Sprawdziłem po kolei pokoje. Poza moją sypialnią i sypialnią gospodarza w żadnym nie było mebli. Jego łóżka nie używano tej nocy, a on zniknął wraz ze swą zagraniczną służbą. Tak się zakończyła moja wizyta w Wisteria Lodge.

Sherlock Holmes zachichotał, zacierając z uciechy ręce.

- Z tego co mi wiadomo, pańskie przeżycia są zupełnie unikalne - oznajmił. - Mogę dowiedzieć się co pan później zrobił?

- Byłem wściekły. Najpierw
sądziłem, że padłem ofiarą
jakiegoś absurdałnego żartu,
toteż spakowałem się, trzasnąłem
drzwiami i ruszyłem ku Esher z
torbą w ręku. Zatrzymałem się w
Allan Brothers, największym
biurze pośrednictwa
nieruchomościami w okolicy,
gdzie stwierdziłem, że od nich

właśnie wynajęto ten dom.

Uspokoilem się do tego czasu nieco i doszedłem do wniosku, że jest nieprawdopodobne, żeby chęć zrobienia ze mnie durnia była główną przyczyną dziwnego postępowania mego znajomego. Wpadło mi do głowy, że powodem tym może być opłata za dzierżawę; wyglądało to tym prawdopodobniej, że jest koniec marca. Ale okazało się, iż byłem w błędzie. W biurze wyjaśniono mi, że zapłacono za wynajem z góry do końca miesiąca.

Przyjechałem wobec tego do Londynu i zasięgnąłem opinii w ambasadzie hiszpańskiej. Okazało się, że nikt tam nie zna mego gospodarza. Udałem się więc do Melville'ów, u których poznałem pana Garcie i stwierdziłem, że ci wiedzą na jego temat jeszcze mniej niż ja. Na koniec, otrzymawszy pańską odpowiedź na mą depeszę, przybyłem tutaj, gdyż z tego, co wiem, jest pan osobą mogącą pomóc w takich dziwnych i tajemniczych sprawach, jak moja. Po tym jednak, co powiedział pan, inspektorze, wnoszę, że może pan nieco wyjaśnić sytuację i dodać coś do mojej relacji. Zapewniam pana, że wszystko, co powiedziałem, to prawda i że nie wiem na ten temat nic więcej, jak również na temat dalszych losów którejkolwiek z osób, które spotkałem wczoraj w Wisteria Lodge. Jedynym zaś moim pragnieniem jest pomóc panu, jak tylko będzie to możliwe.

- Jestem tego pewien, panie

Eccles, najzupełniej pewien -

przysięgnął Gregson. - Przyznaję

też, że wszystko co pan

powiedział, zgadza się ze

znanymi nam faktami. Na przykład ta wiadomość, o której pan wspomniał. Miał pan okazję zauważyć, co się z nią stało?

- Tak. Garcia zmiął ją i

wrzucił do kominka.

- Co pan na to, panie Baynes?

Wiejski detektyw był masywnym i rumianym mężczyzną, z parą nadzwyczaj przenikliwych oczu, skrytych pod ciężkimi brwiami i pulchnymi policzkami. Słyszając to pytanie, z uśmiechem wyjął z kieszeni zmiętą i odbarwioną kawałek papieru.

- Zatrzymał się na metalowych prętach osłony, panie Holmes, i dzięki temu nie spłonął.

Sherlock uśmiechnął się z uznaniem.

- Musiał pan dokładnie zbadać cały dom, skoro znalazł pan taki drobiazg - powiedział.

- Zawsze postępuję w ten sposób. Mam ją przeczytać, panie Gregson? - Inspektor skinął głową. - Jest napisana na zwykłym kremowym papierze bez znaku wodnego. Kartkę wycięto z większego arkusza krótkimi nożyczkami, złożono trzykrotnie i zabezpieczono czarnym woskiem, używając w pośpiechu jako pieczęci płaskiego, owalnego przedmiotu.

Zaadresowana jest do pana Garcii w Wisteria Lodge. Oto jej treść:

„Nasze barwy zieleni i biel.

Zieleń otwarta, biel zamknięta. Główne schody, pierwszy korytarz, siódme na prawo, zielone obicia. Dobrej szybkości.

D”.

Pismo jest kobiece. Do pisania użyto ostrego pióra, ale zaadresował już ktoś inny i innym piórem - grubszym i bardziej stępionym. Proszę, oto ona.

Holmes przyjrzał się kartce i oznajmił:

- Muszę panu pogratulować,
panie Baynes, dokładności i
uwagi, z jaką zbadał pan ten
papier. Mogę dodać jedynie parę
drobiazgów, a mianowicie:
pieczęcią była z pewnością
zwykła spinka do mankietów, a
obcięto kartkę lekko

zakrzywionymi nożyczkami do paznokci, gdyż przy każdym cięciu można zauważyć lekką krzywiznę.

- Sądziłem, że zauważyłem wszystko, co dało się zauważyć - przyznał Baynes - ale widzę, że tak nie jest. Zmuszony też jestem przyznać, że zupełnie nie rozumiem treści listu. Wiem tylko, że coś ma się wkrótce wydarzyć i że jak zwykle zamieszana jest w to kobieta. - Cieszę się, że znalazł pan tę kartkę, gdyż potwierdza ona prawdziwość mojej opowieści - pan Eccles od dłuższej chwili wierzący się nerwowo, zdecydował się w końcu zabrać głos. - Ale chciałbym przypomnieć, że jak dotąd nie wiem jeszcze, co stało się z moim gospodarzem i jego służbą.

- Co do tego pierwszego,

sprawa jest dość prosta - odparł

Gregson. - Został znaleziony

martwy, dziś rano w Oxshott

Common, prawie o milę od swego

domu. Rozbito mu głowę prawie na

miazgę uderzeniami woreczka z

piaskiem lub jakiegoś podobnego

narzędzia, które zmiażdżyło

czaszki nie naruszając skóry. To

dość odludna okolica. Najbliższe

zabudowania są odległe o ponad

ćwierć mili. Pierwszy cios

zadano z tyłu, co wskazuje, że

prawdopodobnie oczekiwano nań w tym miejscu. Fakt bicia ofiary jeszcze po śmierci dowodzi, że motywy muszą być poważne. W pobliżu ciała nie znaleźliśmy odcisków butów ani żadnych innych śladów sprawcy lub sprawców.

- Rabunek?

- Nic na to nie wskazuje.

- To bolesne... bolesne i

straszne - głos pana Ecclesa drżał wyraźnie. - Ale niestety, nic nie mogę panom pomóc. Po tej niespodziewanej nocnej wizycie nie widziałem go już. W jaki sposób zostałem zamieszany w to morderstwo?

- Po prostu, sir - tym razem Baynes zabrał głos - jedynym dokumentem, jaki znaleźliśmy w kieszeniach zabitego, był pański list zapowiadający przyjazd. Na kopercie był adres i nazwisko zmarłego, ale dotarliśmy do jego domu dopiero po dziewiątej i nie znaleźliśmy tam już nikogo.

Zadepeszo wałem do inspektora Gregsona, by odszukał pana w Londynie, a sam przeszukałem Wisteria Lodge. Następnie przyjechałem do Londynu,

spotkałem pana Gregsona i, idąc tropem pańskiego telegramu, zjawiliśmy się tutaj.

- Sądzę - Gregson wstał - że najlepiej będzie, gdy nadamy tej sprawie oficjalny bieg. Proszę z nami na posterunek, panie Eccles. Złoży tam pan zeznanie na piśmie.

- Naturalnie, idę z panami. Ale mimo wszystko nadal pragnąłbym skorzystać z usług pana Holmesa. Pragnąłbym, aby nie szczenił pan trudu i wydatków, jeśli takowe będą konieczne, i doszedł prawdy. - Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko mojemu udziałowi w tej sprawie, panie Baynes? - spytał Holmes.

- Czuję się zaszczycony, sir.

- Wszystko, co pan dotąd zrobił, było szybkie i dokładne

- zrewanżował mu się Holmes. -

Czy są jakieś dane pozwalające

ustalić o której godzinie

popelniono morderstwo?

- Około pierwszej w nocy.

Mniej więcej wtedy zaczął padać deszcz, a zwłoki leżały na suchej ziemi. Wyciągnęliśmy stąd wniosek, że zabito pana Garcie wcześniej.

- Ależ to niemożliwe, panie Baynes - przerwał mu nasz klient. Z pewnością rozpoznałem jego głos i mogę przysiąc, że był o tej godzinie w mojej sypialni.

- Ciekawe, ale bynajmniej nie niemożliwe - uśmiechnął się

Sherlock.

- Czy ma pan coś konkretnego na myśli? - spytał Gregson. - Nie jest to chyba skomplikowana sprawa, choć pewne szczegóły są nowe i interesujące. Zanim jednak wydam jakąś wiążącą opinię, potrzebuję więcej faktów. Tak na marginesie, panie Baynes, czy przy przeszukiwaniu domu znalazł pan coś godnego uwagi poza tą kartką?

Zapytany spojrział na mojego przyjaciela w dość specyficzny sposób.

- Owszem, było tam parę rzeczy naprawdę godnych uwagi. Może gdy skończymy sprawę na posterunku przejechałby się pan z nami i powiedział mi na miejscu, co o nich sądzi?

- Jestem do pańskich usług -

odparł Holmes dzwoniąc na panią

Hudson. - Proszę pokazać tym

dżentelmenom drogę i wysłać

chłopca z tym telegramem. Ma

zapłacić pięć szylingów za

odpowiedź.

Gdy nasi goście wyszli,

siedzieliśmy przez chwilę w

milczeniu. Holmes palił fajkę,

marszcząc brwi i w

charakterystyczny sposób

przekrzywiając głowę.

- No cóż, Watsonie. Co o tym sądzisz? - spytał nagle.

- Nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie tej mistyfikacji, której ofiarą padł nasz klient.

- A zbrodnia?

- No cóż... łącznie ze zniknięciem służby... Sądzę, że byli w jakiś sposób powiązani z mordercą i uciekli w obawie przed policją.

- Jest to z pewnością możliwe.
Ale musisz przyznać, że byłoby
dość dziwne, gdyby obaj służący,
chcąc go zabić, wybrali na
dokonanie tego czynu właśnie tę
noc, kiedy akurat przebywał pod
jego dachem gość. Przez resztę
tygodnia byli sami w domu. Mogli

wtedy załatwić sprawę, mając więcej czasu na ucieczkę i nie wzbudzając podejrzeń.

- To dlaczego uciekli?

- Oto jest pierwsze zasadnicze pytanie. Drugim są powody niecodziennych przygód naszego klienta. Na razie możemy przyjąć jedynie hipotezę roboczą, która mogłaby wyjaśnić oba te problemy z dodatkiem tajemniczej wiadomości, dość dziwnie zresztą sformułowanej. Jedyne nowe fakty mogą tę hipotezę obalić lub potwierdzić.

- A jakaż to hipoteza?

- Musisz przyznać, mój drogi - odparł, wyciągając się w fotelu i przymykając oczy - że żart jest tutaj nieprawdopodobny. Następstwa są zbyt poważne, by uznać inne wyjaśnienie niż to, że sprowadzenie Scotta Ecclesa do Wisteria Lodge w jakiś sposób się z nimi wiąże.

- Ale w jaki?

- Zajmijmy się sprawami po
kolei. Po pierwsze, jest coś
dziwnego w tej nagłej przyjaźni
pomiędzy młodym Hiszpanem a
naszym klientem, tym bardziej że
jej motorem był ten pierwszy. On
podjął inicjatywę, odwiedzał
Ecclesa w Londynie i w końcu
zaprosił do siebie. Rodzi się
pytanie: do czego był mu
potrzebny pan Eccles. Nie jest
duszą towarzystwa ani zbyt
czarującym mężczyzną, podobnie
jak nie jest szczególnie
inteligentny. Ogólnie rzecz

biorąc, niecodzienne towarzystwo jak dla sprytnego i młodego latynosa. Dlaczego więc został przez tego ostatniego wybrany? Czy ma jakieś szczególne właściwości? Według mnie ma: jest wręcz uosobieniem cech typowego Anglika, wzbudzających szacunek rodaków. Sam widziałeś, że żadnemu z inspektorów nawet przez myśl nie przeszło podawać w wątpliwość jego historię, choć była naprawdę niecodzienna.

- To czego w takim razie był

świadkiem?

- Niczego, tak się akurat

złożyło. Gdyby jednak złożyło się tak, jak to planował Garcia, byłby jego świadkiem koronnym. Tak ja rozumiem całą sprawę.

- Miał dostarczyć mu alibi? - Właśnie, mój drogi. Załóżmy teoretycznie, że mieszkańcy Wisteria Lodge byli współnikami w jakimś przedsięwzięciu. Sprawa miała być podjęta przed pierwszą w nocy i to poza terenem tego domu. Przystawiając zegary mogli przekonać Ecclesa, że jest później niż faktycznie było, i w istocie, gdy Garcia odwiedzał go w pokoju, była dopiero dwunasta. Jeśli zdołałby dokonać tego, co planował, miałby nader mocne alibi przeciwko jakimkolwiek oskarżeniom:

nieposzlakowanego, typowego mieszkańca tego kraju, gotowego przysiąc w każdym sądzie, że podejrzany w tym czasie przebywał wraz z nim w domu. Doskonale zabezpieczenie, gdyby coś się nie udało.

- No tak... Więc dlaczego

zniknęła służba?

- Nie znam jeszcze wszystkich faktów, ale nie sądzę, by z tą sprawą wiązały się jakieś szczególne problemy. Uważam jednak, że jeszcze za wcześnie, by cokolwiek mówić. Potem może się okazać, jak dalece człowiek jest omylny.

- A wiadomość?

- Przypomnijmy sobie jej treść: „Nasze kolory zieleni i bielej” - może chodzić o wyścigi. „Zieleń otwarta, biel zamknięta” - to z całą pewnością sygnał. „Główne schody, pierwszy korytarz, siódme na prawo, zielone obicia” - to wyznaczone miejsce spotkania. Może chodzi tu o zazdrosnego męża? W każdym razie, z pewnością o sprawę niebezpieczną, gdyż inaczej nie byłoby dopisku „Dobrej szybkości”. I wreszcie „D”. To jest klucz do całej sprawy.

- Adresat był Hiszpanem - powiedziałem - „D” może oznaczać Dolores, dość częste imię w Hiszpanii.

- Doskonale, mój drogi. Ale to nieprawdopodobne. Hiszpanka napisałaby do Hiszpana w rodzimym języku, a ten, kto napisał tę wiadomość, doskonale władał angielskim. Cóż, należy

uzbroić się w cierpliwość i oczekiwać na powrót pana inspektora. W międzyczasie można tylko cieszyć się ze szczęścia, które choć na krótko uratowało nas od cierpień bezczynności.

Jeszcze przed powrotem inspektora Holmes otrzymał odpowiedź na swój telegram. Przeczytał ją i już zamierzał schować do portfela, gdy dostrzegł mój wyraz twarzy. - Wkraczamy w wyższe sfery - uśmiechnął się, podając mi depeszę. Była to lista nazwisk i adresów: „Lord Harringby, The Dingle, sir George Ftolliot, Oxshott Towers, Mr Mynes Hynes, J. P., Purdey Placy Mr James Baker Williams, Forton Old Hall, Mr Henderson, High Gable, Wielebny Joshua Stone, Nether Walsling”.

- To w znaczący sposób zawęży nam pole działania - wyjaśnił, gdy skończyłem czytać. Nie wątpię, że obdarzony metodycznym umysłem Baynes przyjął podobną metodę.

- Chyba nie całkiem cię

rozumiem.

- Mój drogi, doszliśmy do

wniosku, że wiadomość otrzymana przez zamordowanego podczas obiadu, zawierała informację o spotkaniu, na które miał się udać. Jeśli jest to wniosek słuszny, to lokalizacja podana w liście sugeruje duży dom; po cóż inaczej podawać ilość klatek schodowych czy korytarzy?

Oczywiste jest także, iż dom ten znajduje się w odległości mili lub dwóch od Oxshett, gdyż Garcia udał się tam na piechotę i liczył, jak sądzę, że dotrze na miejsce do godziny pierwszej, czyli do czasu, na który zapewnił sobie alibi. Ponieważ nie może być zbyt wiele takich domów, obrałem najprostsza metodę. Wysłałem telegram do wzmiankowanych przez Scotta Ecclesa pośredników nieruchomości z prośbą o przesłanie mi listy posesji spełniających powyższe warunki. Oto ona i wśród wymienionych powinien znajdować się poszukiwany przez nas zabójca.

Dochodziła szósta, gdy wraz z inspektorem Baynesem znaleźliśmy się w malowniczej wiosce Esher w Surrey. Obaj z Holmesem zabraliśmy niezbędne do noclegu rzeczy i znaleźliśmy dość wygodny pokój w „Bull”. Gdy udaliśmy się w drogę do Wisteria Lodge, był zimny i ciemny marcowy wieczór, a ostry wiatr i zacinający deszcz sprzyjały co prawda nastrojowi grozy i tajemniczości, ale zupełnie nie zachęcały do rozmowy.

II. Tygrys z San Pedro

Po niezbyt miłym, paromilowym marszu, znaleźliśmy się przed drewnianą bramą, za którą znajdowała się ponura aleja kasztanowców. Skręcający, mroczny podjazd prowadził do niskiego, pogrążonego w ciemności domu, odznaczającego się ciemną bryłą na tle zasnutego nieba. Tylko z jednego z frontowych okien, położonego po lewej stronie drzwi, sączyło się słabe, niezbyt jasne światło.

- Zostawiłem tu konstabla na straży - wyjaśnił Baynes. - Zastukam, by nas wpuścił.

Przeszedł przez pas trawy i

zapukał w szybę, co wywołało dość nieoczekiwany efekt - siedzący na krześle przy kominku policjant poderwał się z okrzykiem na równe nogi. Chwilę później błady jak ściana stróż prawa otworzył nam drzwi.

Świeca, którą niósł, dziwnie drżała mu w dłoni.

- Co się dzieje, Walters? -

ton Baynesa był ostry.

Zapytany odetchnął z wyraźną ulgą i otarł czoło chusteczką. - Cieszę się, że pan wrócił, sir. To był długi wieczór, a moje nerwy wyraźnie nie są już takie, jak dawniej.

- Nerwy, Walters? Nigdy nie sądziłem, żebyście je w ogóle mieli.

- Cóż, sir. Ten samotny, cichy dom z tymi... dziwactwami w kuchni... Gdy pan zapukał w szybę, myślałem, że to wróciło. - Co wróciło?!

- Diabeł, sir. Był w oknie.

- Jaki diabeł?! Kiedy?

- Jakies dwie godziny temu, gdy zaczynało zmierzchać. Czytałem sobie na krześle i nie wiem, co skłoniło mnie do spojrzenia w okno. Tam, za dolną szybą zobaczyłem twarz, która się na mnie gapiała... Sir, ale jaka twarz, pewnie będzie mi się śniła po nocach...

- No, no, Walters. Policjant nie opowiada takich rzeczy. - Wiem, sir, ale przyznaję, że mnie przeraziła. Nie była czarna ani biała, sir. Miała taki szarobury kolor, jak niektóre tynki. I była dwa razy większa od pańskiej, sir. Wielkie, wytrzeszczone oczy i ostre zęby, jak u dzikiego zwierza. Mówię panu, sir, że nie mogłem się ruszyć dopóki nie zniknęła. Wybiegłem na zewnątrz, ale, dzięki Bogu, nie było nikogo.

Gdybym nie wiedział, że
jesteście dobrym policjantem
Walters, porozmawialibyśmy
inaczej. Tak, zapamiętajcie
sobie na przyszłość, że choćby

nawet to był diabeł we własnej osobie, policjant na służbie nie ma prawa dziękować Bogu, że go ten stwór nie złapał. Jeżeli już, powinno być odwrotnie. Mam tylko nadzieję, że się wam to wszystko nie przyśniło?

- Można to łatwo sprawdzić - wtrącił się Holmes, zapalając kieszonkową latarkę i zabierając się do oglądania trawy przed domem. - Tak... według mnie buty numer dwanaście. Jeśli był proporcjonalnie zbudowany, to sądząc po rozmiarze stóp, musiał być prawdziwym olbrzymem.

- Co się z nim stało?

- Przedał się przez krzaki, zmierzając ku drodze.

- No cóż - twarz inspektora spoważniała - kimkolwiek by był i czegokolwiek by tu szukał, teraz go nie ma, a my mamy ważniejsze problemy. Jeśli pan pozwoli, panie Holmes, oprowadzę panów po domu. W sypialniach i salonach niczego nie znaleźliśmy mimo dokładnych poszukiwań.

Najwidoczniej mieszkańcy niewiele lub nic ze sobą nie przynieśli, zwłaszcza że wynajęli dom razem z meblami i całym wyposażeniem, aż do drobiazgów.

Znaleźliśmy odzież ze znakami Marx and Co. High Holborn.

Telegraficzne sprawdzenie

wykazało, że nie wiedzą tam o swoim kliencie niczego, poza faktem, że płaci zawsze gotówką, bez zwłoki ani innych niedogodności. Parę drobiazgów, kilka fajek i książek, z czego dwie po hiszpańsku, stary rewolwer na oddzielne spłonki i gitara - to było wszystko, co mogliśmy uznać za rzeczy osobiste.

- Ogólnie mówiąc, nic -

oznajmił Baynes ze świecą w dłoni, gdy Sherlock obejrzał ostatni pokój. - Ale zapraszam do kuchni.

Było to ciemne i wysoko

sklepienie pomieszczenie na tyłach domu. W jednym z jego rogów spoczywał materac, najprawdopodobniej służący kucharzowi za łóżko. Na stole piętrzył się stos brudnych talerzy i na wpół opróżnionych półmisek, będących pozostałością po wczorajszej kolacji.

- Proszę spojrzeć - Baynes oświetlił kąt izby. - Co pan o tym sądzi?

Na niewielkim stoliku stało coś tak pomarszczonego i zapadniętego w sobie, że trudno było określić, czym mogłoby być.

Z pewnością dało się jedynie powiedzieć, że było czarne i skóropodobne, oraz że przypominało karłowatą ludzką postać, przepasaną podwójnym sznurem białych muszli. Z początku sądziłem, że to zmumifikowane dziecko

murzyńskie, potem, że rzadki gatunek małpy. W końcu nie wiedziałem, czy to człowiek, czy zwierzę.

- Rzeczywiście, bardzo interesujące - Holmes przyglądał się dłuższą chwilę tej osobliwości. - Jeszcze coś? Baynes w milczeniu zaprowadził nas do zlewu i uniósł świecę - wewnątrz leżały kończyny i korpus jakiegoś białego ptaka, poszarpane na sztuki i to przed obraniem.

- Biały kogut - mruknął mój towarzysz wskazując na leżącą na spodzie głowę. - To naprawdę ciekawa sprawa.

Największą niespodziankę inspektor zostawił jednak na koniec. Pod zlewem stała cynkowa wanienka pełna krwi, a na stole talerz z odłamkami spalonych kości.

- Coś zabito i spalono. Kości wygrzebaliśmy z ognia. Lekarz, który tu był rano twierdzi, że nie są to szczątki ludzkie - poinformował nas po pokazaniu obu znalezisk.

Sherlock Holmes zatarł

radośnie ręce.

- Muszę panu pogratulować. To nader interesująca i pouczająca sprawa. Okoliczności, jeśli się pan nie obrazi, znacznie przewyższają możliwości, jakie zwykle reprezentują lokalni przedstawiciele prawa. W tym jednak przypadku reguła ta, jak sądzę, została złamana.

Oczy inspektora po tej uwadze błysnęły z zadowolenia.

- Ma pan rację, panie Holmes, na prowincji panuje stagnacja.

Sprawy takie, jak ta, dają

człowiekowi szansę i mam

nadzieję, że ją wykorzystam. Co pan sądzi o tych kościach? - Jagnię albo koźlą.

- A ten kogut?

- Dziwaczne, panie Baynes.

Powiedziałbym nawet, że

unikalne.

- To musieli być naprawdę

dziwni ludzie, o jeszcze

dziwniejszych zwyczajach. Jeden

z nich nie żyje, a dwaj

pozostali? Jeśli zabili go i

teraz próbują wyjechać za

granice, to ich złapiemy - każdy port jest pod obserwacją. Choć osobiście mam inne zdanie na ten temat. Powiedziałbym nawet, że diametralnie inne.

- Ma pan w takim razie jakąś teorię?

- Tak. I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Holmes, chciałbym sam nad nią popracować. Pana nazwisko jest sławne, o mnie zaś nikt nie słyszał. Chciałbym móc później uczciwie powiedzieć, że rozwiązałem tę sprawę bez pana pomocy.

Słyszając to Sherlock roześmiał się szczerze.

- Jest pan pierwszym, który tak stawia sprawę i szczerze życzę panu powodzenia. Każdy z nas ma swoją teorię i każdy będzie pracował osobno. Jeśli zechce pan skorzystać z moich osiągnięć, to są one i będą w

każdej chwili do pana dyspozycji. Co do dnia dzisiejszego, sądzę, że obejrzelśmy tu wszystko i lepiej czas spędzić gdzie

indziej. Do zobaczenia, życzę powodzenia.

Znając Holmesa mogłem z drobnych, choć dla mnie jednoznacznych oznak w jego zachowaniu stwierdzić, że jest na tropie, i to obiecującym. Dla przypadkowego obserwatora był jak zwykle obojętny i spokojny, ale błysk w oku, czy gwałtowność wymowy jasno wskazywały, że to tylko pozór. Zgodnie ze swym zwyczajem milczał jednak na ten temat, a ja, zgodnie ze swoim, nie pytałem. Gdyby oczekiwał pomocy lub odczuł potrzebę rozmowy, wie, że zawsze jestem do dyspozycji, a nie miałem najmniejszego zamiaru rozpraszać go pytaniami - i tak wszystko wyjaśni się we właściwym czasie.

Toteż czekałem cierpliwie, choć cierpliwość ta tym razem została wystawiona na ciężką próbę. Dni mijały, a postępów nie było. Jeden dzień spędził w British Museum, ale co robił w pozostałe, nie licząc samotnych wycieczek po okolicy i plotek w gospodzie, w których brał regularnie udział, tego nie wiedziałem.

- Pewien jestem, że ten tydzień na wsi ci się przyda - zauważył któregoś dnia. - Zawsze lubiłeś świeże powietrze, zieleń i piesze wycieczki. MOżna by nawet zająć się botaniką.

Zajął się nią zresztą osobiście, kompletując wyposażenie do zbierania zielnika, choć trzeba uczciwie przyznać, że sukcesy na tym polu miał dość mierne.

W trakcie naszych wycieczek
czasami spotykaliśmy inspektora
Baynesa, który zawsze witał mego
przyjaciela z uśmiechem i, choć
niewiele o tym mówił, dało się
zauważyć, że nie jest

niezadowolony z rozwoju
wydarzeń. Muszę jednak

przyznać, że z zaskoczeniem przyjąłem piątego dnia po morderstwie w porannej gazecie tytuł,
który oznajmiał:

„Rozwiązanie Tajemnicy

Oxshett

Aresztowanie Przypuszczalnego

Zabójcy”

Gdy go przeczytałem na głos, Sherlock podskoczył niczym ukąszony przez węża.

- Nie chcesz mi chyba

powiedzieć, że Baynes był

pierwszy? - zdziwił się.

- Najwyraźniej. Posłuchaj:

„Wielkie poruszenie w Esher i

okolicy wywołała najnowsza

wieść, iż dokonano aresztowania

podejrzanego o zamordowanie pana

Garcii, zamieszkałego w Wisteria

Lodge Oxshett. Tejże nocy,

kiedy go zabito, obaj jego

służący uciekli, co zdaje się

wskazywać na ich związek ze

zbrodnią. Możliwe jest, choć

dotąd nie zostało to

potwierdzone, że w domu

znajdowały się kosztowności,
których kradzież stała się
motywem zbrodni. Prowadzący tę
sprawę inspektor Baynes nie
szczędził wysiłków, by odnaleźć
zbiegów. Mając poważne podstawy
do podejrzenia, że nie uciekli
daleko, lecz skorzystali z
uprzednio przygotowanej
kryjówki, zastawił na nich
pułapkę. Z zebranych zeznań
wynikało bowiem jasno, że
kucharza pana Garcii widziano po
popelnieniu zbrodni w okolicy, a
osobnika tego o szczególnym
wyglądzie trudno pomylić z kimś
innym. Jest potężnie zbudowanym
mulatem, o żółtawym odcieniu
skóry i nader wyraźnych rysach
negroidalnych. Konstabl Walters
dostrzegł go pierwszego wieczora
po morderstwie, gdy pilnował
domu pana Garcii. Inspektor

Baynes założył, że wizyta ta
musiała mieć konkretny cel,
którego zrealizowanie
uniemożliwiła interwencja

konstabla. Na pozór przestał zatem interesować się domem, odwołując posterunek, urządził natomiast zamaskowany punkt obserwacyjny w krzakach. Dzięki temu zatrzymano ostatniej nocy kucharza, gdy próbował dostać się do wnętrza domu.

Obezwładniono go po ciężkiej
walce, w czasie której konstabl

Downing został groźnie
pogryziony przez dzikusa.

Zrozumiałe jest, że z tym

aresztowaniem wiąże się nadzieja na szybkie postępy śledztwa”.

- Musimy szybko zobaczyć się z Baynesem - zdenerwował się Holmes, gdy skończyłem. - Bierz kapelusz i w drogę!

Pośpieszyliśmy ulicą. Dopisało nam szczęście, gdyż spotkaliśmy inspektora zanim jeszcze zjawił się na posterunku.

- Widział pan gazety, panie Holmes? - spytał na nasz widok. - Owszem, widziałem i, proszę mi wybaczyć, ale chciałbym pana po przyjacielsku ostrzec.

- Ostrzec?

- Dość dokładnie zająłem się tą sprawą i nie sądzę, aby był pan na właściwym tropie. Nie chciałbym w związku z tym, by wpędził się pan przypadkiem w kłopoty.

- To miło z pańskiej strony, panie Holmes.

- Daję słowo, że mam na względzie jedynie pańskie dobro.

Przez chwilę wydawało mi się,

że coś na kształt podziwu

przemknęło przez twarz

policjanta, ale jego głos był równie spokojny jak przedtem. - Zgodziliśmy się pracować osobno, panie Holmes, i tak właśnie postępuję.

- Och, niech tak będzie, ale proszę nie mieć do mnie żalu. - Nie mam i nie będę miał.

Wierzę, że życzy mi pan jak najlepiej, ale każdy z nas ma własną metodę. Pańska jest już sprawdzona, ja swoją właśnie testuję.

- Dobrze. W takim razie nie mówmy już o tym.

- Dlaczego nie? Ma pan zawsze prawo do własnych opinii oraz do poznania najdrobniejszych faktów. Gość jest silny jak wół i zapalczywy jak sam diabeł. Typowy dzikus. Prawie odgryzł Downingowi kciuk, zanim go obezwładnili. Słabo mówi po angielsku i nic nie sposób z niego wydobyć.

- I sądzi pan, że zdoła zebrać dowody, iż to on zamordował Garcię?

- Nie powiedziałem tego, panie Holmes. Nie powiedziałem tego. Każdy ma swoje metody. Pan próbuje swojej, ja swojej, taka była umowa.

Sherlock wzruszył ramionami.

Pożegnaliśmy się.

- Nie mogę go rozgryźć. Nie jest głupi, a postępuje tak, jakby sam chciał się przewrócić. No cóż, jak powiedział, każdy z nas ma swoje metody. Mimo to jest w inspektorze Baynesie coś, czego nie rozumiem.

- Usiądź i posłuchaj, mój drogi - zaczął, gdy wróciliśmy do gospody. - Chcę cię wprowadzić w sytuację, gdyż mogę cię potrzebować dziś w nocy. W tej sprawie podstawowe kwestie były proste, a samo aresztowanie winnego może okazać się bardzo trudne. Nadal nie wiemy wielu rzeczy - myślę tu zwłaszcza o tej notatce, którą otrzymał Garcia w dniu śmierci. Możemy spokojnie zignorować pomysł Baynesa, że zamordowała go służba. Przeczy temu fakt zaproszenia przez niego na ten wieczór Scotta Ecclesa. To dowód, że gospodarz miał do zrobienia coś, co wymagało alibi. Należy sądzić, że właśnie to coś spowodowało jego

śmierć. Musiało chodzić o jakieś przestępstwo - w innym wypadku alibi nie byłoby potrzebne. Kto w takim razie zabił Garcie?

Najbardziej prawdopodobne jest, że ten, przeciwko komu wymierzona była ta nocna

eskapada. Jak dotąd wszystko pasuje, prawda? Teraz zajmijmy się zniknięciem służby.

Przypuszczam, że wszyscy trzej byli współnikami. Gdyby się powiodło, obecność i świadectwo Ecclesa chroniłoby wszystkich.

Sprawa jednak była niebezpieczna, toteż umówili się, że jeśli Garcia nie powróci do jakiejś umówionej godziny, obaj pozostali mają ukryć się w przygotowanym wcześniej miejscu, gdzie mogliby uniknąć zatrzymania i przygotować się do kolejnej próby. To w pełni wyjaśnia fakty, prawda?

Istotnie wyjaśniało, i jak

zwykle przy takich okazjach dziwiłem się, że sam wcześniej na to nie wpadłem.

- Dlaczego w takim razie jeden z nich wrócił?

- Prawdopodobnie przy

ucieczce, w zamieszaniu,

zostawił coś cennego, coś, bez czego nie mógł dłużej wytrzymać. Dlatego próbował pierwszej nocy i dlatego wrócił teraz. Zajmijmy się z kolei tą wiadomością.

Wskazuje ona na jeszcze jednego współnika i to po drugiej stronie. Ta druga strona, jak ci wcześniej powiedziałem, to jeden z dużych domów, których liczba jest ograniczona możliwością dojścia pieszo. Pierwsze dni spędzone tutaj poświęciłem serii spacerów, w trakcie których pod pozorem zbierania roślin obejrzałem wszystkie podejrzane budynki oraz dowiedziałem się wszystkiego o ich mieszkańcach.

Moją uwagę zwróciło szczególnie
słynne domostwo High Gable,
położone o milę od
przeciwległego krańca Oxshett
i mniej niż pół mili od miejsca

zbrodni. Pozostałe posiadłości nie kryją żadnych tajemnic - chyba że liczące po parę wieków i całkiem już dziś zapomniane. Mieszkają tam przyzwoite rodziny prowadzące normalny tryb życia. Zgoła inaczej sprawy mają się z panem Hendersonem z High Gable. Jest to osobliwy człowiek, któremu mogą się przytrafiać nader osobliwe przygody. Toteż na nim i na jego domownikach skoncentrowałem swoją uwagę. Dziwne zbiorowisko ludzi, mój drogi, a on sam jest najdziwniejszym ze wszystkich. Zdołałem zobaczyć się z nim pod dość prawdopodobnym pretekstem, ale zdawało mi się, że odczytuję w jego czarnych, głęboko osadzonych oczach świadomość prawdziwych powodów mej obecności. To silny i żwawy mężczyzna około pięćdziesiątki, o zaczynających dopiero siwieć włosach, krzaczastych, czarnych brwiach i zachowaniu władcy przyzwyczajonego do posłuchu oraz kryjącego pod kamienną twarzą gwałtowną naturę. Albo jest obcokrajowcem, albo mieszkał długo w tropikach, gdyż opalenizny tak czarnej jak jego, nie sposób osiągnąć inaczej.

Jego przyjaciel i sekretarz,

niejaki pan Lucas, jest

niewątpliwie cudzoziemcem. Ma śniadą skórę i przypomina skrzyżowanie kota z wężem - na pozór układny i miły, faktycznie zawsze gotów do ataku. Jak więc widzisz mamy już dwa zestawy gości spoza Anglii - pierwszy w Wisteria Lodge, drugi w High Gable. Luki zaczynają się wypełniać! Centrum stanowią ci dwaj, będący bliskimi i zaufanymi przyjaciółmi, ale jest jeszcze jedna osoba, która dla nas może być nawet ważniejsza.

Henderson ma dwie córki w wieku
jedenastu i trzynastu lat, a ich
guwernantką jest pani Burnet,
Angielka, lat około
czterdziestu. Jest tam także

jeden zaufany służący. Ta grupa tworzy praktycznie rodzinę, zawsze podróżują razem, a robią to często. Powrócili dopiero parę tygodni temu po rocznej nieobecności. Dodać jeszcze można, że Henderson jest bardzo bogaty i stać go na spełnianie wszystkich swoich zachcianek. Poza tym dom pełen jest lokajów, stajennych i służących, nie mających zbyt wiele do roboty, jak to zwykle bywa w dużym wiejskim domu w tym kraju. Tyle dowiedziałem się z plotek w gospodzie i własnych obserwacji. Ponieważ zaś nie ma lepszego pomocnika w takich sprawach, jak zwolniony służący, żywiący urazę do dawnego pana, poszukałem kogoś takiego. Szczęście mi dopisało i znalazłem szybko. Jak twierdzi Baynes, każdy z nas ma własną metodę, a moja umożliwiła mi znalezienie Johna Wornera, poprzednio ogrodnika w High Gable, wyrzuconego przez swego chlebodawcę w napadzie złości.

Ten z kolei ma przyjaciół wśród
zatrudnionej tam nadal służby,
którą łączą dwie rzeczy:
doskonała płaca i strach
połączony z nienawiścią do swego
pana. Uzyskałem więc klucz do
wnętrza posiadłości. Dziwni
ludzie, Watsonie. Jeszcze
wszystkiego nie rozumiem, ale to
jedno nie ulega kwestii. Dom ma
dwa skrzydła. W jednym mieszka
służba, w drugim rodzina. Między
obu częściami budowli nie ma
kontaktu - poza zaufanym
służącym Hendersona, który
podaje odbierane z kuchni
posiłki przez drzwi stanowiące
jedyne przejście między obu
skrzydłami. Guwernantka i dzieci
rzadko wychodzą na zewnątrz,
chyba że do ogrodu. Natomiast
Henderson nigdy nie chodzi sam,
jego sekretarz nie odstępuje go
ani na krok. Plotka między

służbą niesie, że ich pan
strasznie się czegoś boi. Według
Wornera zaprzedał duszę diabłu

za majątek i lęka się powrotu
wierzyciela. Skąd pochodzą i kim
są, nikt nie ma pojęcia. Są
natomiast gwałtownej natury:
dwukrotnie Henderson użył pejcza
na służbę i tylko dzięki
poważnemu odszkodowaniu sprawa
nie trafiła do sądu. Oceńmy
teraz sytuację w świetle tych
informacji. Załóżmy, że list
został wysłany z tego dziwnego
domostwa i był zaproszeniem do
wykonania przez Garcię czegoś,
co uprzednio zaplanowano. Kto go
napisał? Ktoś z wewnątrz, i to
płci odmiernej - wszystko
wskazuje na guwernantkę. Możemy
więc przyjąć tę hipotezę i
zobaczyć, jakie niesie
konsekwencje. Dodać należy, że
osobowość i wiek pani Burnet
wykluczają moje pierwotne
domniemanie, że motywem była
miłość. Jeżeli to ona była
autorką listu, znaczy to, że

była współniczką i przyjaciółką zabitego. Jaka wobec tego powinna być jej reakcja na wieść o jego śmierci? Jeśli, jak przypuszczamy, eskapada była tajemnicą, to milczenie, ale też wściekłość i nienawiść do tych, którzy go zabili oraz, w miarę swych możliwości, pomoc w zemście. W takim razie należało skontaktować się z nią i tego też próbowałem. Okazało się

wówczas, że nikt jej nie widział odkąd zginął Garcia. Zniknęła dokładnie tego samego wieczora. Powstaje wobec tego problem: czy żyje i jest więźniem, czy też spotkał ją taki koniec jak jego, tylko zwłoki lepiej ukryto?

Rozumiesz teraz trudności, jakie stwarza ta sytuacja - nie ma żadnych podstaw do wszczęcia oficjalnego dochodzenia, czy też uzyskania nakazu rewizji. Całe rozumowanie, jakie ci przedstawiłem, wywołałoby w najlepszym wypadku uśmiech na twarzy burmistrza, gdybyśmy się doń zgłosili. Zniknięcie guwernantki łatwo wyjaśnić w tym

domu, w którym każdy może i tydzień być niewidoczny, tłumacząc to chorobą. A mimo wszystko może jej grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Wszystko, co mogłem zrobić, to obserwować posesję i zostawić przy bramie Wornera, który obecnie jest naszym agentem. Nie możemy jednak pozwolić, by sytuacja ta trwała dłużej, a skoro prawo nie jest w stanie nic zrobić, musimy zaryzykować. - Co proponujesz?

- Wiem, w którym pokoju mieszka. Jest on dostępny z dachu przybudówki. Proponuję, byśmy dziś w nocy spróbowali dotrzeć do sedna tajemnicy. Przyznaję, że nie był to pociągający pomysł - stary dom, morderstwo, dziwni i groźni gospodarze, nieznane niebezpieczeństwa. W dodatku, z prawnego punktu widzenia, stawialiśmy się w roli złodziei - wszystko to razem wzięte nie nastrajało mnie optymistycznie. W zimnym rozumowaniu Holmesa było jednak coś, co sprawiało, że niemożliwe było wycofanie się z jakiegokolwiek przygody, jaką proponował. Wiedziałem, że jest to jedyny sposób, by znaleźć rozwiązanie - toteż i tym razem w milczeniu uściśnłem mu dłoń, potwierdzając tym samym swą gotowość pomocy.

Nie było nam jednak pisane zakończyć sprawę w tak awanturniczy sposób - około piątej, gdy marcowe cienie kładły się na ulicach, znalazł się przed naszymi drzwiami i po chwili wpadł do pokoju niezwykle podniecony mężczyzna.

- Wyjechali, panie Holmes - zameldował bez tchu - ostatnim pociągiem. Pani uciekła i mam ją na dole w dorożce!

- Doskonale, Wornier! - Holmes zerwał się na równe nogi - Watsonie, zbliżamy się do finału.

W dorożce siedziała na wpół

omdlała kobieta, o twarzy noszącej ślady jakiejś niedawnej tragedii. Słyszając nasze kroki uniosła głowę. Dostrzegłem, że jej źrenice były czarnymi punkcikami. Musiała dostać sporą dawkę opium.

- Obserwowałem bramę, jak pan kazał - opowiadał tymczasem Worner. - Gdy wyjechali, pośpieszyłem za nimi i dotarłem na stację. Wyglądała jak lunatyczka, ale gdy chcieli ją wpełznąć do przedziału obudziła się i zaczęła się szamotać. Wtedy się przyłączyłem - dałem w łeb tej gnidzie, sekretarzowi. Udało mi się złapać dorożkę i odjechać razem z panią, zanim się opamiętali. Ten żółty diabeł nikomu nie daruje!

Zanieśliśmy kobietę na górę, położyliśmy na sofie i zaczęliśmy pić mocną kawę. Po kilkunastu minutach jej umysł zaczął wyzwalać się spod wpływu narkotyku, a w międzyczasie pojawił się Baynes, po którego Sherlock posłał uspokojonego nieco Wornera. Mój przyjaciel pokrótce wyjaśnił inspektorowi sytuację.

- Wspaniale, panie Holmes - ucieszył się ten po wysłuchaniu jego relacji. - Znalazł pan dowody, których potrzebuję. Od samego początku byliśmy na tym samym tropie.

- Co? Pan też podejrzewał Hendersona?

- Cóż, kiedy pan łąził po krzakach przy High Gable, ja siedziałem na jednym z tamtejszych drzew. Kwestią było jedynie to, który z nas pierwszy będzie miał dowody.

- To po coś pan łapał mulata?

Baynes zachichotał.

- Bo byłem pewien, że ten cały

Henderson, jak się tutaj

nazywał, czuł, że go

podejrzewamy i że przyczai się nie robiąc nic dopóki będzie sądził, że zagraża mu jakikolwiek niebezpieczeństwo.

Aresztowałem niewinnego, by skłonić go do przekonania, że jest bezpieczny - podejrzewałem, że będzie chciał wyjechać, dając nam tym samym szansę dotarcia do pani Burnet.

- Wysoko pan zajdzie - pogratulował mu Holmes. - Ma pan intuicję i rozum, a to rzadkie połączenie.

Trudno uwierzyć, ale słysząc to Baynes zaczerwienił się jak pensjonarka.

- Miałem tajniaków na stacji przez cały dzień. Dokąd by ci ludzie nie pojechali, mieli rozkaz nie spuszczać ich z oczu. Ale ucieczka pani Burnet musiała niezłe zaskoczyć Hendersona.

Całe szczęście, że pański

człowiek miał lepszy refleks i

zdolał ją przejąć. Bez jej

zeznań nie moglibyśmy nic

zrobić, a teraz pozostaje tylko je uzyskać i możemy zamknąć obu. - Widać, że przychodzi już do siebie - mruknął Holmes spoglądając na guwernantkę. - Ale, ale, niech mi pan powie, Baynes, kto to właściwie jest, ten cały Henderson?

- Henderson to Don Murillo, niegdyś zwany Tygrysem z San Pedro.

Teraz wszystko zaczęło być jasne. Przypomniała mi się cała historia tego nikczemnego człowieka. Jego nazwisko stało się głośne dzięki temu, że rządził w najbrutalniejszy i najkrwawszy sposób ze wszystkich władców Ameryki, mających pretensje do cywilizowanych systemów władzy. Silny, pozbawiony strachu oraz na tyle energiczny i sprytny, by utrzymać się przy władzy dziesięć czy dwanaście lat. Jego nazwisko wzbudzało lęk w całej Ameryce Środkowej, choć jego rządy zakończyły się masowym powstaniem. Był jednak równie przewidujący, co okrutny i na pierwszą wzmiankę o poważnych kłopotach zniknął wraz ze

skarbami, które nagromadził, na pokładzie obsadzonego wierną sobie załogą statku. Następnego dnia powstańcy opanowali pusty pałac - dyktator, jego dwie córki, sekretarz i bogactwo zniknęły. Od tego momentu zszedł tak ze sceny światowej polityków, jak i ze szpalt

gazet, choć wzmianki o jego przypuszczalnym miejscu pobytu trafiały co jakiś czas na łamy, nigdy jednak nie znajdując potwierdzenia.

- Jeśli pan zada sobie trud sprawdzenia - ciągnął Baynes - dowie się pan, że flaga San Pedro jest zielono_biała.

Prześledziłem całe postępowanie Hendersona od chwili, gdy przybrał to nazwisko. W 1886 roku wylądował w Barcelonie, stamtąd udał się do Madrytu, a dalej do Paryża, by w końcu zawitać do nas. Przez cały czas był poszukiwany przez swych rodaków, którzy nie zapomnieli jego rządów, ale dopiero tu udało im się wpaść na właściwy ślad.

- Odkryli go rok temu -

włączyła się pani Burnet,

siedząca już i z żywym

zainteresowaniem śledząca rozmowę. - Raz już próbowano go zabić, ale diabeł go ochronił. Teraz znów szlachetny i dzielny Garcia zapłacił życiem, a ten łotr uciekł. Ale będzie następny, któremu się uda i pewnego dnia sprawiedliwości stanie się zadość. To równie pewne jak to, że jutro będzie następny dzień.

Zacisnęła ręce, a twarz

rozjaśniła jej nienawiść tak

silna, jak rzadko zdarza się u kogokolwiek.

- Ciekawi mnie, w jaki sposób

angielska dama związała się z

morderczym spiskiem? - mruknął

Holmes. - Mogłaby pani to

wyjaśnić?

- Związałam się, gdyż nie

miałam innego sposobu, by

wymierzyć sprawiedliwość

mordercy. Co obchodzą prawo tego

kraju rzeki krwi, wylane lata

temu w San Pedro, czy ładunek

skarbów zrabowanych przez niego

mieszkańcom kraju, w którym

rządził? Dla was są to zbrodnie

równie odległe, jakby były

popelnione na Księżycu. Ale dla
nas to prawda, to coś, co
przeżyliśmy i za co drogo

zapłaciliśmy. Nie ma gorszego wroga od Juana Murillo i nie ma spokoju, gdy jego ofiary łakną zemsty.

- Nie wątpię, że mówi pani prawdę - zgodził się Holmes - ale nie bardzo rozumiem, w jaki sposób dotyczy to również pani?

- Zaraz pan zrozumie. Otóż
naczelną zasadą, dzięki której
Murillo przez tyle czasu
utrzymywał się przy władzy, było
mordowanie pod jakimkolwiek
pretekstem każdego, w kim
upatrywał rywala do rządów. Mój
mąż był ambasadorem San Pedro w
Londynie - naprawdę bowiem
nazywam się signora Victor
Durando. Tu się spotkaliśmy i
pobraliśmy. Nie było
szlachetniejszego niż on
człowieka. Niestety, Murillo
usłyszał o nim, odwołał go pod
jakimś pozorem i kazał
zastrzelić. Przeczuwając swój
los, mąż nie zgodził się na
zabranie mnie ze sobą. Jego
majątek został skonfiskowany i
tym oto sposobem zostałam sama,
ze złamanym sercem i bez grosza
przy duszy. Potem przyszedł kres
tyrana - uciekł tak, jak pan
powiedział. Jednak ci, których
zrujnował, których torturował i
którzy przez niego stracili
najbliższych, nie zapomnieli i
nie dali za wygraną. Utworzyli

organizację, której celem stało się odnalezienie Tygrysa z San Pedro i zemsta. Moim zadaniem było dołączyć do jego służby, gdy odkryto, że Henderson i on to ta sama osoba, by informować innych o jego posunięciach i

ułatwić wykonanie wyroku. Udało się to osiągnąć i zostałam guwernantką jego córek - nie widział nigdy mnie ani mojej podobizny, toteż nie przyszło mu do głowy, że dzień w dzień jada patrząc na kogoś, komu zabił najbliższą osobę. Pierwszej próby dokonano w Paryżu, ale nie udała się. Podróżowaliśmy potem zygzakiem po Europie, by zgubić prześladowców i w końcu wróciliśmy tu, do domu, który wykupił, gdy pierwszy raz zjawił się w Anglii. Ale tu także czekali wysłannicy

sprawiedliwości. Wiedząc, że w końcu przybędzie, czekał tu na niego Garcia, syn poprzedniego prezydenta San Pedro, zabitego zresztą przez Murillo. Czekał na nas wraz z dwoma zaufanymi towarzyszami, a wszystkich trzech przepelniała chęć zemsty. W ciągu dnia niewiele mógł zrobić, gdyż Tygrys powziął wszelkie środki ostrożności i nie ruszał się nigdzie bez Lucasa czy raczej Lopeza, bo tak brzmi jego prawdziwe nazwisko.

Nocą jednak sypiał sam. Tego wieczoru, jak zostało to wcześniej przygotowane, wysłałam Garcii ostatnią wiadomość, gdyż

Murillo nie sypiał dwóch nocy w
tej samej sypialni, a trudno
było przeszukiwać po nocy cały
dom. Miałam dopilnować, by drzwi
wejściowe były otwarte i
zostawić w oknie wychodzącym na
podjazd sygnał z białych i
zielonych lamp, w zależności od
tego czy wejście było
bezpieczne, czy też sytuacja
uległa zmianie. Tylko że nic się
nie udało. W jakiś sposób
musiałam wzbudzić czujność
Lopeza, który mnie widocznie
śledził i skoczył od tyłu, kiedy
tylko skończyłam pisać tę
kartkę. Obaj z Murillem
zaciągnęli mnie do mego pokoju -
gdyby wiedzieli, jak mogą uciec
przed konsekwencjami, to
zabiliby mnie na miejscu, ale

stwierdzili po długiej naradzie,
że miejsce i czas są zbyt
niebezpieczne. Inaczej rzecz się
miała z Garcia. Postanowili
pozbyć się go raz na zawsze. Gdybym
wiedziała, co planują, nigdy bym
im nie powiedziała, a tak, kiedy
Murillo zaczął mi wykręcać ręce,
podałam im adres. Lopez
zaadresował kartkę,

zapieczętował spinką od

mankietów i wysłał przez swego służącego imieniem Jose. Jak zabili Garcíę, nie wiem, ale zrobił to Murillo, gdyż Lopez całą noc pilnował mnie. Najpierw chcieli pozwolić mu wejść i zabić jako włamywacza, ale doszli do wniosku, że raz wmieszani w zabójstwo mogą dalej nie być w stanie ukryć swych prawdziwych nazwisk i narażą się na kolejne ataki. Sądzieli, że to zabójstwo może zapewnić im spokój, gdyż reszta przestraszy się śmierci. Co do mnie, to przez pięć dni więzili mnie w pokoju, próbując groźbami i biciem zmusić mnie do wyznania wszystkiego, co wiem. Przez ten czas zastanawiali się też, co ze mną zrobić. Dziś po południu ledwie zjadłam obiad, zorientowałam się, że dodali do niego jakiś narkotyk. Resztę pamiętam jak niezbyt wyraźny sen - na wpół wnieśli, na wpół wyprowadzili mnie do karety, a potem próbowali wepchnąć mnie do pociągu, ale wtedy do mnie dotarło, że mam okazję uciec i zaczęłam się szamotać. Gdyby nie pomoc tego dobrego człowieka, pewnie by mi się to nie udało. A tak jestem, dzięki Bogu, poza ich zasięgiem.

Po tej nieoczekiwanej opowieści przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją dopiero Holmes:

- To jeszcze nie koniec trudności. Robota policyjna skończona, ale prawna dopiero nas czeka.
- Dobry adwokat może zrobić z

tego działanie w samoobronie -

zgodziłem się z nim - a sądzić

go można tylko za jedną

zbrodnię, nie za wszystkie.

Takie jest nasze prawo.

- Panowie, mam trochę lepsze

zdanie o naszym prawie -

sprzeciwił się Baynes. -

Samoobrona to jedno, a mord popełniony z zimną krwią to zupełnie coś innego. Nie.

Zresztą przekonacie się, że mam rację, gdy zobaczymy właścicieli High Gable na ławie oskarżonych.

W tej jednak sprawie historia miała inne zdanie - co prawda minęło trochę czasu nim Tygrys z San Pedro spotkał swych sędziów, gdyż zmylił pogoń używając przechodniego domu przy Edmonton Street, a wychodzącego na Curzon Square i od tego dnia nikt go w Anglii nie widział.

Jakieś sześć miesięcy później w Hotelu Escurial w Madrycie zostali zabici markiz Montarla i senior Rulli. Czyn ten przypisywano nihilistom, zaś morderców nigdy nie znaleziono, ale z rysopisów, jakie uzyskał od swych świadków Baynes wynikało niezbicie, że zemsta dosięgnęła w końcu poszukiwanych w Anglii za morderstwo osobników.

- Bardzo zawikłana sprawa, mój drogi - oznajmił Holmes na wieść o tym czynie. - Obawiam się, że nie będziesz w stanie

zaprezentować jej czytelnikom w ten ulubiony przez ciebie skrótowy sposób. Obejmuje ona dwa kontynenty, dwie grupy tajemniczych do końca osób i jest dodatkowo skomplikowana przez obecność Scotta Ecclesa, skądinąd dowodzącego niezłe rozwiniętego instynktu samozachowawczego i rozumu zmarłego Garcii. Godna uwagi jest zaś jedynie ze względu na to, że w dżungli możliwości tak my jak i inspektor, byliśmy w stanie trzymać się cały czas

tego co najważniejsze i to pomimo przeróżnych przeszkód. Czy jest w niej jeszcze coś, co nie w pełni pojmujesz?

- Powód powrotu kucharza. - To coś, co znaleźliśmy w kuchni. To prymitywny dzikus z puszczy San Pedro, a owo coś było jego fetyszem. Gdy uciekali do przygotowanej kryjówki, towarzysz musiał go przekonać, by ten kompromitujący, a łatwy do rozwiązania drobiazg zostawił. Był doń jednak zbyt przywiązany, by rozstać się z nim na dłużej. Niestety, za pierwszym razem przestraszył go policjant, a trzy dni później złapał przewidujący Baynes. Jeszcze coś?

- Rozszarpany ptak, naczynie z

krwią i cała tajemnica tej

dziwacznej kuchni.

- Spędziłem cały ranek w

British Museum, sprawdzając to i parę innych rzeczy - odparł z uśmiechem Sherlock wyjmując notes. - Oto cytat z „Kult Voodoo i inne religie murzyńskie” Eckermana:

„Prawdziwy wyznawca Voodoo nie

podejmuje niczego ważnego bez

uprzedniego złożenia

odpowiednich ofiar swym bogom. W

sytuacjach szczególnie ważnych

ofiary mają charakter

kanibalistyczny, zazwyczaj

jednak składają się z białych

kogutów rozerwanych żywcem lub

czarnych kozłów, które po

upuszczeniu krwi zostają
spalone”.

Jak więc widzisz, nasz dziki przyjaciel był nader ortodoksyjny w tych sprawach. Jest to, przynajmniej, groteskowe, ale, jak ci kiedyś wspomniałem, od groteski do śmierci jest tylko jeden krok.

Zniknięcie

Lady Frances Carfax

Ciekawe. Dlaczego tureckie? - mruknął Holmes, wpatrując się w moje buty.

Kołysałem się w tym momencie na fotelu i moje wystawione w stronę kominka stopy musiały zwrócić jego uwagę.

- Angielskie - odparłem

zaskoczony. - Kupiłem je u

Latimera na Oxford Street. Uśmiechnął się z wyrazem cierpliwej rezygnacji.

- Łaźnie! - wyjaśnił. -

Dlaczego wolisz kosztowne, tureckie łaźnie od prostych rodzimych?

- Bo ostatnio zacząłem czuć

się staro i dokuczał mi

reumatyzm. Łaźnia turecka jest

czymś, co lekarze nazywają

zmianą leków, nowym etapem w

leczeniu i oczyszczeniu całego

ciała - powiedziałem, dodając po

chwili namysłu. - Tak na

marginesie, nie wątpię, że

związek między moimi butami, a turecką łaźnią jest dla logicznego umysłu oczywisty, ale byłbym ci nader wdzięczny, gdybyś był łaskaw wskazać mi go. - Tok myślowy jest dość jasny... oznajmił ze złośliwym uśmieszkiem. - Podobnie jak dedukcja, którą musiałbym ci tłumaczyć, gdybym spytał z kim dziś jechałeś dorożką.

- Nie sądzę, by ten przykład coś mi wyjaśnił - przyznałem szczerze.

- Brawo! Doskonały przykład logicznego myślenia. Wobec tego do rzeczy. Zacznijmy od dorożki. Łatwo da się zauważyć, że na lewym rękawie i na ramieniu płaszcza masz świeże ślady błota. Gdybyś siedział na środku siedzenia w dorożce, nie miałbyś ich, albo też miałbyś z

obu stron. Stąd prosty wniosek, że siedziałeś po lewej stronie pojazdu, co spowodowane być mogło tylko towarzystwem w czasie jazdy.

- Faktycznie, to oczywiste.

- I zupełnie trywialne, czyż

nie?

- Ale buty i łaźnia?

- Równie proste. Masz zwyczaj zawiązywać buty w określony sposób, a teraz są zawiązane inaczej, na podwójny węzeł. Wobec tego zdejmowałeś je będąc w mieście. Gdzie? U szewca nie, bo są nowe i nie widać śladów naprawy. Wobec tego co pozostaje? Łaźnia i wiązanie przez obsługę. Absurdalnie proste, prawda? A mimo to turecka łaźnia posłużyła za przykład i spełniła swe zadanie.

- Jakie zadanie?

- Powiedziałeś, że poszedłeś tam potrzebując odmiany.

Proponuję ci w takim razie, byś skorzystał z następnej propozycji. Co powiesz na wyjazd do Lozanny? Bilet pierwszej klasy i wszystkie wydatki na koszt klienta!

- Doskonale! Ale dlaczego? Sherlock wyciągnął wygodnie nogi i sięgnął do kieszeni po notes.

- Jedną z najbardziej

niebezpiecznych istot na

świecie jest podróżująca,

samotna kobieta - oświadczył. - Sama z siebie jest najczęściej zupełnie niegroźna, a wręcz nader przyjacielska, ale w nieunikniony sposób prowokuje przestępstwa innych. Jest bowiem bezradna i bezbronna.

Przemieszcza się z miejsca na miejsce, ma wystarczające środki do życia i podróży, jest sama, zatrzymuje się w hotelach oraz prywatnych pensjonatach i, ogólnie rzecz biorąc, łatwo może zniknąć, nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania. Zupełnie jak zabłąkana kura wśród stada lisów. Obawiam się, że podobny los spotkał lady Frances Carfax.

Przyznaję, że to przejście od
ogólników do konkretów przyjąłem
z ulgą, gdyż już zacząłem łamać
sobie głowę, co też mój

towarzysz może mieć na myśli.

- Lady Frances - kontynuował

tymczasem Holmes po sprawdzeniu

w notatkach - jest dziedziczką
księżnej Rufton. Nieruchomości,
jak być może pamiętasz, przeszły
w posiadanie męskiej części
rodu, jej natomiast dostała się
gotówka oraz kolekcja rzadkiej,
hiszpańskiej biżuterii ze srebra
i osobliwie szlifowanych
diamentów, do której jest

zresztą bardzo przywiązana. Można by rzec, że nawet za bardzo, gdyż nie zgadza się nigdy na pozostawienie klejnotów u swego bankiera, lecz wozi je wszędzie ze sobą. Jest to nader piękna kobieta, w średnim już teraz wieku, która dzięki dziwnemu kaprysowi losu jest ostatnią z licznej jeszcze dwadzieścia lat temu rodziny.

- Co jej się przydarzyło? -
spytałem zaciekawiony.

- To jest właśnie problem,
którym mamy się zająć. A

właściwie problemem jest to, czy żyje, czy też już nie. Z tego, co wiem, ma upodobanie do pewnych staroświeckich zachowań. W ciągu ostatnich czterech lat jednym z nich było pisywanie co dwa tygodnie listów do pani Dobney, swej starej guwernantki, która jest już na emeryturze i mieszka w Comberwell. Ona właśnie zgłosiła się do mnie, gdyż od ostatniego listu lady Frances minęło już pięć tygodni. Ten ostatni wysłany został z Hotel National w Lozannie, który autorka opuściła nie podając swego kolejnego adresu. Rodzina czuje się zaniepokojona takim stanem rzeczy, a że jest majątna, nie szczędzi pieniędzy, byleśmy rozwiązali tę zagadkę.

- Czy pani Dobney jest jedynym
źródłem informacji? Z nikim
innym lady Carfax nie
korespondowała?

- Jest jeszcze jeden
korespondent i to taki, do
którego można mieć całkowite

zaufanie. Lady Carfax musi żyć,
a do tego niezbędne są
pieniądze. Jej bankiem jest

Silvester. Pokazali mi ostatnie rachunki. Ostatni jej czek to ten, którym zapłaciła rachunek w Lozannie. Ale ponieważ wystawiła go na większą sumę, najprawdopodobniej używała potem gotówki. Następnie zrealizowano jeszcze tylko jeden z jej czeków.

- Kto i gdzie?

- Pani Marie Devine, ale nie wiadomo gdzie go wystawiono. Zrealizowany został trzy tygodnie temu w Credit Lyonnais w Montpellier i opiewał na pięćdziesiąt funtów.

- Kto to taki, ta pani Devine?

- Tego też się dowiedziałem.

To służąca lady Frances.

Natomiast powody, dla których chlebodawczyni zapłaciła jej czekiem i to taką sumę, są mi jeszcze nie znane. Nie wątpię jednak, że twoje badania wkrótce rozwikłają tę zagadkę.

- Moje co?

- Twoje badania, wynikające ze zdrowotnej wycieczki do Lozanny. Wiesz, że nie mogę opuścić Londynu. Stary Abrahams obawia się o swoje życie i skłonny jestem przyznać mu rację.

Zresztą w ogóle nie powinienem opuszczać tego kraju. Scotland Yard beze mnie czuje się samotny, a poza tym moja

nieobecność wywołuje niezdrowe podniecenie w świecie przestępczym. Jedź więc, mój drogi, i jeśli moje skromne rady warte są tak wygórowanej ceny jak dwa pensy za słowo, to natychmiast depešuj po nie, jeśli tylko uznasz to za stosowne.

Dwa dni później znalazłem się w Hotelu National w Lozannie, gościnnie przyjęty przez pana Mosera, dyrektora tej szacownej instytucji. Jak mnie poinformował, lady Frances

mieszkała tu kilka tygodni i była osobą lubianą przez

wszystkich. Miała nie więcej jak czterdziestkę i zasługiwała nadal na miano kobiety przystojnej, a z rysów twarzy należało wnosić, że w młodości określano ją jako bardzo piękną.

Nic mu nie wiadomo o
jakiegokolwiek biżuterii, ale
służba coś wspominała o solidnym
kufrze, który stał w jej
sypialni i który zawsze był

dokładnie zamknięty. Marie Devine była równie popularna jak jej pani, a nawet bardziej, gdyż zaręczyła się z głównym kelnerem tegoż hotelu. Bez trudu też zdobyłem jej adres - 11 rue de Trojan, Montpellier. Śmiem twierdzić, że sam Holmes nie mógłby lepiej i szybciej zebrać tych faktów.

Jedna tylko rzecz pozostawała nadal zupełnie niewyjaśniona - powód nagłego wyjazdu poszukiwanej damy. Była tu szczęśliwa i wszystko wskazywało, że zechce pozostać do końca sezonu, a opuściła hotel nagle, bez uprzedzenia, tracąc przy tym pieniądze zapłacone za resztę tygodnia. Jedyne narzeczony służącej, Jules Viborrt, miał w tej kwestii coś do powiedzenia. Łączył on mianowicie nagły wyjazd lady Frances z wizytą, jaką złożył jej dzień czy dwa wcześniej wysoki i brodaty mężczyzna o śniadej karnacji, którego opisał jako: „Un sauvage, un veritable sauvage”. Musiał wynajmować pokój w mieście, gdyż nie znano go w hotelu, natomiast widziano jak rozmawiał z zaginioną na promenadzie, a później dzwonił do niej do hotelu. Lady Frances nie chciała go jednak przyjąć.

Był Anglikiem, lecz nikt nie
zapamiętał jego nazwiska. Po
jego telefonie lady Carfax
wyprowadziła się prawie
natychmiast i Jules, a co

ważniejsze jego przyszła żona również, przekonani byli, że powodem tego nagłego wyjazdu był właśnie ów telefon. Jednej tylko rzeczy nie dowiedziałem się od niego, a mianowicie powodów, dla których Marie odeszła od swej pani. Nie chciał rozmawiać na ten temat oświadczając, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć, to jedynie od samej zainteresowanej.

Tak zakończył się pierwszy etap poszukiwań. Drugi poświęcony był miejscu, do którego udała się lady Frances po opuszczeniu Lozanny. Zrobiła to w tajemnicy, co wyraźnie świadczyło, że pragnęła zgubić jakiegoś prześladowcę. Dla jakiego bowiem innego powodu jej bagaż nie został wysłany bezpośrednio do Baden, ale, podobnie jak ona sama, pojechał tam okreśną drogą? Tego dowiedziałem się w lokalnym oddziale Cooka i sam też udałem się do Baden, po uprzednim wysłaniu Sherlockowi sprawozdania z dotychczasowych działań i otrzymaniu telegramu z na wpół żartobliwą zachętą do dalszego wysiłku.

W Baden sprawy stały się nieco łatwiejsze, gdyż ślad był wyraźniejszy. Lady Frances zatrzymała się w Englisher Hof i tam też poznała doktora Schlessingera wraz z małżonką.

Podobnie jak większość samotnych
kobiet, lady Carfax szukała

pociechy w religii, a doktor Schlessinger był misjonarzem w Ameryce Południowej. Jego niepospolita osobowość jak i całkowite oddanie religii oraz fakt, iż zdrowiał właśnie po przejściu jakiejś zarazy, która dotknęła go podczas wykonywania obowiązków apostołskich, głęboko ją wzruszyły. Pomagała małżonce chorego w sprawowaniu opieki nad nim i częstokroć widywano całą trójkę na werandzie, gdzie

misjonarz, jak mi opisano, zażywał górskiego powietrza i słońca w towarzystwie obu kobiet. Jak się dowiedziałem, przygotowywał on mapę i przewodnik po Ziemi Świętej. W końcu podreperował zdrowie wystarczająco, by wrócić do Londynu, co też wraz z małżonką uczynili. Lady Frances towarzyszyła im w drodze. Było to trzy tygodnie temu i od tej pory dyrekcja hotelu nic o nich nie słyszała. Co zaś tyczy się służącej lady Carfax, to parę dni wcześniej odeszła zalewając się łzami i informując inne służące, że porzuca służbę na zawsze. Rachunek za wszystkich uiścił doktor Schlessinger.

- Zresztą - oświadczył mi na zakończenie dyrektor - nie jest pan pierwszym przyjacielem lady Frances, który jej szuka. Zaledwie tydzień temu pewien mężczyzna pytał mnie dokładnie o to samo, co pan.

- Czy podał nazwisko?

- Nie, ale bez wątpienia był Anglikiem, choć o niecodziennym wyglądzie i zachowaniu.

- Groźny? - spytałem, przypominając sobie opis Julesa. - Dokładnie. To słowo opisuje go idealnie. Potężnie zbudowany, brodaty i opalony. Sprawiał wrażenie jakby bardziej pasował do oberży, niż do luksusowego hotelu. Twardy i zapalczywy typ, lepiej takiego nie obrażać.

Zagadka zaczynała się wyjaśniać - bez wątpienia przed nim właśnie uciekała poszukiwana przez nas dama, najwyraźniej w obawie następnego spotkania. Prześladowca okazał się jednak uparty i nie wątpiłem, że w końcu ją doścignie... Zresztą, być może już tego dokonał. Może to właśnie jest przyczyną jej długotrwałego milczenia? Nie wiedziałem, co prawda, dlaczego ją ściagał, ale do wszystkiego, jak mawiał Holmes, dochodzi się we właściwym czasie.

Opisałem swe postępy w telegramie do Holmesa i w

odpowiedzi otrzymałem prośbę o opis lewego ucha doktora Schlessingera. Ponieważ nim nadeszła, zdążyłem dojechać do Montpellier, nie byłem w stanie tego zrobić i dlatego też niezbyt

zirytowało mnie jego specyficzne poczucie humoru. Bez trudu odnalazłem eks_służącą i dowiedziałem się wszystkiego, co tylko mogła mi powiedzieć. Była oddana swej pani i opuściła ją jedynie z uwagi na swoje zbliżające się małżeństwo, a i to po upewnieniu się, że pozostawia ją pod dobrą opieką. Wyznała też, że w czasie pobytu w Baden lady Frances zaczęła podejrzewać ją o różne niecne postęпки, co nigdy dotąd nie miało miejsca i co ułatwiło w pewien sposób rozstanie. Pięćdziesiąt funtów było prezentem; zarazem ślubnym i pożegnalnym. Podobnie jak i ja, nie ufała mężczyźnie, który był, jak słusznie sądziłem, powodem wyjazdu lady Carfax z Lozanny. Był zapalczywy, niebezpieczny i sądziła, że to właśnie z obawy przed nim jej pani przyjęła towarzystwo Schlessingerów w drodze do Londynu. Co prawda nigdy o tym nie wspominała, ale po jej zachowaniu Marie nabrała przeświadczenia, że lady żyła w ostatnim czasie w ciągłym napięciu nerwowym. Tyle zdążyła mi powiedzieć, gdy nagle zerwała się z krzesła z wyrazem zaskoczenia i strachu na twarzy. - Niech pan spojrzy! - krzyknęła - to ten człowiek, o którym mówiłam.

Przez otwarte okna salonu dostrzegłem wysokiego i barczystego mężczyznę ze smolście czarną brodą, idącego powoli środkiem ulicy i przyglądającego się uważnie numerom mijanych domów. Jasnym było, że, podobnie jak ja, poszukiwał mojej rozmówczyni.

Pod wpływem nagłego impulsu

wybiegłem na zewnątrz i

zastąpiłem mu drogę.

- Jest pan Anglikiem -

stwierdziłem.

- I co z tego? - spytał z

nieprzyjemnym grymasem.

- Mogę poznać pańskie

nazwisko?

- Nie, nie może pan.

Sytuacja stała się dość

dziwna, ale częstokroć

najprostsza droga jest

jednocześnie najlepszą.

- Gdzie jest lady Frances

Carfax?

Spojrzał na mnie z

osłupieniem.

- Co pan jej zrobił? Dlaczego ją pan ściga? Żądam odpowiedzi!

Zamiast odpowiedzi warknął coś

wściekle i rzucił się na mnie
niczym tygrys. Brałem udział w
wielu bójkach, i to z niezłym
skutkiem, ale miał żelazny
uchwyt, a wściekłość

spotęgowała jego siłę. Dłoń przeciwnika zacisnęła się na mojej szyi i prawie traciłem przytomność, gdy z położonego naprzeciwko kabaretu nadbiegł zarośnięty gość z pałką w ręku. Rąbnął nią mego przeciwnika po bicepsie, powodując zwolnienie uchwytu. Mężczyzna stał przez chwilę sapiąc ciężko, niepewny czy wycofać się, czy też ponownie zaatakować, po czym parsknął wściekle i zniknął w domu, z którego przed chwilą wybiegłem. Odwróciłem się, by podziękować swemu wybawcy, gdy usłyszałem:

- Cóż, Watsonie, nieźle
narożabiałeś! Sądzę, że

najlepiej będzie jeśli wrócisz wraz ze mną do Londynu najbliższym ekspresem.

Godzinę później Sherlock Holmes, już ogolony i w swoim normalnym ubraniu, siedział w moim pokoju w hotelu.

Wyjaśnienie jego nagłego a
niespodziewanego zjawienia się w
najodpowiedniejszej chwili było

nader proste: skończywszy sprawę trzymającą go w Londynie, postanowił spotkać się ze mną w kolejnym punkcie mej podróży i przebrany, dla lepszego efektu, oczekiwał mnie przed domem Marie.

- Przeprowadziłeś, co ci muszę
przyznać, nadzwyczaj
niecodzienne śledztwo, mój
drogi. Tak na poczekaniu trudno
mi stwierdzić, czy istnieje
jakiś błąd, którego nie

popeliłeś, ale ogólnym efektem twych działań było zaalarmowanie wszystkich i nieodkrycie niczego.

- Może tobie bardziej by się poszczęściło - mruknąłem rozżalony.

- Nie ma „może”. Oto Philip Green, który zresztą mieszka w tym hotelu i być może rozpoczniemy to śledztwo od nowa z lepszymi rezultatami.

To ostatnie zdanie spowodowane

było wizytówką, która

poprzedziła wejście mego

dzisiejszego napastnika do naszego pokoju. Na mój widok stanął zaskoczony.

- O co chodzi, panie Holmes? - spytał. - Otrzymałem pańską wiadomość, więc przyszedłem. Ale co ten gość ma wspólnego z całą tą sprawą?

- To mój stary przyjaciel i współpracownik, doktor Watson, który zresztą pomaga mi także i w tej sprawie.

Przybysz wyciągnął potężną dłoń, mrużąc przeprosiny pod moim adresem.

- Mam nadzieję, że nie

wyrządziłem panu krzywdy. Kiedy

oskarżył mnie pan, że zrobiłem

jej krzywdę, przestałem nad sobą

panować. Ostatnimi czasy jestem

bardzo nerwowy, ale sytuacja

mnie przerasta. Natomiast

najpierw chciałbym się

dowiedzieć, jak pan, panie

Holmes, dowiedział się o moim istnieniu.

- Od pani Dobney, guwernantki

lady Frances.

- Stara Susan! Doskonale ją pamiętam.

- Podobnie jak ona pana. Choć dużo czasu minęło od momentu gdy zdecydował się pan szukać szczęścia w Afryce.

- Słyszę, że zna pan moją historię. Nie muszę i nie chcę niczego przed panem ukrywać i przysięgam, że całym sercem kochałem i nadal Kocham Frances. Byłem dzikim i szalonym młodzieńcem, wiem o tym, ale nie gorszym niż inni. Ona była czysta jak śnieg i nie znosiła przemocy. Gdy usłyszała o rzeczach, które zrobiłem, nie chciała mnie więcej widzieć. A przecież kochała mnie. I to na tyle mocno, by pozostać samotną przez cały ten czas. Lata minęły i w Barberton dorobiłem się sporego majątku. Pewnego dnia pomyślałem sobie, że może dobrze by było odnaleźć ją i ułagodzić. Słyszałem, że nie wyszła za mąż... Spotkaliśmy się w Londynie. Wahała się. Ale zawsze miała silną wolę i gdy zadzwoniłem, by się ponownie z nią spotkać, dowiedziałem się, że wyjechała. Wyśledziłem ją w Baden, ale przybyłem za późno. Potem dowiedziałem się adresu jej służącej i znalazłem się tu. Życie nie obeszło się ze mną łagodnie, a że z natury jestem raptus, to gdy doktor zaczął mnie oskarżać o skrzywdzenie Frances, nie umiałem się opanować. Tyle o mnie, a teraz, na litość boską, powiedzcie mi panowie, co się z nią dzieje?! - Tego właśnie musimy się dowiedzieć - odparł ze smutkiem Holmes. - Jaki jest pański adres w Londynie?

- Langham Hotel. Gdybym zatrzymał się gdzie indziej pozostawię wiadomość w recepcji. -
Radziłbym panu wrócić tam i czekać na wiadomość ode mnie.

Nie chciałbym budzić fałszywych
nadziei, ale może pan być

pewien, że zrobimy wszystko, by
zapewnić tej damie
bezpieczeństwo. W tej chwili nie
mogę powiedzieć nic więcej. Oto
moja wizytówka, aby miał pan
możliwość skontaktować się ze
mną. Myślę, Watsonie, że
najlepiej będzie, jeśli się

spakujesz i zatelegrafujesz do pani Hudson, by spróbowała nakarmić jutro wpół do ósmej dwóch
złodniałych obieżyświatów.

Na Baker Street oczekiwał nas
telegram, który Holmes
przeczytał z prawdziwym

zainteresowaniem, po czym podał mi. Nadany był z Baden i brzmiał:
„Poszarpane lub pocięte”.

- Co to jest? - zdumiałem się. - Może przypominasz sobie moje, z pozoru bezsensowne, pytanie
o lewe ucho świątobliwego doktora? Nie odpowiedziałeś mi na nie.

- Dostałem telegram po
wyjeździe z Baden i było
niemożliwością ustalenie
czegokolwiek.

- Dlatego wysłałem je ponownie do dyrektora Englisher Hof. Oto odpowiedź.

- I co z niej wynika?

- To, że mamy do czynienia z nader groźnym i zdecydowanym na wszystko przeciwnikiem.

Wielebny doktor Schlessinger,
misjonarz z Ameryki, to nikt
inny jak Holy Peters, jeden z
najbardziej pozbawionych
skrupułów szakali, jakich

zrodziła Australia. Przyznać
trzeba, że jak na tak młody
kraj, ma on sporą ilość
wybitnych przestępców. Ten
specjalizuje się w rabunkach
dokonywanych na samotnych
kobietach przy wykorzystaniu ich
uczucie religijnych i tak zwanej
żony, dość zasłużonej pomocnicy,
którą jest Angielka o nazwisku
Fraser. Natura przestępcy
zasugerowała mi w tym wypadku,

jego tożsamość, a ten szczegół, datujący się z 1898 roku z Adelajdy, gdzie brał udział w walkach bokserskich, potwierdził przypuszczenie. Nasza klientka jest w mocy pary, która nie zawaha się przed niczym i należy się obawiać, że już nie żyje. Natomiast jeśli jeszcze jej nie zamordowano, z pewnością przebywa w zamknięciu, pozbawiona kontaktu ze światem.

Jest także możliwe, że nigdy nie

dotarła do Londynu, lub
przejechała tylko przez to

miasto, choć nie wydaje mi się, by któraś z tych możliwości była prawdopodobna. Raz, że trudno cudzoziemcowi oszukać kontynentalną policję i system rejestracji „gości”, a dwa, że Londyn jest idealnym miejscem do ukrycia i trzymania kogoś w odosobnieniu. Wszystko wskazuje na to, że nadal są tutaj, choć nie ma żadnych śladów, które pozwoliłyby dokładnie ich zlokalizować. Wobec powyższego można jedynie zawiadomić Lestrade’a z Yardu i cierpliwie czekać.

Mijały jednakże dni i ani
oficjalne czynniki, ani
niewielka, ale sprawna

organizacja Sherlocka nie były w stanie odkryć niczego nowego. Wśród milionów londyńczyków trzy osoby mogły się ukrywać równie dobrze, jakby ich nigdy nie było. Spróbowano ogłoszeń, które niczego nie dały, sprawdzono ślady, które prowadziły donikąd, zasięgnięto języka w świątku podziemnym, co także nie wniosło niczego nowego.

I nagle, po tygodniu oczekiwania, dowiedzieliśmy się, że u Beringtona na Wesminster Road został sprzedany srebrny naszyjnik z brylantami starej hiszpańskiej roboty.

Sprzedającym był wysoki, gładko
ogolony mężczyzna o wyglądzie
duchownego. Nazwisko i adres,

które podał były rzecz jasna
fałszywe, a jego ucho nie
zwróciło niczyjej uwagi, ale

rysopis pasował jak ulał do doktora Schlessingera.

W międzyczasie nasz brodaty
znajomy trzykrotnie dzwonił po
nowe informacje, po raz ostatni
w godzinę po wiadomości od
sprzedawcy. Zjawił się też
natychmiast i po jego wyglądzie
widać było, że bezczynne
oczekiwanie spala go
wewnętrznie.

Gdybym tylko mógł coś zrobić!

- krzyknął od progu.

Tym razem Sherlock mógł uczynić zadość jego prośbie. - Zaczął sprzedawać klejnoty -
wyjaśnił. - Teraz powinniśmy go dostać.

- Ale czy to nie oznacza, że jej stała się krzywda?

- Załóżmy, że dotąd trzymali

ją w zamknięciu - odparł

poważnie mój przyjaciel. -

Jasnym jest, że nie mogą jej uwolnić, gdyż oznacza to ich własny koniec. Musimy być
przygotowani na najgorsze. - A co ja mogę zrobić?

- Czy ta para widziała pana?

- Nie.

- Jest to możliwe, że z kolejnym klejnotem przyjdą do tego samego sklepu, a tam będzie na
nich czekał pan. Dostali dobrą cenę, nikt się o nic nie pytał, toteż sędzę, że nie będą szukać
innego kupca. Dam panu kartkę do Beringtona, aby pozwolił panu czekać wewnątrz. Jeśli
zjawi się któreś z nich - tym razem może to być współniczka - będzie ją pan śledził do
domu, w którym mieszka. Jest jednak jeden warunek: niech się pan nie da zauważyć i
przede wszystkim, nie próbuje użyć siły. Musi mi pan dać słowo, że nie podejmie pan
żadnych działań bez mojej wiedzy i zgody.

Przez dwa dni pan Green (syn

sławnego admirała dowodzącego
flotą brytyjską na Morzu
Azowskim w czasie Wojny
Krymskiej) nie miał nam nic do
zakomunikowania. Jednakże
wieczorem trzeciego dnia wpadł
do naszego salonu blady i
podniecony.

- Mamy ich! - oznajmił.

Dalsza relacja była jednak tak nieskładna, że trzeba go było posadzić na krześle i napić
koniakiem. Dopiero po dłuższej chwili uspokoił się na tyle, by zdać jasne sprawozdanie.

- Jak pan przewidział, panie
Holmes, tym razem przyszła
kobieta, i to zaledwie godzinę
temu. Nie znałem jej, ale
naszyjnik rozpoznałem
natychmiast. Kobieta jest

wysoka, blada i ma rozbiegane oczy.

- Idealny opis - uśmiechnął się Holmes.

- Śledziłem ją, gdy wyszła. Piechotą dotarliśmy na Kemington Road, gdzie weszła do sklepu.
Panie Holmes, to był sklep z trumnami! Poszedłem za nią i słyszałem fragment rozmowy ze
sprzedawczynią. Tłumaczyła, że trumny jeszcze nie ma, gdyż jako robiona na zamówienie
wymaga więcej czasu. Przerwały na mój widok, toteż spytałem o jakiś drobiazg i wyszedłem.

- Doskonale! - ucieszył się Holmes.

- Po chwili wyszła. Ukryłem się w sąsiedniej bramie i sądzę, że dobrze zrobiłem, gdyż
rozglądała się na wszystkie strony, zanim wzięła dorożkę. Miałem szczęście złapać drugą, nim
zniknęła mi z oczu. Wysiadła i weszła do domu na Porttney Square 38 w Brixton. Pojechałem
dalej, zatrzymałem dorożkę na drugim końcu placu i obserwowałem dom. Poza jednym oknem
na parterze wszystkie inne były ciemne, a zasłony w tym jednym opuszczone, toteż, nie mogłem
zajrzeć do wnętrza.

Zastanawiałem się właśnie, co robić, gdy przed dom zajechał furgon, z którego dwóch mężczyzn zdjęło i wniosło do środka trumnę! Przez moment walczyłem ze sobą, aby nie wpaść tam za nimi. Drzwi otworzyła ta sama kobieta, która była w sklepie. W świetle padającym z korytarza musiała mnie dostrzec i chyba rozpoznać, bo czym prędzej zatrzęsła drzwi. Przypomniałem sobie co panu obiecałem, toteż wróciłem do dorożki i przyjechałem tu.

- Doskonale się pan spisał -
pochwalił go Sherlock, pisząc
coś jednocześnie na kartce. -
Bez nakazu przeszukania niewiele
możemy zrobić, toteż najlepiej
się pan przysłuży sprawie
zanosząc policji tę wiadomość i
starając się o takowy. Mogą być
pewne problemy, ale sądzę, że
sprzedaż biżuterii jest
wystarczającym dowodem, by
Lestrade przypilnował
szczegółów.

- Ależ... oni mogą ją w
międzyczasie zamordować! Dla
kogo jeśli nie dla niej jest
przeznaczona ta trumna?

- Zrobimy co tylko będzie
można i to nie tracąc ani
chwili, proszę być o to
spokojnym.

Gdy nasz gość wyszedł, Holmes poderwał się na nogi, mówiąc:

- Teraz, Watsonie, skoro
zawiadomiliśmy czynniki

oficjalne możemy nieoficjalnie wziąć sprawę w swoje ręce. Sytuacja wygląda zbyt poważnie,
by czekać na policję. Jedziemy na Porttney Square!

- Zrekonstruujmy wydarzenia -
odezwał się, gdy przejeżdżaliśmy
przez Westminster Bridge. -
Najpierw nasza para pozbawiła
lady Frances zaufanej służącej,
następnie wywiozła ją do

Londynu. Jeśli w międzyczasie
napisała jakieś listy, to
zdołali je przejąć, a czas
podróży wykorzystali na

wynajęcie tego domu, za
pośrednictwem jakiegoś

miejscowego wspólnika. Ledwie znaleźli się wewnątrz, uwięzili nieszczęśliwą kobietę i stali się
posiadaczami biżuterii, co od początku było ich celem.

Zaczęli ją sprzedawać, nie mając
powodów podejrzewać, że ktoś
interesuje się losami
właścicielki. Naturalnie
sytuacja zmieniłaby się, gdyby
ją uwolnili, dlatego też nie
zrobią tego. Nie mogą też

trzymać jej w zamknięciu w nieskończoność. Jedyne wyjście pozostaje więc morderstwo.

- Zgadzam się z tobą
całkowicie.

- Teraz druga sprawa. Gdy rozważa się każde wydarzenie z osobna, częstokroć trafia się na
miejsca, w których odrębne z pozoru sprawy łączą się ze sobą, zbliżając nas do odkrycia
prawdy. Zajmijmy się wobec tego trumną - jej istnienie dowodzi, że poszukiwana już nie żyje.
Wskazuje także na oficjalny pogrzeb z legalnym aktem zgonu i wpisem do rejestru. Gdyby
zabili ją w najprostszym sposobie, nie zadawaliby sobie trudu i pochowali ją w dole wykopanym w
ogrodzie. Zakup trumny i oficjalność pogrzebu dowodzi, że udało im się oszukać lekarza co do
przyczyny śmierci.

Najprawdopodobniejsza wydaje się trucizna. Choć dziwnym jest, że w ogóle pozwolili
lekarzowi zbliżyć się do ciała... Chyba że jest on ich wspólnikiem... Ale to z kolei nie wydaje mi
się prawdopodobne.

- Może sfalszowali świadectwo zgonu?

- To nader śliska i niebezpieczna sprawa, mój drogi. Mocno w to wątpię. Zatrzymajmy się tu na
chwilę! - to ostatnie skierowane było do dorożkarza. - Oto i miejsce nabycia trumny.

Bądź tak uprzejmy, wejdź tam i
zapytaj, o której jutro odbędzie

się pogrzeb z Porttney Square. Twój wygląd wzbudza większe zaufanie niż mój.

Bez cienia wahania czy podejrzliwości sprzedawczyni poinformowała mnie, że o ósmej. - Widzisz więc, że wszystko jest jak najbardziej jawne - stwierdził Sherlock, gdy mu o tym powiedziałem. - W jakiś sposób dopełnili formalności urzędowych i sądzę, że cała sprawa ujdzie im na sucho. Cóż, nie pozostało nam nic innego jak atak frontalny. Jesteś uzbrojony?

- Laska powinna wystarczyć. - Też tak sądzę. Po prostu nie możemy sobie pozwolić na bezczynne czekanie na policję. Jesteśmy na miejscu. Miejmy nadzieję, że i tym razem dopisze nam szczęście.

Zastukaliśmy do drzwi dużego, ciemnego budynku przy Porttney Square, które zostały otwarte prawie natychmiast przez wysoką i bladą kobietę.

- Czego panowie sobie życzą? - spytała ostro, przypatrując nam się uważnie.

- Chcemy rozmawiać z doktorem Schlessingerem - odparł Holmes. - Nie ma tu nikogo takiego - warknęła, zamykając drzwi. Ale stopa mego towarzysza była już za progiem, uniemożliwiając zakończenie dyskusji.

- W takim razie chcę rozmawiać z mężczyzną, który tu mieszka, obojętnie, jakiego używa teraz nazwiska.

Widząc jego zdecydowanie kobieta zawahała się, po czym otworzyła drzwi.

- W takim razie wejdźcie, panowie. Mój mąż nie ma się czego obawiać i zaraz do panów przyjdzie - zamknęła za nami drzwi i zaprowadziła nas do salonu, zapalając po drodze lampę. - Pan Peter zaraz się zjawi.

Jej słowa sprawdziły się

prawie natychmiast. Ledwie

mieliśmy czas, aby rozejrzeć się po zakurzonych meblach, gdy w przeciwległej ścianie otworzyły się drzwi i pojawił się w nich masywny, łysy mężczyzna. Jego twarz była w tej chwili czerwona z gniewu lub też z wysiłku, a usta zacięte.

Roztaczał wokół siebie atmosferę zła i zagrożenia.

- Z pewnością nastąpiła jakaś pomyłka - odezwał się uprzejmie. - Przypuszczam, że podano panom zły adres. Może w któryś z sąsiednich domów...

- Wystarczy. Nie ma sensu

dalej tracić czasu - przerwał mu

Holmes. - Jest pan Holy Petersem

z Adelajdy, ostatnio

posługującym się nazwiskiem

doktora Schlessingera,
misjonarza z Ameryki

Południowej. Jestem tego tak samo pewien jak tego, że nazywam się Sherlock Holmes.

Peters przyglądał mu się przez chwilę uważnie, po czym mruknął. - Dla pańskiej informacji, panie Holmes, nie wystraszyłem się. Jeśli ktoś ma czyste sumienie, to nie wystraszy go pan. Co pana sprowadza?

- Chciałbym się dowiedzieć, co pan zrobił z lady Frances Carfax, którą przywiózł pan tu aż z Baden.

- Wdzięczny będę, jeśli uzyskam od pana informację, gdzie mogę ją znaleźć. Jest mi winna prawie sto funtów, nie miała gotówki poza paroma świecidełkami, które ledwie można sprzedać. Dołączyła do nas w Baden, gdzie przyznaję, używałem nazwiska Schlessinger i razem wróciliśmy do Londynu.

Zapłaciłem jej rachunek w hotelu
i za bilet, a ledwie znaleźliśmy
się w Londynie, dama zniknęła,
pozostawiając mnie bez
pieniędzy. Jeśli pan ją

znajdzie, panie Holmes, będę bardzo zadowolony.

- Zamierzam ją odnaleźć.

Zamierzam też w tym celu
przeszukać ten dom.

- A ma pan nakaz?

Holmes wyjął rewolwer z
kieszeni płaszcza.

- Myślę, że dopóki nie zjawi
się policja, taki nakaz
wystarczy.

- To zwykły napad!

- Tak to można nazwać -

zgodził się uprzejmie Holmes. - Mój towarzysz także ma zresztą wprawę w takich sytuacjach. I razem obejrzymy pana dom. Nasz gospodarz otworzył drzwi do hallu.

- Anno, idź po policję! -
poleciał.

Odpowiedzią było trzaśnięcie frontowymi drzwiami.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - mruknął Holmes. - Jeśli będzie pan nas próbował powstrzymać, może pana spotkać krzywda. Gdzie jest trumna?

- Po co panu trumna? Jest już wykorzystana. Ma swojego lokatora.

- Muszę go obejrzeć.

- Nie zgadzam się!

- Pańskie prawo - odparł mój przyjaciel, odpychając go i wchodząc do hallu.

Jedne z drzwi były uchylone.

Ruszył ku nim bez wahania, a my

obaj w ślad za nim. Była to

jadalnia, a na stole, pod

migocącym żyrandolem stała trumna. Sherlock podkręcił gaz, by zrobiło się jaśniej i uniósł wieko. Wewnątrz leżała wymizierowana postać, której drobne kształty potęgowały jeszcze głębokie ściany trumny. Niemożliwym było, by w tak krótkim czasie głód, okrucieństwo czy trucizna mogły zmienić poszukiwaną przez nas kobietę w ten ludzki wrak, sterany latami nędznego życia. Mina Holmesa wyrażała zarówno zdumienie, jak i ulgę.

- Dzięki Bogu! - mruknął. - To kto inny.

- Aha, wreszcie się pan pomylił - oznajmił z tryumfem Peters.

- Kto to jest?

- Jeśli naprawdę musi pan wiedzieć, panie Holmes, jest to piastunka mojej żony, Roso Spencer, którą znaleźliśmy w przytułku w Bixton Workhause.

Sprowadziliśmy ją tutaj,

zawezwaliśmy doktora Horsona -

mieszka na Firbank Villas pod

numerem 13, co może pan sobie

sprawdzić - i otoczyliśmy

opieką, jak przystało na

chrześcijańską rodzinę. Zmarła na trzeci dzień. W świadectwie zgonu podana jest przyczyna: uwiąd starczy. Ale to tylko przypuszczenie lekarza, pan oczywiście wie lepiej. Pogrzeb odbędzie się jutro. Zajmie się nim firma Stimson and Co. z Kemington Road. Coś jeszcze chce pan wiedzieć? Pomylił się pan i nie da się tego zmienić. Wiele bym dał za fotografię pańskiej głupiej miny po otwarciu trumny, w której spodziewał się pan znaleźć lady Carfax, a znalazł dziewięćdziesięcioletnią staruszkę.

Twarz mego przyjaciela była nieruchoma, jak zwykle gdy ktoś z niego kpił, ale zaciśnięte dłonie aż nadto świadczyły o jego uczuciach.

- Idziemy dalej, do następnego pokoju - oznajmił.

- Jeszcze czego! - krzyknął Peters, słysząc w hallu kobiecy głos i ciężkie kroki. - Tutaj, panie konstablu! Ci ludzie siłą weszli do mojego domu i nie mogę się ich pozbyć. Proszę pomóc mi ich wyrzucić.

W drzwiach stanął sierżant w towarzystwie konstabla. Na ich widok Holmes wyjął z portfela wizytówkę.

- Oto moje nazwisko i adres. To jest mój przyjaciel, doktor Watson.

- Znam pana, sir - stwierdził sierżant - ale bez nakazu rewizji nie może pan tu zostać. - Naturalnie, że nie. Zaraz wychodzimy.

- Aresztujcie go! -

zdenerwował się Peters.

- Wiemy, gdzie można znaleźć

tego dżentelmena, jeśli

zaistnieje taka potrzeba -

odparł z godnością sierżant. - Proszę wyjść, panie Holmes.

- Oczywiście. Watsonie,

opuszczamy ten dom.

Chwilę później byliśmy wraz z policjantami znów na ulicy.

Sherlock zdawał się jak

zwykle spokojnie, ale

wiedziałem, że wewnątrz kipi z wściekłości i upokorzenia.

- Przykro mi, panie Holmes, ale takie jest prawo - usprawiedliwiał się sierżant.

- Nie mógł pan postąpić

inaczej - uspokoił go mój

towarzysz.

- Sądzę, że miał pan poważny powód, by tam wejść. Jeśli możemy w czymś pomóc...

- Myślę, że przetrzymują tam siłą pewną kobietę, sierżancie. Właśnie czekam na nakaz rewizji.

- W takim razie będziemy obserwowali ten dom. Jeśli cokolwiek zacznie się dziać, damy panu znać.

Była dopiero dziewiąta wieczorem, toteż udaliśmy się na dalsze poszukiwania. Najpierw do przytułku. Okazało się, że historia, którą opowiedział nam Peters jest zgodna z prawdą.

Zgłosili się wraz z żoną po tę

zeskleroziłą staruszkę,

twierdząc, że to ich była

służąca, uzyskali zgodę i

zabrali ją ze sobą. Na wieść, że zmarła, nikt się specjalnie nie dziwił.

Następnym naszym celem był lekarz, który także potwierdził wersję Petersa. Zawezwano go do umierającej na uwiad starczy kobiety, był obecny przy jej śmierci i podpisał z czystym sumieniem akt zgonu. Nic ani u chorej, ani w domu nie wzbudziło jego podejrzeń, choć dziwnym wydał mu się całkowity brak

służby. Ale to już prywatna sprawa państwa Petersów. W końcu pojechaliśmy do Scotland Yardu, gdzie, zgodnie z oczekiwaniami, kwestia uzyskania nakazu rewizji napotkała na spore trudności. Główna polegała na tym, że podpis burmistrza można było uzyskać dopiero po dziewiątej rano następnego dnia, co odwlekało całą sprawę. Tak zakończył się ten dzień, jeśli nie liczyć telefonu od sierżanta, który około północy zawiadomił nas, że w oknach zapala się i gaśnie światło, ale nikt nie wszedł, ani nie wyszedł z domu. Mogliśmy jedynie cierpliwie oczekiwać ranka.

Sherlock był zbyt poirytowany by rozmawiać, a zbyt niespokojny by spać. Zostawiłem go siedzącego ze zmarszczonymi brwiami w kłębach fajkowego dymu, wybijającego jakiś rytm na oparciu fotela i analizującego całą tę zagadkę. Parokrotnie w nocy słyszałem jego kroki, a w końcu rankiem wpadł do mojego pokoju. Był w szlafroku, ale wyraz jego twarzy dobitnie świadczył o nieprzespanej nocy. - Pogrzeb jest o ósmej, tak? - spytał niespokojnie. - Teraz jest dwadzieścia po siódmej. Dobry Boże, co za dureń ze mnie!

Pośpiesz się, mój drogi, bo to

naprawdę kwestia życia i

śmierci. Nigdy sobie nie

wybaczę, jeśli się spóźnimy. Nie minęło dziesięć minut, gdy pędziliśmy wzdłuż Baker Street, ale i tak na Brixton Road byliśmy dopiero o ósmej. Na całe szczęście nie tylko my się spóźniliśmy. Dopiero dziesięć minut później w drzwiach znanego nam już domu pojawiło się trzech mężczyzn wynoszących trumnę do stojącego przed nim karawanu. Holmes podbiegł do nich zagrażając drogę i krzycząc!

- Z powrotem! Natychmiast

wnieście ją z powrotem!

- Co pan, do diabła, wyprawia? I gdzie ma pan nakaz? - krzyknął rozwścieczony Peters, niosący trumnę wraz z pracownikami zakładu pogrzebowego.

- Nakaz jest w drodze, a trumna zostanie wewnątrz tego domu do chwili jego nadejścia! Jego autorytet przekonał obu pracowników tym bardziej że Peters zniknął nagle wewnątrz domu. Bez sprzeciwu posłuchali Holmesa.

- Szybciej, Watsonie, oto śrubokręt! - wykrzyknął ledwie złożono trumnę na stole. Oto drugi! Masz suwerena, mój dobry człowieku, jeśli zdejmujemy wieko w minutę. Doskonale! Jeszcze jedna śruba... ostatnia... teraz razem! Idzie! Nareszcie!

Wspólnym wysiłkiem zdjeliśmy

wieko. Z wnętrza doleciał nas

silny zapach chloroformu. W

trumnie leżało ciało z głową

spowitą w watę przesiąkniętą

narkotykiem. Mój przyjaciel

zerwał ją pośpiesznie,

odslaniając przystojną twarz kobiety w średnim wieku, bladą i nieruchomą. Błyskawicznie złapał ją wpół i posadził.

- Do roboty, Watsonie! Obyśmy

się tylko nie spóźnili -

zakomenderował.

Przez prawie pół godziny

wszystko wskazywało na to ostatnie. Lady Frances zdawała się być martwa od trujących oparów chloroformu, jak i od przyduszenia przed zaaplikowaniem owej mikstury. Jednakże w końcu, po sztucznym oddychaniu, wstrzyknięciu eteru i wszystkich innych zabiegach jakie tylko mogła zaproponować medycyna lekkie drgnienie powiek i słaba mgielka na podsunętym lusterku wskazały na powolny powrót do świata żywych. Przed dom zajechał w tym czasie powóz i Sherlock po wyrznięciu przez okno oznajmił:

- Oto i Lestrade z nakazem.

Jest z nim też ktoś, kto o wiele

lepiej zaopiekuje się teraz tą

damą niż my obaj. Dzień dobry,

panie Green. Myślę, że im

prędzej przeniesiemy lady

Frances w inne otoczenie, tym będzie dla niej lepiej. A pogrzeb tej biedaczki, która nadal spoczywa w trumnie, może się w końcu odbyć bez dalszych problemów.

- Jeśli chcesz tę historię włączyć do swych kronik, mój drogi - wrócił do tematu Holmes, gdy siedzieliśmy wieczorem przy kominku - to jedynie jako przykład chwilowego zaćmienia umysłu, który może przytrafić się każdemu. Nie każdy natomiast potrafi je sobie uświadomić i naprawić na czas. Tym razem udało mi się zarówno jedno, jak i drugie. Przez całą noc próbowałem przypomnieć sobie, co też umknęło mojej uwadze: zdanie, powiedziane przypadkiem, jakaś przeoczona poszlaka...? Wiedziałem, że coś takiego było, tylko nie mogłem skojarzyć co. I nagle, gdy już świtało, przypomniałem sobie wypowiedź sprzedawczyni, którą zrelacjonował nam Philip Green. Przepraszała ona współpracowniczkę Petersa, że trumny jeszcze nie ma, gdyż jest robiona na zamówienie. Dlaczego? Wówczas uświadomiłem sobie, jak głęboka była i jak w niej wyglądała staruszka. Po co tak wielka trumna dla kogoś tak drobnego? Odpowiedź nasuwała się sama. Zrobiono ją jedynie po to, by zmieścić tam jeszcze jedno ciało, które będzie mogło być pochowane bez aktu zgonu i o którym nikt po prostu nie będzie wiedział. Wszystko to miałem przed oczyma wcześniej, ale nie zwróciłem na ten szczegół żadnej uwagi. Gdybyśmy nie zdążyli na czas, punktualnie o godzinie ósmej lady Frances zostałyby pochowane w cudzej trumnie.

Szansa, że jeszcze żyje, była
doprawdy minimalna. Nasi
złoczyńcy nigdy dotąd nie
mordowali i do końca mogli mieć
skrupuły. Sprawę mogli też tak
urządzić, by pochować ją bez
widocznych śladów użycia
przemocy. Wówczas, po

ekshumacji, mogliby uniknąć wyroku i na to właśnie liczyłem. Resztę sam widziałeś, łącznie z tą komórką na strychu, w której ją trzymali i w której ją uśpili. Przyznaję, że sprytnie to sobie obmyślili i jeśli Lestrade wkrótce ich nie złapie, spodziewam się w niedalekiej przyszłości usłyszeć jeszcze o którymś z ich oryginalnych pomysłów.

Sprawa kartonowego pudełka

W wyborze spraw, jakie mogłyby
zilustrować nadzwyczajne
zdolności umysłowe mojego
przyjaciela, Sherlocka Holmesa,
starałem się zawsze preferować
nie te, które zasługiwały na
miano widowiskowych lub zgoła
sensacyjnych, ale te, które
najlepiej zobrazowały jego

talent. Niestety, niemożliwością jest całkowite oddzielenie sensacji od zbrodni. Powstaje dylemat: czy dla dobra czytelnika poświęcić istotne szczegóły, dając tym samym fałszywy obraz problemu, czy też opisywać materiał tak, jak sam Sherlock się z nim zapoznawał? Po tym

krótkim wstępie wracam do swych notatek, które przypominają mi dziwaczny, choć straszny w sumie łańcuch wydarzeń.

Był upalny sierpniowy dzień i
Baker Street przypominała otwarty
piekarnik, a promienie słońca
odbijające się od przeciwległego
budynku z żółtej cegły boleśnie
raziły nas w oczy. Trudno
doprawdy było uwierzyć, że są to
te same mury, które w zimie
niewyraźnie i ponuro mającą

we mgle. Zaslony mieliśmy na wpół zaciągnięte, zaś Holmes leżał na sofie przyglądając się listowi, który otrzymał w porannej poczcie. Jeśli chodzi o mnie, to służba w Indiach przygotowała mnie lepiej do znoszenia upałów niż mrozów i skwar rzędu 90/0 Fahrenheita nie robi na mnie szczególnego wrażenia. Wrażenie natomiast robiła nuda ziejąca z gazety. Parlament zarządził przerwę, każdy kto mógł wyjechał za miasto, a ja dawno byłbym w New Forest czy Southsea, gdyby nie stan mojego konta w banku. Jeśli chodzi o mojego przyjaciela, nie trapiły go tego typu problemy - zarówno wieś, jak i morze nie były dlań żadną atrakcją.

Uwielbiał życie w tym
pięciomilionowym mieście i
zagadki, w które obfitowało. Docenianie uroków przyrody nie należało do jego licznych zalet, a jedyną rzeczą, która mogła zainteresować go na wsi, było popełnione tam przestępstwo.

Doszedłem do wniosku, że jest zbyt pochłonięty listem by rozmawiać, odłożyłem więc gazetę, wyciągnąłem się wygodnie w fotelu i pogrążyłem w rozmyślaniach. Przerwał je nagle głos mego towarzysza.

- Masz rację, Watsonie, to bezsensowny sposób rozstrzygania sporów.

- Bezsensowny - zgodziłem się i wtedy uświadomiłem sobie, że zawtórował moim myślom.

Poderwałem się, wpatrzony w niego z niemym podziwem.

- Co? Holmesie, to przekracza

wszystko, co można sobie

wyobrazić!

Roześmiał się.

- Pamiętasz, jak niedawno przeczytałem ci fragment jednego z opowiadań Edgara Allana Poe?

Tego, w którym precyzyjnie
rozumujący bohater szedł śladem
niewypowiedzianych myśli swego

towarzysza? Potraktowałeś całą sprawę jako wytwór wyobraźni autora, a gdy zwróciłem ci uwagę, że postępuję czasami tak samo jak on, odniosłeś się do tego z niedowierzaniem.

- Ależ skąd!

- Nie powiedziałeś tego, ale zdradziło cię charakterystyczne w takich wypadkach zmarszczenie brwi. Kiedy więc zobaczyłem, że odkładasz gazetę i pogrążasz w rozmyślaniach, ucieszyłem się z okazji do przeprowadzenia małego eksperymentu. Chciałem odgadnąć twój tok rozumowania i przerwać go w pewnej chwili, dając ci tym samym dowód, że to, co wówczas mówiłem, to prawda.

Jego wyjaśnienia nadal jednak mnie nie zadowalały.

- W tym fragmencie, o którym mowa, bohater wnioskuje na podstawie obserwacji zachowań swojego towarzysza. Jeśli dobrze pamiętam, potknął się on o kupkę kamieni, spojrzął w gwiazdy i tak dalej. Ja

natomiast siedziałem spokojnie w fotelu. Jakie wskazówki mógł ci dać mój bezruch?

- niesprawiedliwie się oceniasz. Twarz jest po to, by wyrażać uczucia i robi to nawet bezwiednie. A twoja robi to wręcz doskonale.

- Chcesz powiedzieć, że odczytałeś moje myśli z wyrazu mojej twarzy?

- Owszem, ale przede wszystkim z wyrazu twoich oczu. Być może zresztą nie pamiętasz, w jaki sposób wpadłeś w zamyślenie? - Przyznaję, że nie.

- W takim razie odświeżę twoją pamięć. Zwróciłem na ciebie uwagę w momencie, w którym odłożyłeś gazetę. Przez pół minuty siedziałeś nieruchomo, po czym wzrok twój skierował się ku nowo oprawionemu portretowi generała Gordona i twarz nieco ci się zmieniła - zacząłeś o czymś myśleć. Niewiele mi to jeszcze dawało. Po chwili

rzuciłeś okiem na nie oprawiony portret Henry'ego Ward Beechera, oparty o ścianę nad książkami, a w końcu spojrzawszy na samą ścianę. Tok twych myśli był zupełnie jasny. Gdyby portret oprawić, to doskonale pasowałby do wizerunku Gordona.

- Dokładnie tak pomyślałem!

- Do tego momentu wszystko było proste i trudno się było domyślić. Dalej jednak wróciłeś myślami do Beechera i spoglądałeś nań tak przenikliwie, jakbyś chciał zgłębić jego charakter. Potem przestałeś mrużyć oczy, ale nadal wpatrywałeś się w obraz z namysłem. Przypomniałeś sobie służbę Beechera i oczywistym było, że nie mogłeś przy tym pominąć misji, jakiej podjął się na rzecz Północy w czasie Wojny Secesyjnej. Pamiętam doskonale nasze dyskusje na ten temat, gdy potępiałeś sposób, w jaki przyjęli go bardziej zapalczywi z naszych rodaków. Tak silnie byłeś tym przejęty, że nie mogłeś myśleć o nim, nie

wspominając tego wydarzenia. Gdy po chwili dostrzegłem, że twój wzrok ześlizgnął się z obrazu, pomyślałem, że teraz tematem twych przemyśleń jest sama Wojna Secesyjna, a sądząc po wyrazie oczu i zaciśnięciu ust musiałeś myśleć o męstwie, okazanym przez obie strony w tych desperackich zmaganiach.

Następnie twarz ci się zachmurzyła i pochylileś w

zadumie głowę, zastanawiając się ani chybi nad okropnościami wojny i marnotrawstwem ludzkiego życia. Odruchowo sięgnąłeś ku swej starej ranie i uśmiechnąłeś się lekko, co naprowadziło mnie na to, iż zastanawiasz się nad bezsensownością takiej metody rozstrzygnięcia sporów międzynarodowych. Zresztą całkowicie się z tobą zgadzam, gdyż jest ona bezsensowna.

Ucieszyłem się też, że moja

dedukcja była właściwa.

- Całkowicie! - potwierdziłem. - Choć przyznaję, że po tym tłumaczeniu nadal jestem pełen podziwu dla ciebie.

- To naprawdę było bardzo proste, mój drogi, i zapewniam cię, że w ogóle nie wspominałbym ci o tym, gdyby nie twoje niedowierzanie okazane przy okazji czytania wspomnianego opowiadania. Mam tu natomiast mały problem, który może okazać się znacznie trudniejszy niż odczytywanie cudzych myśli. Zauważyłeś może niewielki artykuł w gazecie opisujący dość dziwną zawartość paczki, jaką za pośrednictwem poczty otrzymała pani Cushing z Cross Street w Croydon?

- Przyznam, że nie.

- Wobec tego podaj mi gazetę. Oto on. Zamieszczony jest w pobliżu działu finansowego. Bądź tak uprzejmy i przeczytaj go głośno.

Artykuł zatytułowany był

„Makabryczna przesyłka” i

brzmiał następująco:

„Pani Susan Cushing,
zamieszkała w Croydon na Cross
Street, stała się ofiarą czegoś,
co można określić jedynie jako
nader odrażający żart - chyba że
wypadek ten ma o wiele
poważniejsze podłoże, niż można
obecnie sądzić. O drugiej po
południu, w dniu wczorajszym,
listonosz wręczył jej niewielką
paczuszkę zapakowaną w brązowy
papier. Wewnątrz znajdowało się
tekturowe pudełko wypełnione nie
oczyszczonej solą, a w niej para
świeżo odciętych ludzkich uszu.
Paczkę wysłano poprzedniego dnia
z Belfastu. Co do nadawcy jak i
znaczenia przesyłki nic nie
wiadomo. Pani Cushing, samotna
osoba około pięćdziesięciu lat,
prowadzi spokojne życie i ma tak
wąski krąg znajomych, że
prawdziwą rzadkością jest, by
otrzymywała cokolwiek za

pośrednictwem poczty. Jednakże parę lat temu, gdy mieszkała w Penge, wynajęła pokój trzem studentom medycyny, których zmuszona była pozbyć się z powodu ich głośnego zachowania.

Policja sądzi, że sprawcami tego
pożalowania godnego incydentu są
ci właśnie młodzieńcy, żywiący
do niej żal o przymusowe
wykwaterowanie. Przyznać należy,
że w prosektorium bez problemów
mogliby mieć dostęp do
zawartości paczuski, a

prawdopodobieństwa dodaje tej teorii fakt, że jeden z nich pochodził z Północnej Irlandii. Tymczasem sprawa jest dokładnie badana przez zespół, któremu przewodzi pan Lestrade, jeden z naszych najlepszych inspektorów”.

- Tyle „Daily Chronicle” - oznajmił Holmes, gdy skończyłem - teraz kolej na Lestrade’a.

Dziś rano otrzymałem od niego kartkę następującej treści:

„Myślę, że to sprawa dla pana. Mamy nadzieję szybko ją zakończyć, choć napotykamy na trudności w znalezieniu poszlak. Telegrafowaliśmy do urzędu pocztowego w Belfaście, ale tego dnia przyjęli zbyt wiele paczek, by móc zidentyfikować nadawcę tej jednej. Pudełko jest półfuntowym opakowaniem po słodkim tytoniu i również nie stanowi żadnej pomocy w identyfikacji nadawcy.

Najbardziej pasuje mi teoria studentów medycyny, ale gdyby miał pan wolne kilka godzin, byłbym wdzięczny, mogąc pana ujrzeć. Będę cały dzień albo w domu pani Cushing, albo na posterunku policji”.

- Co ty na to, Watsonie? Czy mimo upału wybierzesz się ze mną w nadziei na uzupełnienie swych kronik?

- Szczerze mówiąc, nudzi mnie

bezczyne siedzenie tutaj.

- Wobec tego w drogę. Zadzwoń po nasze buty i poleć sprowadzić dorożkę. Zaraz będę gotów, zrzucę tylko szlafrok i napełnię papierośnicę.

Gdy jechaliśmy pociągiem,
spadł przelotny deszcz, toteż w
Croydon było znacznie
przyjemniej niż w Londynie.
Ponieważ Holmes depešował przed
wyjazdem, inspektor Lestrade
oczekiwał nas na peronie.
Pięciominutowy spacer
doprowadził nas na Cross Street,
przed drzwiami domu pani Cushing.
Była to długa ulica

dwupiętrowych domów, czysta i spokojna, z grupkami plotkujących kobiet - ot, typowa uliczka w małym mieście. Dom pani Cushing znajdował się mniej więcej w jej połowie, a drzwi otworzyła niewysoka służąca. Pani Cushing siedziała w salonie, do którego nas wprowadzono, zajęta wyszywaniem wielobarwnego wzoru na tamborku. Była już starszą kobietą, o siwiejących włosach i wielkich, spokojnych oczach.

- Te okropieństwa są w altanie - oznajmiła na widok policjanta. - I chciałabym, żeby pan je jak najszybciej stąd zabrał.

- Tak też uczynię, szanowna pani i to wkrótce. Pozostawiłem je tu tylko po to, by mój przyjaciel, pan Holmes, mógł je obejrzeć w pani obecności.

- Dlaczego w mojej obecności, sir?

- Na wypadek, gdyby miał do pani jakieś pytania.

- Co za korzyść z pytań, skoro, jak już panu powiedziałam, nic o tym wszystkim nie wiem?

- Nie wątpię - wtrącił się uspokajająco Holmes - że ma już pani serdecznie dość tej całej sprawy.

- W rzeczy samej, mój panie.

Jestem spokojną kobietą i prowadzę spokojne życie. Widzieć swoje nazwisko w gazetach i policję we własnym domu to dla mnie coś zupełnie nowego i niezbyt miłego. Nie pozwolę jednak, by ta paczka znalazła się znów pod moim dachem. Panie Lestrade, jeśli chce pan ją obejrzeć, to musi udać się pan do altany.

Altana była równie mała jak ogród, w którym stała. Nie

opodal znajdowała się ławka,
toteż Lestrade przyniósł
pudełko, papier i sznurek

właśnie tam. Usiedliśmy wszyscy obserwując Sherlocka dokładnie badającego wszystkie otrzymane od inspektora przedmioty.

- Nadzwyczaj interesujący jest ten sznurek - zauważył po chwili, trzymając go pod światło i wachając. - Co pan o nim sądzi, Lestrade?

- Został nasmołowany.

- Właśnie. Jest to nasmołowana linka, a miss Cushing była tak uprzejma, iż przecięła ją, za co winni jesteśmy jej wdzięczność.

- Nie bardzo rozumiem

dlaczego? - zdumiał się

Lestrade.

- Dlatego, że dzięki temu

węzeł został nie naruszony. A jest to dość ciekawy węzeł, muszę przyznać.

- Jest zawiązany dokładnie i mocno. Też na to zwróciłem uwagę.

- To byłoby wszystko, jeśli

chodzi o sznurek - Holmes

odłożył go z uśmiechem. -

Zajmijmy się wobec tego

papierem. Brązowy papier pakowy o wyraźnym zapachu kawy. Co, nie zauważył pan tego? Adres pisany niezbyt wprawna ręką, piórem o szerokiej stalówce, najprawdopodobniej rozmiaru J, a do tego podłym gatunkiem atramentu. Wyraz „Croydon” najpierw napisany został przez „i”, a następnie poprawiony.

Paczkę nadał mężczyzna - charakter pisma mężczyzny o ograniczonym wykształceniu i braku znajomości tego miasteczka, w którym właśnie jesteśmy. Teraz pudełko. Żółte, półfuntowe opakowanie po tytoniu zaprawionym melasą, bez żadnych charakterystycznych śladów oprócz dwóch odcisków kciuka w lewym dolnym rogu. Wypełnione nie oczyszczoną solą, jakiej używa się do peklowania czy solenia ryb. No i wreszcie ta ciekawa zawartość.

Mówiąc to wyjął z wnętrza i położył na kolanie parę małżowin usznych, dokładnie im się przyglądając. Obaj z inspektorem patrzyliśmy na nie ponad jego ramionami, dopóki nie włożył ich z powrotem do pudełka. Siedział przez chwilę, pogrążony w zadumie.

- Zauważyliście naturalnie, że uszy pochodzą od dwóch osób - odezwał się w końcu.

- Owszem - zgodził się

inspektor. - Ale jeśli to żart

tych studentów, to praktycznie nic się nie zmienia. W prosektorium równie łatwo o dwa trupy, jak o jednego.

- Zgadza się, ale to nie jest żart studentów medycyny.

- Jest pan tego pewien?

- O tyle, o ile można być czegoś pewnym na tym etapie śledztwa. Ciała w prosektorium są konserwowane określonymi płynami, po których nie ma tutaj śladu. Poza tym zostały odcięte raczej tępym narzędziem, z pewnością nie skalpelem. W dodatku człowiek o wykształceniu medycznym nie użyłby soli jako środka konserwującego. Raczej spirytusu, jeśli nie czegoś bardziej skomplikowanego. Wszystko to skłania mnie do wyrażenia opinii, że nie jest to żart, ale podwójne morderstwo.

Jego poważny ton i
argumentacja przekonały mnie
całkowicie, jednak Lestrade

miał nadal wątpliwości.

- Zgadzam się, że teoria

żartu ma spore luki, ale

zbrodnia jest znacznie mniej prawdopodobna. Wiemy, że adresatka tak tu, jak i w Penge przez ostatnie dwadzieścia lat prowadziła spokojne życie, praktycznie nie opuszczając miasta. Dlaczego ktoś miałby przesłać jej dowody morderstwa, zwłaszcza że, jeśli nie jest doskonałą aktorką, to rozumie z całej tej sprawy równie mało, co my?

- I to jest właśnie zagadka,

którą musimy rozwiązać -

uśmiechnął się Sherlock. - Ze

swej strony podchodzę do tej

sprawy jako do podwójnego

morderstwa. Jedna z małżowin

jest kobieca - drobna i

kształtna, z otworem na kolczyk,

druga męska, silnie opalona i

także przekłuta. Założyć

należy, że ich właściciele nie

żyją, gdyż inaczej cała sprawa

byłaby już wyjaśniona. Nie

sądzę, by ktoś milczał po

odcięciu mu ucha. Paczkę nadano

w czwartek rano, wobec czego zbrodni dokonano nie później niż we wtorek, co wnosić można po świeżości małżowin. Jeśli tak, to nadawcą może być jedynie morderca. Dlaczego wysłał tę paczkę? Bez wątpienia musiał mieć po temu poważne powody - najprawdopodobniej chęć poinformowania pani Cushing o tym, co zrobił, albo też chęć sprawienia jej bólu. Jeśli tak, to powinna znać zarówno ofiary, jak i zabójcę, a w takim razie dlaczego to ukrywa? Naturalnie przy założeniu, że ukrywa, w co osobiście wątpię. Gdyby chciała rzeczywiście całą rzecz ukryć, aby kogoś osłaniać, nie zawiadamiałaby policji i mogła po prostu zakopać uszy w ogrodzie. Ale jeśli nie kryje mordercy, to dlaczego twierdzi, że nic nie wie? Tak mniej więcej wygląda płatanina, którą należy

rozwikłać.

Podczas całej przemowy

siedział nieruchomo wpatrując się w ogrodzenie z kutych prętów. Teraz jednak wstał i ruszył ku domowi, mówiąc:

- Mam kilka pytań do pani

Cushing.

- W takim razie zostawiam panów - Lestrade podniósł się również. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, a nie sądzę, bym się tu dowiedział czegoś nowego. Znajdziecie mnie panowie na posterunku.

- Nie omieszkamy tam wstąpić, idąc na dworzec - zapewnił go Holmes.

Chwilę później obaj

znaleźliśmy się

ponownie w salonie, w którym gospodyni nadal zajęta była wyszywaniem. Na nasz widok odłożyła tamborek i spojrzała pytająco błękitnymi oczyma. - Jestem przekonana, że to pomyłka, i że to nie ja miałam otrzymać tę paczkę - powiedziała, zanim zdążyliśmy się odezwać. - Mówiłam to parokrotnie temu dżentelmenowi ze Scotland Yardu, ale chyba mi nie uwierzył. Nie mam żadnych wrogów, a przynajmniej nic o nich nie wiem i nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby się zachować wobec mnie w ten sposób.

- Ja również coraz bardziej skłaniam się do tego zdania - odparł Holmes siadając obok niej. - Myślę, że jest bardziej niż prawdopodobne...

Przerwał nagle i ze zdumieniem

stwierdziłem, że uważnie

przygląda się jej profilowi z

wyrazem zaskoczenia i

satysfakcji na twarzy. Wyraz ten

zniknął, ledwie kobieta odwróciła

się ku niemu zaskoczona jego

nagłym milczeniem. Korzystając z

okazji przyjrzałem się jej

uważnie, ale ani we fryzurze,

ani w rysach twarzy, ani też

niewielkich kolczykach nie

mogłem dostrzec niczego, co wywołało tak gwałtowną reakcję mojego towarzysza.

- Mam jednak parę pytań... - przemówił w końcu Sherlock. - Och, mam już dość pytań!

- Jak sądzę, ma pani dwie

siostry - kontynuował nie

zrażony.

- Skąd pan to wie?

- Zauważyłem, że nad kominkiem wisi zdjęcie trzech kobiet, z których jedną bez wątpienia jest pani, a pozostałe są tak podobne, iż pokrewieństwo nasuwa się samo.

- Ma pan całkowitą rację. To moje siostry: Sarrah i Mary.

- A tutaj mamy zdjęcie

wykonane w Liverpool

przedstawiające pani młodszą siostrę w towarzystwie mężczyzny ubranego w uniform stewarda. Widzę, że nie była wówczas zamężna.

- Jest pan bystrym

obserwatorem.

- To mój zawód.

- Cóż... Ma pan rację. Ale

wyszła za pana Brownera zaledwie

parę dni później. Pływał wówczas

na linii

południowoamerykańskiej. Darzył

ją takim uczuciem, że nie był w

stanie znieść długich rozstań i

przeniósł się na statki

pływające do Londynu.

- MOże na „Conqueror”?

- Nie, na „May Day”, a

przynajmniej pływał na tej

jednostce, gdy widziałam go ostatnim razem. To było jeszcze wówczas, gdy dotrzymywał słowa i nie pił. Słyszałam, że ostatnio zaczął ponownie pić, a już po jednym drinku wpada w szal. Szkoda, że znowu zajął się butelką. Najpierw pokłócił się ze mną, potem z Sarrah, a w końcu Mary przestała pisywać, tak że zupełnie nie wiemy, jak im się powodzi.

Widać było, że jest to temat,
który ją bardzo interesuje - jak
większość osób samotnych, z

początku nieco się wstydziła, szczegółów na temat szwagra i swych byłych lokatorów studiujących medycynę, łącznie z nazwami szpitali, w których odbywali praktykę. Holmes słuchał wszystkiego uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie.

- Jeśli chodzi o pani drugą siostrę, Sarrah, zastanawia mnie fakt, iż pomimo tego, że obie jesteście osobami samotnymi, nie mieszkacie panie razem - zauważył w pewnym momencie. - Nie zna pan Sarrah. Przy jej temperamencie to nic dziwnego. Gdy przyjechałyśmy tutaj zamieszkałyśmy razem, ale ze dwa miesiące temu musiałyśmy się rozstać. Nie chcę być nieuprzejma wobec własnej siostry, ale, doprawdy, jest osobą, której trudno dogodzić i która uwielbia wtrącać się w sprawy innych.

- Powiedziała pani, że coś takiego miało miejsce w przypadku Mary i jej męża.

- Tak, i poprzednio byli przecież najlepszymi

przyjaciółmi. Przeniosła się zresztą, by mieszkać koło nich, a teraz nie znajduje dobrego słowa na temat Jima. Przez te sześć miesięcy, gdy mieszkaliśmy tu razem, nie potrafiła mówić o niczym innym jak tylko o jego pijaństwie i awanturach.

Osobiście sędzę, że zaczęła się wtrącać w ich życie, a on przy jakiejś okazji nie wytrzymał i powiedział jej kilka słów prawdy.

- Dziękuję, pani Cushing - mój przyjaciel wstał, kłaniając się. - Sarrah mieszka na New Street w Wellington, czy tak? Zatem do zobaczenia. Mam nadzieję, że nic podobnego już pani nie spotka. Gdy wyszliśmy, ulicą przejeżdżała akurat dorożka, toteż Holmes zatrzymał ją i spytał:

- Jak daleko do Wellington?

- Nie więcej niż milę, sir.

- Doskonale. Wskakuj,

Watsonie. Kujmy żelazo, póki gorące. Choć sprawa jest stosunkowo prosta, ma parę ciekawych szczegółów. A, oto i urząd pocztowy. Zatrzymajmy się tutaj na chwilę.

Holmes nadał jakiś telegram i przez resztę drogi siedział nieruchomo, z kapeluszem naciągniętym na oczy dla osłony przed słońcem. Zatrzymaliśmy się przy domu łudzaco podobnym do tego, który niedawno opuściliśmy i Holmes polecił dorożkarzowi, aby zaczekał. Zanim jednak zdążyliśmy zapukać do drzwi, otworzyły się one ukazując smutnego młodzieńca w czarnym ubraniu.

- Czy pani Cushing jest w domu? - spytał go Sherlock. - Pani Cushing jest od wczoraj poważnie chora. Sędzę, że to bardzo ostry szok i jako jej lekarz nie pozwolę na niczyje odwiedziny. Proponuję, aby spróbował się pan zobaczyć z nią mniej więcej za tydzień. Do tego czasu powinna dojść do siebie - z tymi słowami skłonił się, zamknął za sobą drzwi i ruszył wzdłuż ulicy.

- No cóż, skoro nie należy, nie będziemy się pchali - mruknął radośnie Holmes.

- Może nie mogłaby, czy też nie chciałaby ci zbyt wiele powiedzieć.

- Nie chciałem z nią

rozmawiać, chciałem ją obejrzeć. Mimo tego sędzę jednak, że wiemy wszystko, co istotne. Jedziemy teraz do jakiejś uczciwej restauracji na obiad, a potem na posterunek.

W czasie posiłku mój przyjaciel nie mówił o niczym

innym jak o skrzypcach, nader
barwnie opisując jak nabył za 55
szylingów swego Stradivariusa,
wartego co najmniej pięćset
gwinei, od niezbyt znającego się

na rzeczy właściciela lombardu na Tottenham Court Road. Potem rozmawialiśmy o Paganinim, a przy winie przez prawie godzinę opowiadał anegdoty o tym kompozytorze. Było już późne popołudnie i upał znacznie zelżał, gdy znaleźliśmy się na posterunku policji. Lestrade oczekiwał nas z niecierpliwością.

- Przyszedł do pana telegram, panie Holmes.

- Otóż i odpowiedź! - ucieszył się mój przyjaciel chowając przeczytaną depeszę do kieszeni. - W porządku.

- Dowiedział się pan czegoś ciekawego?

- Dowiedziałem się

wszystkiego.

- Co?! - Lestrade wytrzeszczył oczy. - Żartuje pan?!

- Nigdy dotąd nie byłem bardziej poważny. Popelniono zbrodnię i sądzę, że rozszyfrowałem ją do ostatnich szczegółów.

- A zbrodniarz?

Holmes napisał parę słów na odwrocie wizytówki i podał ją inspektorowi ze słowami:

- Oto jego nazwisko, ale do jutrzejszej nocy nie będzie pan w stanie go aresztować.

Wolałbym, żeby nie podawał pan mego nazwiska w związku z tą sprawą. Nie mam nic przeciwko łączeniu mnie z trudnymi do wykrycia przestępstwami, ale to było naprawdę zbyt proste. Chodźmy, Watsonie.

Wyszliśmy, zostawiając Lestrade'a nadal wpatzonego w kartkę, którą mu podał Holmes.

- Przypadek ten - zaczął
Holmes, gdy siedzieliśmy już na
Baker Street - jest w swej
naturze podobny do tych, które
opisałeś już jako „Studium w
szkarłacie” czy „Znak Czterech”;
aby odkryć prawdę, należało ze
skutków wywnioskować ich
przyczyny, a więc niejako cofnąć

się myślą w przeszłość. Co prawda nie aż w tak daleką jak w tamtych sprawach, ale zasada była ta sama. Napisałem do Lestrade'a, by dostarczył nam szczegóły po aresztowaniu i przesłuchaniu mordercy i sądzę, że można na nim polegać w tym zakresie, gdyż choć ma niewiele wyobraźni, to na tropie jest zajadły jak buldog. Co zresztą doprowadziło go do zajmowanego obecnie stanowiska.

- W takim razie sprawa jeszcze nie jest zakończona?

- Jeśli chodzi o

najistotniejsze kwestie, to

jest. Wiemy kto jest mordercą i nadawcą przesyłki, choć nadal nie wiemy, kim jest jedna z ofiar. Znamy również powody, dla których paczka ta została wysłana. Sądzę, zresztą, że sam doszedłeś do tego, kto jest zabójcą.

- Przypuszczam, że Jim

Browner, steward linii

liverpoolskiej.

- Nie ma co przypuszczać. To on, z całą pewnością.

- Muszę przyznać, że nie bardzo wiem, na czym opierasz tę pewność.

- Na logice, mój drogi.

Posłuchaj. Zajęliśmy się tą sprawą bez żadnych sądów własnych, co zawsze daje dużą przewagę. Nie formułowaliśmy żadnych teorii. Po prostu pojechaliśmy tam, by obserwować i wyciągać wnioski. Cóż zastaliśmy? Spokojną i godną szacunku damę, wytraconą z równowagi całą tą sprawą i zdającą się nie mieć pojęcia o żadnej tajemnicy, oraz zdjęcie wskazujące, że ma ona dwie młodsze siostry. Natychmiast pomyślałem sobie, że paczka mogła być przeznaczona dla jednej z nich, choć odsunąłem chwilowo ten pomysł, jako że dysponowałem małą ilością faktów, zarówno by go potwierdzić, jak też by mu zaprzeczyć. Dalej, poszliśmy do

ogrodu i obejrzeliliśmy tę

niecodzienną przesyłkę. Sznurek,

a właściwie linka, należy do
typu, jakiego używają
żaglomistrze na statkach. Węzeł
był jednym z
najpopularniejszych wśród

żeglarzy, a paczkę nadano w porcie. W dodatku męskie ucho było przeklute, a noszenie
kolczyków zdarza się znacznie częściej wśród wilków morskich niż wśród szczurów lądowych.
W tym momencie już prawie pewien byłem, że uczestników dramatu należy szukać wśród
marynarzy.

Teraz, co się tyczy adresu:

S. Cushing kojarzyło się
naturalnie z najstarszą z
sióstr, tą, która otrzymała

paczkę, ale S. mogło być także inicjałem tej drugiej, a to stawiało sprawę w zupełnie innym
świecie. Dlatego też ta kwestia była dla mnie najważniejszą, gdy powróciliśmy do domu, by
pogawędzić z naszą gospodynią.

Zacząłem ją już zapewniać, iż
przekonany jestem o pomyłce,
gdy, jak zapewne pamiętasz,
nagle zamilkłem. Powodem tego
było dostrzeżenie czegoś, co
mnie zaskoczyło, ale co
jednocześnie bardzo zawęziło
pole naszych poszukiwań. Jako
lekarz zdajesz sobie sprawę z
tego, że nie ma części ludzkiego
ciała, która bardziej różniłaby
się u dwóch osób niż ucho. Każde
ma swój odmienny kształt i
wyraźnie różni się od innych. W
zeszłorocznym roczniku
„Anthropological Journal”
znajdziesz dwie krótkie
monografie mojego autorstwa na
ten temat. Mogę więc uczciwie
powiedzieć, że oglądałem te
odcięte małżowiny jak ktoś

znający się nieco na tym i
dokładnie zapamiętałem ich cechy
charakterystyczne. Wyobraź więc
sobie moje zaskoczenie, gdy
zobaczyłem, że ucho pani Cushing
niezwykle przypomina jedno z
tych, które przed chwilą

oglądałem. Sprawa była ewidentna, zbieg okoliczności wykluczony: kształt, długość listwy, zakrzywienia wewnętrzne, proporcje - wszystko dokładnie takie same. Stało się jasne, że jedna z ofiar musiała być jej krewną, bliską krewną. Zacząłem więc rozmowę na temat rodziny i od razu zacząłem dowiadywać się niezmiernie ciekawych rzeczy. Po pierwsze, jedna z sióstr miała na imię Sarrah, i do niedawna mieszkała z naszą rozmówczynią, co potwierdziło teorię, że przesyłka przeznaczona była dla kogo innego - właśnie dla pani Sarrah Cushing. Po drugie, usłyszeliśmy o stewardzie ożenionym z trzecią z sióstr, jak też i o tym, że w pewnym okresie Sarrah była z małżeństwem tym tak blisko, że przeprowadziła się nawet do Liverpoolu, a potem rozdzieliła ich jakaś kłótnia. Była ona też powodem zerwania łączności przez kilka miesięcy, dzięki czemu wiadomym się stało, iż gdyby Browner chciał wysłać Sarrah cokolwiek, to uczyniłby to pod jej stary adres, gdyż nie znał nowego i najprawdopodobniej w ogóle nie wiedział, o przeprowadzce. Tak więc sprawy zaczęły się wyjaśniać.

Dowiedzieliśmy się o istnieniu
marynarza, człowieka
impulsywnego, o silnych

uczuciach - pamiętasz, że rzucił intratną posadę tylko dlatego, że chciał być w pobliżu żony - który w dodatku czasami pił, co czyniło go nieobliczalnym.

Wszystko wskazuje na to, że jedną z ofiar jest jego żona, a drugą jakiś marynarz. Ponieważ zbrodnię tę popełniono w tym samym czasie, motyw jest jasny: zazdrość. Dlaczego dowody wysłał Miss Sarrah Cushing?

Prawdopodobnie dlatego, że w
trakcie swego pobytu w Liverpool
w jakiś sposób przyczyniła się
do tej tragedii. Linia, na

której Browner obecnie pływa,
obsługuje Belfast, Dublin i

Waterford, toteż jeśli krótko po
morderstwie „May Day” odpłynął,
to pierwszym miejscem, w
którym nasz steward mógł

nadać paczkę, był Belfast. Na tym etapie możliwe było inne rozwiązanie, choć według mnie
mało prawdopodobne: mordercą mógł być ktoś trzeci, a ofiarami małżeństwo Brownerów.
Męskie ucho mogło być uchem Jima, a zabójcą jakiś marynarz podkochujący się nieszczęśliwie
w jego żonie. Teoria ta miała wiele poważnych luk, ale była możliwa, toteż zatelegrafowałem do
Algora z policji w Liverpool prosząc, by sprawdził czy pani Browner jest w domu i czy pan
Browner odpłynął na „May Day”.

Potem pojechaliśmy do
Wellington. Najbardziej

interesowało mnie ucho trzeciej z sióstr. Mogła naturalnie wiedzieć także coś istotnego, ale na to
zbyttnio nie liczyłem.

Tymczasem musiała się ona
dowiedzieć o nadejściu
przesyłki, co nie jest niczym
dziwnym, jako że cała okolica
praktycznie o tym tylko mówiła,
i zrozumiała wszystko. Jeśli
chciałaby pomóc, skontaktowałaby
się z policją. Skoro tego nie
zrobiła, to widocznie nie żywiła
takiej chęci, ale naszym
obowiązkiem było się z nią
zobaczyć. Dowiedzieliśmy się, że
nowina tak nią wstrząsnęła (jej
choroba zaczęła się dziwnym
trafem w tym samym czasie), że
nie sposób się z nią
skomunikować. Stało się
oczywiste, że wszystko
zrozumiała, oraz że na pomoc z
jej strony zmuszeni jesteśmy
nieco poczekać. Sytuacja jednak
była na tyle klarowna, że
mogliśmy się bez niej obyć. Na

posterunku oczekiwała nas
odpowiedź Algora i nic więcej nie
było potrzeba. Dom Brownerów był
od trzech dni zamknięty. Według

opinii sąsiadów pani Browner wyjechała na południe odwiedzić krewnych, natomiast mąż, co
potwierdzono w biurze linii, odpłynął na pokładzie „May Day”.

Z obliczeń wynika, że jutro
wieczorem powinien zawinąć do
Londynu, a gdy to nastąpi,
powita go Lestrade, i nie

wątpię, iż wkrótce będziemy znali brakujące szczegóły.

Holmes nie zawiódł się w
oczekiwaniach. Dwa dni później
otrzymał grubą kopertę z
karteczką od inspektora i

kilkoma stronicami maszynopisu, zawierającego zeznania podejrzanego.

- Lestrade dotrzymał słowa -
mruknął mój przyjaciel po
przejrzeniu zawartości. -

Posłuchaj, co pisze:

„Drogi panie Holmes

W związku z pomysłem, na jaki wpadliśmy, by sprawdzić nasze teorie” - podoba mi się,
Watsonie, ta liczba mnoga! - „Udałem się wczoraj o #/6 po południu do Albert Dock, gdzie
wszedłem na pokład „May Day”, należącego do Liverpool, Dublin and London Steam Packet
Company.

Tam dowiedziałem się, iż na
pokładzie przebywa steward
nazwiskiem Browner i że w czasie
tej podróży zachowywał się w tak
dziwny sposób, iż kapitan
zmuszony był zwolnić go z
wykonywania czynności

służbowych. Po zejściu do

zajmowanej przez niego kabiny znalazłem go siedzącego na skrzyni z głową w dłoniach, kiwającego się w tył i w przód.

To duży, silny mężczyzna,
starannie ogolony i zadbany -
trochę przypomina Aldridge'a,
który pomógł nam w sprawie
tej pralni. Podskoczył, gdy
usłyszał z czym przychodzę i już
chciałem zawołać policjantów z
rzesznej, których zabrałem na
wszelki wypadek, gdy sam bez
protestu wyciągnął ku mnie

dłonie, bym założył mu kajdanki.

Zabraliśmy do więzienia jego i
jego skrzynkę marynarską sądząc,
że może być w niej jakiś dowód
winy. Jednakże poza typowym
nożem marynarskim nie
znaleźliśmy w niej niczego
ciekawego. Wystarczył natomiast
sam podejrzany, gdyż przy
pierwszym przesłuchaniu złożył
zeznanie, którego kopię panu
przesyłam. Sprawa, tak jak
przypuszczałem, jest nader
prosta, tym niemniej jestem
zobowiązany za pomoc pana
Z poważaniem
G. Lestrade”

- Co prawda, była prosta - zauważył z sarkazmem Sherlock - ale nie wydaje mi się, aby go to specjalnie uderzyło, gdy prosił nas o przyjazd. Nieważne.

Zajmijmy się tym, co miał do powiedzenia Jim Browner. Oto jego zeznanie, złożone przed inspektorem Montgomerym na posterunku Shadwell.

„Czy mam coś do powiedzenia? Pewnie, że mam i to dużo. W końcu muszę się przed kimś wygadać. Możecie mnie powiesić albo puścić wolno, nic mnie to nie obchodzi. Coś wam powiem: odkąd to zrobiłem, nie zmrużyłem oka i chyba już nie zasnę, żeby nie mieć przed oczyma ich twarzy. Czasem jego, ale przeważnie jej. Te twarze nigdy mnie nie opuszczają we śnie. On jest zły, ale ona ciągle zaskoczona i tak jak wtedy, gdy na mojej twarzy, która rzadko wyrażała coś innego niż miłość, wyczytała śmierć. A to wszystko wina Sarrah, niech klątwa złamanego człowieka spadnie właśnie na nią. Nie żebym chciał się oczyścić. Wiem, że jak piję, to mnie diabeł bierze w obroty, ale ona by mi wybaczyła, byłaby przy mnie, gdyby ta wiedźma nigdy nie przestąpiła progu naszego domu.

Bo rzecz w tym, że Sarrah mnie
kochała, aż jej miłość zamieniła
się w nienawiść w dniu, w którym
dowiedziała się, że bardziej
mnie interesuje ziemia, po
której stąpa jej młodsza

siostra, niż ona. Z tymi trzema siostrami to jest tak: najstarsza to dobra kobieta, średnia to diabeł, a najmłodsza anioł. Gdyśmy się pobrali, Sarrah miała 44 lata, a Mary 29.

Byliśmy szczęśliwi i w całym mieście nie było lepszej żony od mojej Mary. Pewnego razu zaprosiliśmy Sarrah na tydzień do naszego domu. Zrobił się z tego najpierw miesiąc, potem drugi, a w końcu stała się jakby trzecim członkiem rodziny. Nie piłem wtedy, mieliśmy pieniądze i wszystko wyglądało pięknie i wesoło, zupełnie jak nowa dolarówka. Mój Boże, kto by pomyślał, że tak się to skończy? Często na weekendy przyjeżdżałem do domu, a czasem, gdy statek czekał na ładunek, to zdarzał się i cały tydzień domowania. Oczywiście, spotykałem się wtedy ze szwagierką. Nie mogę powiedzieć, była przystojną kobietą, śniadą i żywą jak skra, z dumnie uniesioną głową i błyskiem w oczach, ale przy Mary to nic. Przysięgam na Boga, że nigdy nawet o niej nie pomyślałem, choć czasami zdawało mi się, że lubi być ze mną sama. Ale ja niczego nie podejrzewałem. Dopiero pewnego wieczoru otworzyły mi się oczy. Wróciłem z rejsu i Sarrah była sama, bo Mary poszła zapłacić jakieś rachunki. Z niecierpliwością chodziłem po pokoju, czekając na jej przyjście i wymieniając na wpuł żartobliwe uwagi ze szwagierką. W pewnej chwili wyciągnąłem ku niej rękę, którą niespodziewanie złapała kurczowo, a dłonie jej płonęły jakby w gorączce.

Spojrzałem zaskoczony w jej oczy i tam wyczytałem całą resztę.

Nie musiała nic mówić. Ona widać też wyczytała w moich oczach wszystko, bo przez chwilę milczała, po czym poklepała mnie po ramieniu i z szyderym śmiechem wybiegła z pokoju. Od tej chwili znienawidziła mnie z całego serca i całej duszy, a potrafiła nienawidzić, możecie mi wierzyć. Byłem durniem, że pozwoliłem jej zostać z nami, że o niczym nie powiedziałem Mary.

Wiedziałem, że ją to zmartwi, a nie chciałem tego. Wszystko z pozoru wyglądało tak jak dotąd, ale po pewnym czasie zauważyłem, że Mary zaczyna się zmieniać.

Dotąd zawsze mi ufna, teraz
stała się podejrzliwa, chcąc
ciągle wiedzieć, gdzie byłem, co
mam w kieszeniach i tysiące temu
podobnych bzdur, na punkcie
których zaczęły wybuchać
klótnie. Z dnia na dzień robiło
się gorzej i byłem coraz
bardziej tym wszystkim

zaskoczony. Szwagierka omijała mnie, ale z Mary stanowiły nierozłączną parę. Teraz wiem, że właśnie wtedy mnie oczerniała i zatruwała Mary podejrzeniami w stosunku do mnie. Wtedy jednak niczego się nie domyślałem i niczego nie rozumiałem. Zacząłem pić - nie sądzę, abym to zrobił, gdyby nie ta zmiana u Mary, ale teraz dałem jej powód do nieufności i awantur. Przepaść między nami rosła coraz bardziej. No, a potem zjawił się Alec Fairbairn i sprawy zaczęły wyglądać jeszcze gorzej.

Najpierw powodem jego odwiedzin była Sarrah, ale dość szybko staliśmy się nim my wszyscy - był obyty w świecie i prędko zjednywał sobie przyjaciół. Był przystojny, dobrze wychowany i wygadany jak nie wiem co.

Zjeździł połowę świata i umiał o
tym opowiadać. Nie przeczę, był
dobrym kompanem, a jak na
marynarza dużo wiedział o
różnych sprawach. Myślę, że
zanim trafił na pokład, musiał

liznąć sporo wiedzy. Może nawet studiował. Przez ponad miesiąc był u nas częstym gościem i nawet cień podejrzenia nie zaświtał mi w głowie. Ale w końcu przejrzałem na oczy, a od dnia, w którym zacząłem coś podejrzewać, mój spokój zniknął na zawsze. Był to drobiazg - wróciliśmy wcześniej z rejsu i nieoczekiwanie znalazłem się przed domem. Widziałem z jaką radością Mary otworzyła drzwi i jakie rozczarowanie malowało się na jej twarzy, gdy zobaczyła, że to ja stoję na progu. To mi wystarczyło. Mój krok można było pomylić tylko z krokiem Aleca. Gdyby wtedy był pod ręką, to bym go zatłukł. Mary musiała zobaczyć błysk szalu w moich oczach, gdyż starała się mnie uspokoić, ale ja miałem dość. Sarrah była w kuchni. Poszedłem tam i najspokojniej jak umiałem oznajmiłem: - Sarrah, ten Fairbairn nie ma prawa nigdy więcej przekroczyć progu tego domu.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo ja tak mówię.

- Och, jeśli moi przyjaciele nie nadają się dla ciebie, to ja w takim razie także nie.

- Możesz zrobić co ci się

żywnie podoba, ale jeśli ten
facet zjawi się tu jeszcze raz,
to wyślę ci jego ucho jak
brelok!

Myślę, że przestraszył ją

wyraz mojej twarzy. Zamilkła i tegoż wieczoru się wyprowadziła. Cóż, nie wiem czy reszta była efektem jej nienawiści, głupoty, czy też sądziła, że uda jej się do końca pokłócić mnie z Mary.

Jakie by te motywy nie były,
zamieszkała za ledwie o dwie
przecznice od nas i wynajmowała
pokoje marynarzom. Alec
zazwyczaj tam mieszkał, a Mary
chodziła do siostry na herbatkę,
na której on również regularnie
bywał. Jak często tam przebywała
nie wiem dokładnie, ale pewnego

razu poszedłem za nią. Gdy wylałem drzwi, on uciekł przez okno jak ostatni tchórz, którym zresztą był. Przysięgłem Mary, że ją zabiję, jeśli jeszcze raz spotkam ich kiedyś razem, i zaprowadziłem ją do domu. Przez całą drogę płakała i trzęsła się jak liść. Nie było już między nami miłości. Wiedziałem, że się mnie boi i nienawidzi równocześnie, a gdy ta wiedza zaprowadzi mnie do butelki, to dodatkowo jeszcze mną gardzi.

Sarah stwierdziła, że nie

wyżyje w Liverpool, toteż

wróciła do Croydon i zamieszkała z trzecią z sióstr, ale sprawy między mną a Mary układały się bez zmian. A potem przyszedł ten ostatni tydzień i wszystko się skończyło... „May Day” wypłynęła w zwykły siedmiodniowy rejs, ale w drodze mieliśmy awarię, która zawróciła nas i wstawiła statek do doku na półtora dnia.

Poszedłem do domu myśląc, jaką to niespodzianką dla Mary będzie mój powrót i mając nadzieję, że się choć trochę ucieszy.

Skręciłem w naszą ulicę i w tym momencie minęła mnie dorożka w której Mary i Alec rozmawiali wesoło i śmiali się nie zwracając na nic uwagi. Od tego momentu przestałem nad sobą panować, a wydarzenia, jak je teraz wspominam, wyglądają jak sen. Przed zejściem ze statku popiliśMy jeszcze zdrowo i teraz czułem, jak coś mi zaczyna gwizdać i wyć pod czaszką.

Ruszyłem biegiem za dorożką,
dzierżąc w dłoni grubą, dębową
laskę. Po chwili jednak coś na
kształt rozsądku przebiło się
przez wypełniającą mnie
wściekłość. Nie, ani na chwilę

nie uspokoilem się, ale zacząłem
myśleć. Przestałem biec, a
zacząłem ich śledzić. Pojechali
na dworzec, a że przy kasie był
niezły tłok, zdołałem
nie zauważony podejść na tyle
blisko, by usłyszeć, że kupują

bilety do New Brighton. Sam też kupiłem bilet, ale usiadłem trzy wagony dalej. Gdy dojechaliśmy na miejsce, poszli na spacer, a ja za nimi, nie dalej jak sto jardów. W końcu wynajęli łódź i wypłynęli. Dzień był mglisty, gorący i sądzili, że na wodzie będzie pewnie chłodniej.

Ucieszyłem się - to było tak, jak gdyby dobrowolnie oddawali się w moje ręce! Mgła była taka, że na więcej jak kilkadziesiąt jardów nic nie było widać. Ja również wynajęłem łódź i ruszyłem za nimi. Wiosłowałem szybko, ale dopiero jakąś milę od brzegu udało mi się ich dogonić. Wtedy już otaczała nas mgła, a wokół nie było widać nikogo. Mój Boże! Nigdy nie zapomnę ich twarzy, gdy zobaczyli kto do nich dopływa. Mary krzyknęła, a Alec zaczął kłać, próbując sięgnąć mnie wiosłem, gdyż musiał dostrzec śmierć w moich oczach. Uchyliłem się i w następnej sekundzie rozwaliłem mu łaską łeb. Jej nic bym nie zrobił, ale zarzuciła mu ręce na szyję i płacząc wołała go po imieniu. Uderzyłem ponownie i legła obok niego. Byłem jak opętany i żałowałem tylko, że Sarrah nie ma w pobliżu, bo dołączyłaby do nich. Potem przypomniałem sobie, co jej obiecałem i wyciągnąłem nóż... Z przyjemnością pomyślałem, jaka też będzie jej reakcja, gdy zobaczy do czego doprowadziło jej wtrącanie się w sprawy innych. Następnie przywiązałem ciała do ławek, wybiłem klepkę w dnie i patrzyłem, aż nie pozostał po nich ślad. Zdawałem sobie sprawę z tego, iż wszyscy będą sądzić, że zaginęli we mgle i utopili się, albo zdryfowali w morze.

Bez wzbudzania podejrzeń
wróciłem na statek. Tej samej
nocy przygotowałem paczkę dla
Sarrah, którą wysłałem
następnego dnia, jak tylko

zawinęliśmy do Belfastu. Oto cała prawda. Możecie zrobić ze mną co chcecie, ale już bardziej nie możecie mnie ukarać. Nie mogę zamknąć oczu, by nie widzieć ich twarzy wpatrzonych we mnie, tak jak wtedy, gdy mnie dostrzegli w łodzi. Zabiłem ich szybko, a oni zabijają mnie powoli i jeszcze jedna noc, a zwariuję, albo się zabiję. Mam tylko jedną prośbę - nie wsadzajcie mnie do pojedynczej celi”.

- I cóż, Watsonie? - spytał poważnym tonem Sherlock, odkładając list. - Czemu służył ten krąg przemocy i strachu? Jaki był jego cel i skutek?

Musiał jakiś być, albo nasz

świat rządzony jest przez

przypadek, a to byłoby nie do przyjęcia. Ale jaki? Jest to poważny problem, a ludzki umysł jest od jego rozwiązania tak daleki, że szkoda słów...

